

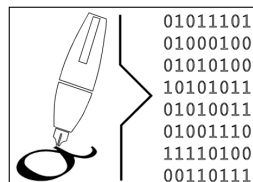
MARGIT SANDEMO

SAGA O CZARNOKSIĘŻNIKU

TOM 2

BLASK TWOICH OCZU

Przełożyła: Iwona Zimnicka



Tytuł oryginału:

Oversatt etter: Lyset i dine oyne.

Data wydania polskiego: 1996 r.

Data pierwszego wydania oryginalnego: 1991 r.

Księgi złych mocy

Przyczyna wszystkich dziwnych i przerażających wypadków, przez jakie musiała przejść pewna młoda dziewczyna z zachodniego wybrzeża Norwegii na przełomie siedemnastego i osiemnastego wieku, zawiera się w trzech księgach zła, dobrze znanych z najbardziej mrocznego rozdziału w historii Islandii.

Księgi pochodzą z czasów, gdy w Szkole Łacińskiej w Holar, na północy Islandii, rządził zły biskup Gottskalk, czyli z okresu pomiędzy latami 1498 a 1520. Biskup uprawiał prastarą i już wtedy surowo zakazaną czarną magię; Gottskalk Zły nauczył się wiele o magii w osławionej Czarnej Szkole na Sorbonie.

Szkoła Łacińska w Holar była za panowania Gottskalka tak niebezpieczna, że macki zła rozciągały się stamtąd zarówno w czasie, jak i w przestrzeni; żądza posiadania owych trzech ksiąg o piekielnej sztuce rozpaliała się w każdym, kto o nich usłyszał. Ani jedna dusza nie pozostała wobec nich obojętna. Zresztą... Aż do naszych dni przetrwała ich ponura, budząca lęk sława.

Rozdział 1

Tiril obudziło światło.

Zaraz też napłynęły inne wrażenia: skądś dobiegało szczekanie Nera, spod pleców ciągnęło chłodem i wilgocią, o burtę łodzi pluskały fale.

Słysząc również było głos niepodobny do żadnego innego. Brzmiał jak syrena przeciwmgielna i miotał siarczyste przekleństwa. Tiril zachłysnęła się ze strachu i w jednej chwili oprzytomniała.

— Do kroćset, zostaw w spokoju moje mewy, przeklęty kundlu, bo jak nie, to cię wykastruję i żadna suka nigdy więcej nie nadstawi ci tyłka!

Tiril uniosła zeszywniałe ciało. Siedziała w wodzie, sączącej się przez szpary wąskiej łodzi wiosłowej. Musiała przymknąć oczy, oślepiona porannym światłem. Nad horyzontem, skryta za delikatną mgiełką, wznosiła się biała tarcza słońca.

Tafla przyjaznego morza była gładka jak lustro, tylko przy brzegu dostojne fale przelewały się po kamieniach.

Głos, który zdołałby zbudzić umarłego, znowu się rozległ:

— Do stu piorunów, a cóż my tu mamy! Zamknij pysk, ty łajdaku! Człowiek w ogóle nie może dojść do słowa!

Nie, nie było niebezpieczeństwa, że Nero zdoła zagłuszyć tę trąbę jerychońską.

— Co to za panienczka przybiła do mojej zapomnianej przez Boga wyspy?

Z rażącego światła słońca przed oczami Tiril wyłoniła się jakaś postać. Kobieta, która zatrzymała się przy łodzi. Ale cóż to była za kobieta! Kołysała się na nogach jak tłusta kaczka, wielka niczym wierzeje stodoły, ubrana w strój rybacki, w męskie spodnie. Bił od niej ostry zapach ryb. Twarz i dłonie posiniały jej od wichru i chłodu, pod zydwestką kłębiły się splątane brązowe włosy.

Małe, świdrujące oczka obserwowały Tiril. Spoglądały surowo, z dystansem, lecz nie bez życzliwości.

— Co, do stu piorunów, panna tu robi? Może panna zabłądziła?

— Ja... nie... nie wiem — wyjąkała Tiril i wyczołgała się z łodzi, która utknęła między dwoma kamieniami na niegościnniej plaży. — Nie, właściwie nie, bo przecież płynęłam bez celu. Czy to jest Askoy?

— Nie, dziewczyno, widocznie źle sterowałaś. To moja własna wysepka na morskiej otchłani. Usłyszałam psa i oczywiście musiałam sprawdzić, co to ma znaczyć. Nie mogłam pojąć, co tutaj może robić pies. Doprawdy, miała panna szczęście, że przybiła tu do brzegu, inaczej wyruszyłaby prosto do piekła. To znaczy na pełne morze.

— Ojej! — przestraszyła się Tiril. — Rzeczywiście było tak ciemno i mgliście, wiosłowałam całą noc. Czuję to w rękach.

— Rany boskie, dłonie zdarte do krwi! Widać panna nie przywykła do morza. Pójdzie panna ze mną do domu, taka panna przemoczona i zmarznięta. Niedobrze jest siedzieć z tyłkiem w wodzie. Ładnego panna ma psa, tylko tak cholernie goni mewy!

— Uważa, że się dobrze sprawuje, bo przegania drozdy z mojego ogródka — nieco bezradnie uśmiechnęła się Tiril.

Zawołała Nera, który właśnie zatrzymał się przy brzegu. Wydawało mu się, że znalazł w wodzie coś naprawdę okropnego, i zapalczywie atakował sprytnie fale.

— Tak, Nero to dobry pies — powiedziała ciepło. — Mam tylko jego.

— Ach, tak? — Potężna kobieta popatrzyła na Tiril spod krzaczastych brwi, lecz nie doczekała się odpowiedzi. — Porozmawiamy o tym później — mruknęła.

Podniosła łódkę Tiril i jednym ruchem wyciągnęła ją niczym piórko daleko na brzeg. Potem zaczęła iść, kołysząc biodrami i machając rękami. Dziewczyna ruszyła za nią.

W zacisznym miejscu za skałami stała nieduża chata. Wyglądała, jakby skuliła się w sobie.

— Niech się panna nie spodziewa żadnych wygód — zagrzmiała kobieta. — Choć pewnie przywykła do wytworniejszych miejsc.

— Różnie z tym bywało — uśmiechnęła się Tiril leciutko. — Ostatnio mieszkałam w chacie takiej jak ta i czułam się świetnie.

— To ci dopiero! Ale panna jest przecież z dobrej rodziny!

— Nie znoszę tego określenia. Mam wielu przyjaciół wywodzących się z uboższych warstw społeczeństwa. Najważniejsza jest szlachetność serca.

— Hm — chrząknęła kobieta. Można to było zrozumieć na wiele sposobów. Nagle wrzasnęła: — Przeklęte mewy, trzymajcie się z dala od moich suszonych ryb!

Nero potraktował jej okrzyk jako komendę „pilnuj domu”, której nauczył się od Tiril, i popędził za krzyczącymi ptakami. Wzleciały w powietrze, czyniąc niesamowitą wrzawę.

Kobieta patrzyła teraz na dużego czarnego psa z większą życzliwością.

Dotarli już prawie do samego domu. Była to stara nędzna chatynka, tu i ówdzie podparta wyłowionymi z morza deskami.

— Wybrała się panna wczoraj na niedzielną przejażdżkę?

— Nie — odparła Tiril. — Uciekałam przed ludźmi, którzy chcieli wyrządzić mi krzywdę.

— Ach, tak! Tutaj nikt nie przyjdzie, może się panna czuć bezpieczna.

— Wspaniale. A w ogóle to mam na imię Tiril i skończyłam dopiero szesnaście lat. Proszę, mów mi ty, nie jestem w niczym lepsza.

— No, no, o tym sama zdecyduje. Takie stroje nie należą na tym szkieście do codzienności! Ale dobrze, ja jestem Ester i panienka też może mówić mi po imieniu. Nie przywykłam do ugrzeczniczonych form.

— Dziękuję! Mieszkasz tutaj sama? Sama jedna na całej wyspie?

Ester wybuchnęła śmiechem, który zabrzmiał jak skrzeczenie sroki.

— Tak, tak, sama na całej tej wielkiej wyspie!

Odwróciła się do Tiril.

— Nie zostalabyś ze dwa dni? Mogłabyś mi pomóc w połowach. Cholernie trudno samemu radzić sobie z wiosłami, żaglem i sprzętem rybackim jednocześnie.

— Bardzo mi to odpowiada, dlatego serdecznie dziękuję za propozycję. Muszę się przez jakiś czas ukrywać.

— I ty także — mruknęła Ester pod nosem. Tiril nie była pewna, czy dobrze usłyszała.

Ester nagle zaczęła się spieszyć.

— Muszę trochę ogarnąć.

— Ależ to nie ma żadnego znacze...

— Owszem, dla mnie ma.

Zdumiewająco szybko jak na swą ociężałą sylwetkę kobieta zbiegła w dół i zniknęła w chacie. Tiril świadomie zwolniła kroku. Rozumiała dumę Ester, która nie chciała, by ktoś oglądał jej bałagan. Zdawała sobie też sprawę, jak łatwo zapuścić dom, kiedy mieszka się w takiej izolacji. Nikt przecież tu nie przychodził.

— Gotowe! — zagrzmiało wreszcie od drzwi.

Tiril, przestąpiwszy próg, zaczęła się zastanawiać, jak też musiało wyglądać to wnętrze, zanim Ester uznała, że jest posprzątane. Większego bowiem rozgardiaszu nigdy jeszcze nie widziała. Świdrujący w nosie nieprzyjemny zapach był tylko bagatelką. Co takiego Ester musiała schować? Prawdopodobnie bardzo nieświeżą bieliznę.

Chociaż czy ta kobieta używała czegoś tak eleganckiego jak bielizna? Tiril miała co do tego wątpliwości.

— Czy nie doskwiera ci samotność?

— Nie, dobrze mi tutaj.

— Ale jak udaje ci się przeżyć? Skąd bierzesz, na przykład, mleko? Nie hodujesz przecież zwierząt.

— No tak, mewy nie dają się wydoić — zarechotała Ester, aż Tiril o mało w uszach nie popękały bębenki. — Łowię ryby. I dostaję za nie mleko od sąsiada. On ma gospodarstwo. Żywię się też jajami morskich ptaków, kiedy przychodzi na nie pora.

— A chleb? Masz jakieś pole, na którym uprawiasz zboże?

— Nie, nie mam. Modlitwa nie na wiele się zda, gdy się sieje na kamiennym gruncie. A ziarna z tego małego skrawka ziemi porośniętego nadmorskimi ostami nie starczyłoby na więcej niż na jeden bochenek, w ogóle więc nie zawracam tym sobie głowy. Sąsiad daje mi chleb. Usiądź tutaj, zaraz rozpalę w piecu. Musimy cię wysuszyć, inaczej dostaniesz kataru w nieprzyjemnych miejscach. A potem to piekielnie swędzi, kiedy odwiedzi cię na sianie mężczyzna. Nie mam ubrań, w które mogłabym cię przebrać, ale przy ogniu na pewno zaraz wyschniesz.

— Dziękuję, niczego więcej nie potrzeba. Ten sąsiad... Czy on mieszka...?

— Na wyspie Sotra. Dziś w nocy dołynęłaś daleko za Askoy. Musiałaś lawirować między wyspami, a wreszcie zostawiłaś je wszystkie za sobą.

— Rzeczywiście wydawało mi się, że już za długo wiosłuję. Ale nic przecież nie widziałam. To wielkie szczęście, że masz takiego dobrego sąsiada.

— O, tak. Daje mi wszystko, czego potrzebuję.

Ester powiedziała to, pomrukując z rozkoszą. Tiril przez moment poczuła się zbita z pantałyku.

Nero także przybiegł do chaty i zdążył już wywęszyć mysia norę. Stał teraz przed nią i kichał od kurzu.

— Doskonale, piesku — pochwaliła go Ester. — Rozpraw się z tymi obzartuchami. Dostały się na wyspę razem z pewnym ładunkiem i piekielnie się mnożą.

Nagle w jej spojrzeniu pojawił się cień podejrzliwości.

— Ten pies, mam nadzieję, nie jest wytresowany do szpiegowania? Nikt cię tu chyba nie przysłał?

— Przysłał? Mnie? A kto?

— Nie, nie, zapomnij, co powiedziałam, wyglądasz na ucziwą. Nie wiedziałam, że ludzie z wyższych sfer potrafią być tacy bezpośredni. Na pewno jesteś dobrą dziewczyną. A teraz chciałabym poznać twoją historię, bo wspominasz o wielu dziwnych sprawach.

— Tak, moja historia jest dość niezwykła — uśmiechnęła się Tiril ze smutkiem.

Ester zawiesiła nad ogniem garnek, w którym były resztki kaszy, na pewno nie dzisiejszej. Nie były też wczorajsze ani przedwczorajsze, ale Tiril postanowiła przymknąć oczy na ten fakt.

— Widzę, że opowiadanie sprawia ci przykrość — powiedziała Ester nie owijając w bawełnę. — Ale wydajesz mi się pod tyloma względami niezwykła, że budzisz moją ciekawość.

— Masz prawo wiedzieć, kogo przyjąłeś pod swój dach — pokiwała głową Tiril. — Powinnaś wiedzieć, że krok w krok za mną idzie nieszczęście. Z pewnością stanie się coś złego, jeśli ktoś się dowie, gdzie mnie szukać. Ja sama jestem dobrze chroniona, mogę też ochronić twój dom, jeśli chcesz.

Ester zmarszczyła brwi. Ciekawość wprost biła z małych, jasnoniebieskich jak woda oczu. Gestem wskazała dziewczynie miejsce tuż przy ogniu.

Tiril wyjęła dwa ochronne znaki Móriego.

— Ten jest mój własny. Ale ten duży możemy zawiesić nad drzwiami, a wtedy nie wejdzie tu żaden nieproszony gość.

— To by mi się przydało — wypaliła Ester. Potem gwałtownie zwróciła się do Tiril. — Nieczyste siły! Nie jesteś chyba czarownicą? Czy to dlatego uciekasz?

Dziewczyna wybuchnęła śmiechem.

— Nie, nie jestem czarownicą. Te znaki dostałam od mego najlepszego przyjaciela. Ale on opuścił już kraj. Na zawsze.

— Coraz bardziej mnie zadziwiasz. Kim był?

— Czarnoksiężnikiem. Musiał wracać na Islandię, aby coś odszukać. Jeśli to znajdzie, stanie się najpotężniejszym czarnoksiężnikiem na świecie.

— Do stu piorunów! A cóż to za szczególna rzecz, która może to uczynić? I w jaki sposób zdoła ją odnaleźć?

Tiril odparła niepewnym tonem:

— Wskrzeszając z martwych pewnego biskupa, który nie żyje od dwustu lat. Tak, wiem, że to brzmi niedorzecznie, ale gdybyś spotkała Móriego, uwierzyłybyś w to, co mówił. Oj, chyba zaczynam się przypiekać z jednej strony, czy mogę się obrócić?

— Wydawało mi się, że zapachniało wędzoną szynką — wybuchnęła głośnym śmiechem Ester. — Nie, nie, żartowałam. Ustaw się tyłkiem w stronę ognia, ja zwykle tak robię.

— Chyba wszystkie kobiety — uśmiechnęła się Tiril. — Och, jak przyjemnie!

— Przybiję tylko to dziwactwo nad drzwiami i zaraz będziesz mogła opowiadać dalej. To bardzo interesujące, coś innego niż patroszenie ryb, jedzenie, sikanie i spanie.

Wyszła przed chatę i umocowała Tarczę Arona nad niskimi drzwiami. Nazwa znaku wielce ją rozbawiła i znów głośny śmiech echem poniósł się wśród skał. Wróciła do izby.

— No, teraz dobrze, niestraszny nam już diabeł, trolle ani... A tam, mam to w nosie. No więc, jak wygląda ten twój czarnoksiężnik?

W oczach Tiril pojawiły się rozmarzenie i smutek.

— Móri przypomina przerażająco pięknego anioła śmierci. Szkoda, że go nie widziałas! Jest taki urodziwy, wprost do bólu. Ale taki... taki daleki. Nie potrafię sobie nawet wyobrazić, że ktoś mógłby go poślubić, to po prostu niemożliwe. On jest niebezpieczny, rozumiesz to, Ester? Widziałam w jego oczach światy ukryte

dla nas, ludzi. Zjrzałam do krainy mrocznych cieni. W tych oczach kryje się samotność i smutek, i... nie, nie zło, raczej groza. On zna tak wiele tajemnic. Na własne oczy widziałam, jak zakłębieniem tamował krew, i była to chyba jego najmniej imponująca umiejętność. O innych nie mam śmiałości myśleć. Gdy mówi o tym starym biskupie, wygląda wprost strasznie! — Zadumała się na moment, ale zaraz wróciła do rzeczywistości. — Miałam przecież opowiedzieć Tragiczną Historię Mego Życia — uśmiechnęła się leciutko. — Szczerze jednak mówiąc, jest ona naprawdę bardzo smutna. Obiecuję, że nie będę się nadto rozwodzić.

— Nie spiesz się, czas nas nie goni! No, jedzenie jest już gotowe, ale mam tylko jedną łyżkę. Czy możesz jeść prosto z garnka, czy też...?

Tiril mężnie przełknęła ślinę i jadła prosto z garnka.

— Dobrze — pochwaliła ją Ester. — A teraz opowiadaj!

Z jakiegoś dziwnego powodu kasza okazała się rzeczywiście smaczna, a może o jej smaku decydował raczej głód? Tiril gorąco podziękowała za jedzenie i powiedziała, że czuje się teraz o niebo lepiej. Po nocy spędzonej w samotności na nieznanach wodach tym bardziej doceniała troskliwą opiekę Ester. Potężna kobieta tylko prychnęła w odpowiedzi.

— Wszystko zaczęło się właściwie mniej więcej dwa lata temu. — Tiril drżała, dręczona przykrymi wspomnieniami. — Kiedy moja ukochana siostra Carla odebrała sobie życie...

— W imię Ojca i Syna — mruknęła Ester.

Tiril z rozjaśnionymi oczami opowiadała o Carli, obdarzonej anielską urodą, i o dzieciństwie ich obu.

Ester przyglądała się jej z niedowierzaniem.

— Mówisz tak, jakbyś ani krztynę nie była zazdrosna o siostrę, która najwyraźniej w czepku się urodziła. Piękna niczym elf i...

— Nigdy by mi nie przyszło to do głowy — z powagą odparła Tiril — Ubóstwiałam Carlę. Niestety, jak się okazało, nie ja jedna...

Drżącym głosem opowiedziała o samobójstwie siostry, które ta popełniła właśnie wtedy, gdy pozwolono jej poślubić sympatycznego Erlinga Müllera, potomka bogatego rodu kupców hanzeatyckich. I o ujawnionych później powodach samobójstwa: ojcu wykorzystującym śliczną córkę, która w ogóle nie była jego córką. On jednak zataił ten fakt przed biedną dziewczyną, przez co skazał ją na jeszcze większe cierpienia. Tiril mówiła także o tym, jak kilka miesięcy później przybrany ojciec zaczął napastować także i ją. O ucieczce z domu, o pomocy Móriego, a później Erlinga, o domu w Laksevåg.

— Bez przerwy głowę mi nabijałaś tym Mórim — cierpko zauważyła Ester — o Erlingu natomiast wspominasz dopiero teraz. A przecież z twoich słów można wnosić, że drugiego takiego ze świecą by szukać. Młody, przystojny, mądry, bogaty, miły, zawsze chętny do pomocy...

Owszem — równie cierpkim tonem odparła Tiril. — Ale kiedy słuchasz tej charakterystyki... Czy nie brakuje ci w niej jakiegoś określenia?

— Jakiegóż to?

— Nudny. Wiem, wiem, jestem niesprawiedliwa. Erling to naprawdę sympatyczny i pociągający mężczyzna. W porównaniu jednak z Mórím jest tylko cieniem. W dodatku był narzeczonym Carli. Móri jest tylko mój. To znaczy był, bo przecież nigdy już go więcej nie zobaczę. — W jej głosie dało się słyszeć wyraźne drżenie, szybko więc dodała: — Ale dochodzę do następnej części mojej historii.

Tiril opowiedziała o dwóch tajemniczych prześladowcach, którzy usiłowali ją zabić, a później zamordowali jej przybranych rodziców i o tym, jak duchowieństwo i władze w osobie wójta starały się odszukać Mórieo, który w tej sytuacji musiał opuścić kraj. Opowiedziała też Ester o swym nieznanym pochodzeniu, o tym, jak odkryli, że prawdziwa matka Tiril płaciła przez długie lata konsulowi Dahlowi za utrzymanie córki, o lichwiarzu, który znał całą sprawę, i jak konsul Dahl najprawdopodobniej szantażem chciał wyłudzić więcej pieniędzy od matki Tiril i dlatego zginął.

— Choć to ostatnie to tylko nasze domysły — zakończyła Tiril smętnie; broda jej się trzęsła od wstrzymywanego płaczu. — A wczoraj wieczorem ci dwaj o mały włos mnie nie dopadli. We mgle udało mi się wsiąść do łodzi i wypłynąć na morze. Aż tutaj.

Ester przyjrzała jej się zamyślona.

— Doprawdy, niewielki pożytek miałaś z tego amuletu, który dostałaś od swego przyjaciela Mórieo. Ale już rozumiem, jak doszło do tego, że dobiłaś do mojej wyspy. Muszę jednak przyznać, że to, co opowiedziałas, nie bardzo mi się mieści w głowie!

— Wiem! — żałośnie zaśmiała się Tiril. — A najgorsze, że wszystko jest prawdą.

Ester wstała.

— Faktem jest, że ci wierzę, moja droga — rzekła, rozglądając się dokoła. — Jednak nie mam pojęcia, gdzie będziesz spała.

Tiril nie mogła nic zaproponować, w izbie stało tylko łóżko gospodyni, zasłonięte szmatami i tak brudne, że nawet Nero nie zechciałby na nim się położyć. W chacie najwyraźniej było jeszcze jedno pomieszczenie, lecz drzwi prowadzące do niego pozostawały zamknięte i Ester nawet najdrobniejszym gestem nie dała poznać, że jest tam dodatkowe miejsce na nocleg.

— Mogę spać na ziemi — stwierdziła Tiril bez większego entuzjazmu. Klepiska nie zamiatano chyba co najmniej od pięciu lat.

— Już wiem! Przenocujesz w szopie na brzegu! W zatoce. Przygotujemy ci tam posłanie, zobaczysz, będzie ci naprawdę mięciutko!

Od razu zeszły na brzeg. Zatokę po tej stronie wyspy otaczały skały, dzięki temu sprawiała wrażenie spokojnej i bezpiecznej. Na wodzie kotłowała się łódź

rybacka ze zwiniętymi czerwobrazowymi żaglami. Niewielka szopa wyglądała na znacznie nowszą od chaty.

I rzeczywiście Tiril dostała miękkie posłanie! Ester przytaszczyła ze sobą wspaniałą kołdrę z najdelikatniejszego atłasu. Kołdra musiała się kiedyś zmoczyć, poza tym jednak nie nosiła żadnych śladów używania. Ester nie powiedziała, skąd ją ma, a Tiril nie pytała.

Rozdział 2

Tiril doskonale czuła się w gościnie u Ester. Było jej tu tak dobrze, że gdy rybaczka pytała, czy dziewczyna nie zechciałaby zostać jeszcze kilka dni, a później jeszcze kilka, Tiril zawsze odpowiadała twierdząco. Strach przed dwoma złoczyńcami wciąż jej nie opuszczał, szczególnie dręczyło ją wspomnienie widoku Nera, skopanego, leżącego bez życia na drodze. Podobna sytuacja nie mogła się powtórzyć, Tiril musiała go chronić. A tutaj był bezpieczny.

Często wyprawiały się w morze na połów. Z początku utrzymywała się dobra pogoda, tak że Tiril zdołała z grubsza przyswoić sobie arkana tego nowego dla niej zajęcia. Ester nie została obdarzona największą cierpliwością na świecie, polecenia wydawała wrzeszcząc, a jeśli Tiril nie mogła zrozumieć któregoś z fachowych wyrażen, przekleństwa sypały się jak grad. W głosie Ester nie było żadnego tłumika.

Od czasu do czasu Ester płynęła łódką do swego sąsiada na Sotrę, zawoziła mu świeżo złapane ryby. Nigdy nie chciała zabierać ze sobą Tiril. Dziewczyna parokrotnie widziała z daleka postać swej gospodyni, dźwigającej do łodzi tajemnicze pakunki. Ester nigdy nie przywoziła ich z powrotem na szkier.

Tak, wyspa bowiem nie była niczym innym jak tylko szkierem. Wraz z Nerem prędko ją zbadali i na rozpoznanie nie potrzebowali więcej niż godziny. Wszędzie tylko skały, nagie skały, między nimi dwie albo trzy plaże. Ale , Nero doskonale się czuł na wyspie, jak dzień długi uganiał się za ptakami. I zawsze znalazł przy brzegu coś interesującego dla siebie, co morze wyrzuciło nocą.

Ester często narzekała na pogodę. „Jeśli wkrótce nie nadciągnie sztorm, cienko będziemy przędły tej zimy”. Tiril nie mogła tego zrozumieć, jej zdaniem łowienie ryb na spokojnej toni było o wiele przyjemniejsze.

Ester miała wiele tajemnic, na przykład ogniska wysoko na skałach na krańcach wyspy. Doglądała ich z największą starannością, ściagała tam wiele drewna wyrzuconego przez morze. Zdziwionej tym Tiril Ester wyjaśniła, że ogniska mają niezwykle istotne znaczenie dla statków, które zboczyły z kursu. Tiril zrozumiała wówczas, że rozpalanie ognisk podczas niepogody jest miłosiernym uczynkiem, w ten sposób bowiem wskazywano szyprom bezpieczny szlak do Bergen.

Dowiedziawszy się o tym, Tiril z większym zapalem zносиła drewno.

Często wieczorami, po oprawieniu ryb i powieszeniu ich do suszenia, siadywały przy ogniu i wówczas czuła na sobie wzrok Ester. Po całym dniu pracy dziewczyna bywała bardzo zmęczona, ale to było przyjemne zmęczenie, bo połączone ze świadomością, że wykonało się coś pożytecznego. Ester też coraz częściej okazywała prawdziwe zadowolenie z jej towarzystwa i pomocy na morzu.

Pewnego razu ośmieliła się zapytać, dlaczego Ester przygląda jej się tak bawczo.

— W twoich oczach, Tiril, wiele można wyczytać! Pojawia się w nich żal, tęsknota albo smutek. O czym wtedy myślisz?

Tiril westchnęła.

— O różnych sprawach. Smutno mi z powodu tego wszystkiego, co się wydarzyło, i żal mi, że nigdy już nie ujrzę Móriego. Wiele też rozmyślałam o Erlingu. Zawiodłam go wszak, po prostu zniknęłam bez słowa, o niczym go nie zawiadamiając. To mi nie daje spokoju. Okazał mi przecież tyle dobroci, chciał pomóc w odnalezieniu mych korzeni. Gdybym tylko mogła przesłać mu wiadomość o tym, że Nero i ja mamy się dobrze!

Ester spojrzała na nią zdumiona.

— Dlaczego wcześniej o tym nie wspomniałaś? Upłynęło już kilka tygodni! Kiedy następnym razem wybiorę się na Sotrę, mogę wziąć twoją wiadomość. Syn sąsiada często pływa do miasta, może pójść do tego Erlinga. Jeśli, oczywiście, jemu nie przeszkadza rozmowa z prostym rybakiem!

— Ach, naprawdę mogę tak zrobić? — wykrzyknęła uradowana Tiril. — Natychmiast zabieram się do pisania listu. Chłopiec będzie mógł mi przywieźć odpowiedź od Erlinga. Nikt jednak nie powinien się dowiedzieć o miejscu mojego pobytu, nikt, nawet Erling. Chłopiec chyba też nic o mnie nie wie?

— Nie, nie wspominałam o tobie — zapewniła Ester. — Bo chyba nie chcemy tu na wyspie żadnych nocnych zalotników?

Tiril z przejęcia na przemian bladła i czerwieniała, ściskając w dłoniach drewnianą miseczkę, z której piła mleko. Dostały je od sąsiada.

— Z listem to rzeczywiście świetny pomysł — stwierdziła Ester z lekką ironią w głosie. — Ale na czym masz zamiar go napisać? I czym?

— Hm, to rzeczywiście kłopot — przyznała Tiril. — Przypuszczam, że nie masz tutaj ołówka ani papieru?

Ester w odpowiedzi prychnęła tylko pogardliwie.

Rozwiązały jednak ten problem. Tiril nasmarowała list zwęglonym końcem patyczka na kawałku kory. Efekt nie był doskonały, lecz Erling z pewnością zdoła odczytać bazgroły.

Tiril bardzo się cieszyła z możliwości nawiązania kontaktu z przyjacielem. Nie mogła przecież zostać na szkierze przez całe życie, chociaż żyło się jej tu stosunkowo spokojnie. Wiedziała jednak, że Ester po rozstaniu z nią będzie się

czuć po dwakroć bardziej samotna. Od czasu do czasu poznawała to po oczach brzydkiej kobiety.

Zasmucało to Tiril. Na morzu, kiedy wykonała jakiś niewłaściwy manewr łodzią lub sprzętem rybackim, Ester nie szczędziła jej kuksańców. Nie szkodziło to jednak ich przyjaźni. Ester pomogła jej wszak w tak trudnym momencie.

Na kawałku kory, który przyplynał tu z jakiejś porośniętej brzozą wyspy, niewiele było miejsca do pisania. Zmieściła zaledwie kilka zdań:

Miewam się dobrze, lecz boję się wracać do domu. Nie szukaj mnie, tylko daj znać, co się tam dzieje. Przyjadę, kiedy powiadomisz mnie, że jestem bezpieczna. Wybacz mi moje zniknięcie. Nie mogłam postąpić inaczej.

Tiril.

Ostatnie słowa były z konieczności bardzo małe i prawdopodobnie prawie niezYTELNE. Musiała jednak jakoś się usprawiedliwić.

Potem pozostawało już tylko czekać.

Doprawdy, ostatnimi czasy jej życie obfitowało w wydarzenia! Leżała pod swą wspianą kołdrą na mięciutkim pościeli z delikatnej wełnianki, a myśli szybowały daleko. W stojącej na brzegu szopie unosił się przyjemny aromat morza i wodorostów, pomieszany z zapachem smoły. Ściany nie były wprawdzie zbyt szczelne, od czasu do czasu świstał w nich wiatr, ale tak łagodny, że Tiril w niczym to nie przeszkadzało.

Nero jej nie odstępował. Nauczył się wreszcie, że fale pod podłogą to nie złoczyńcy, zamierzający wyrządzić krzywdę jego pani, ale nocą pozostawał czujny. Zawsze, nawet we śnie, jedno oko i ucho czuwało. Czasami potrafił zerwać się z histerycznym ujadaniem, aż Tiril ze strachu krew ścinało w żyłach, ale tak naprawdę nic się nie działo.

Móri...

Gdzie teraz był? Czy dotarł na Islandię? Czy kiedykolwiek o niej myślał?

O, tak, na pewno. We śnie jego twarz ukazywała jej się tak wyraźnie, że pamiętała ją następnego ranka. Oczy Móriego uśmiechały się do niej, wszechwiedząco, uspokajająco.

Dostrzegła w nich jeszcze coś, co tłumaczyła jako tęsknotę, lecz zdawała sobie sprawę, że jest to jedynie życzenie z jej strony.

W takie noce budziła się załamana swą samotnością, bez nadziei na przyszłość.

Rzecz jasna wiele myślała także o Erlingu, zastanawia się, co robić, ale po wysłaniu mu wiadomości uspokoiła się, czekając na jego odpowiedź.

Starła się nie wspominać okresu spędzonego w miejscu, które kiedyś nazywała domem, było to zbyt bolesne. Jeszcze mniej zastanawiała się nad praktycznymi sprawami, które musi uporządkować, jeśli powróci do Bergen. Została wszak jedyną dziedziczką majątku konsula. Dom stał teraz pusty, każdy, kto chciałby się tam dostać nielegalnie, mógł uczynić to bez trudu. No i co ze służącymi? Czy wrócili do swoich domostw, jeśli w ogóle mieli jakieś domostwa, czy mieli z czego żyć, kto się nimi zajmował, czy może całkiem zagubili się w świecie, nie wiedząc, czy mają zostać, czy nie?

Powinna była iść na pogrzeb przybranych rodziców. Powinna zająć się chorymi w dzielnicach ubogich, zadbać o bezpańskie psy, uporządkować rzeczy w domu...

Od wszystkiego jednak uciekła.

Ale nie uczyniła tego z własnej woli, usprawiedliwiała się sama przed sobą. Dwaj prześladowcy chcieli ją zamordować, nie było co do tego żadnych wątpliwości.

Ale dlaczego, dlaczego? Cóż ona takiego złego zrobiła? Czy zło tkwiło już w samym fakcie jej istnienia?

Takie myśli sprawiały wielki ból.

Polubiła rybołówstwo. Umiała już chodzić po marynarsku z szeroko rozstawionymi nogami, wiedziała, gdzie są najlepsze łowiska. Nero także przyzwyczał się do morza, nie musiał stać samotnie na brzegu i wyć, kiedy wyływały. Nauczył się, gdzie jego miejsce, i zaczęły zabierać go do łodzi teraz więc i on okazywał zapał, widząc przygotowania do kolejnej wyprawy. Pewnego razu Ester wróciła do domu po sprawdzeniu ognisk i z dumą oznajmiła, że Nero towarzyszył jej wiernie jak pies i wykonywał każde najdrobniejsze polecenie. Nie zdawała sobie przy tym sprawy, że wyraziła się „jak pies”, co Tiril uznała za prawdziwy komplement dla osobowości Nera. A więc liczył się wśród ludzi! Jeśli, rzecz jasna, jest się czym szczyścić...

Tiril nie lubiła natomiast patroszenia ryb. Zastanawiała się, czy czuć już od niej rybą jak od Ester. Prawdopodobnie tak.

Najbardziej pozytywne ze wszystkiego było jednak to, że Tiril odzyskała swe prawdziwe ja. Życie na wyspie przebudziło jej dawną śmiałość i radość życia, miłość bliźniego i dobry humor, wszystko to, co przez ostatnie miesiące, po śmierci Carli, pozostawało jakby w uśpieniu. Teraz Tiril na powrót stała się sobą. O tym, że Ester nie była może najlepszym wzorem do naśladowania, należało po prostu zapomnieć. Najważniejsze, że Tiril znów potrafiła serdecznie śmiać się z błahostek, na przykład kiedy wiatr targał jej włosy lub gdy potknęła się o czerpak leżący na dnie łodzi, kiedy mewy drażniły się z Nerem albo Ester zarażała ją swoją wesołością.

Niestety Tiril nauczyła się przeklinać, choć wciąż jeszcze była bardziej powściągliwa niż Ester. Zaczęła poruszać się trochę po męsku i spluwać na boki,

a kiedy miała wołać na wietrze, raczej wrzeszczała niż wołała. Sama nie zauważała zmian w swym zachowaniu, czuła się po prostu szczęśliwa i wolna. Jeśli chodzi o poczucie humoru, doskonale zgadzały się z Ester. Tiril opanowała sztukę ostrego ripostowania, a także szybkiego wybaczenia, kiedy spadał na nią grad wymówek. Wiedziała, że taki jest sposób bycia Ester, że tak naprawdę nie kryją się za tym złe intencje.

Najlepiej jak potrafiła zajmowała się zranionymi ptakami morskimi. Ester, widząc to, z początku mruczała pod nosem, że „nad tymi przeklętymi ptaszyskami nie warto się litować”, prędko jednak nabrała szacunku wobec bezgranicznej miłości Tiril do wszystkiego, co żyje. Dziewczyna miała też własny, osobliwy sposób kontaktowania się z przyrodą. Potrafiła na przykład przemawiać do smagane go wiatrem krzewu w zatoce albo prosić nadmorskie osty o wybaczenie za to, że po nich stąpa, a raz Ester widziała ją, jak stała na skale i zaklinała wiatr, by zmienił kierunek i mogły wypłynąć na połów.

Najgorsze, że wiatr w istocie zawrócił! Najbardziej przeraziła się tym sama Tiril. Śmiejąc się nerwowo oświadczyła Ester, że musiało się to stać dzięki wpływowi Móriego.

Nie było jednak żadnych wątpliwości: Tiril doskonale czuła się na wyspie.

Dobrze jej robiła surowość życia w nowym otoczeniu. Lubiła stać wsłuchana w szum fal uderzających o brzeg, w skargę wiatru zawodzącego za węglem. Chyba nie może być mi lepiej, myślała czasami. Czy jednak wolno mi zapomnieć o wszystkim, co istnieje poza tą wyspą? Czy wolno mi żyć tylko chwilą? Cudownymi wieczorami przy kominku, kiedy ciało ogarnia błogosławione zmęczenie po pracowitym dniu? Otoczona szczerą przyjaźnią Nera i Ester?

Ester przekazała dalej list Tiril do Erlinga. Opowiadając o tym, przestraszyła i jednocześnie ucieszyła dziewczynę.

— Syn sąsiada, kiedy u nich byłam, wspomniał, że w mieście Bergen, tęsknią za piękną córką konsula — oznajmiła.

— Musiało chodzić o Carlę — westchnęła Tiril. — Pomyśleć tylko, że ją pamiętają!

— Najwidoczniej nie chodziło o Carlę, co to, to nie. Może Carla chodziła do portu i rozmawiała z ludźmi? Wiele usłyszałam o pannie konsulównie, i to same tylko dobre słowa! Wszyscy wychwalali pod niebiosa zaginioną dziewczynę, wprost niedobrze się robiło na myśl o tym, jaka musiała być wspaniała.

Ester powiedziała to z kwaśną miną, żeby Tiril przypadkiem nie wpadła w samouwielbienie.

— Naprawdę? — cichutko szepnęła Tiril, kraśniejac z zażenowania.

— Owszem, i wszyscy biedacy tęsknili za tą Tiril Dahl, bo przynosiła im jedzenie, ubranie i pieniądze, opiekowała się chorymi i niedołącznymi, a bezpańskie psy karmiła kotletami schabowymi.

— Wcale tego nie robiłam!

— No, no, już ja dobrze wiem, co z ciebie za jedna. Jak można tak chować światło pod statkiem!

Tiril nawet nie starała się poprawić dziwnego wyrażenia przyjaciółki.

— Nie mówiłaś chyba nikomu o tym, że jestem tutaj?

— Aż taka głupia nie jestem. Taką bryłkę szczerego złota zatrzymam, oczywiście, dla siebie.

Tiril uśmiechnęła się.

— Nie można powiedzieć, żebyś się na mnie wzbogaciła!

— Owszem, wyobraź sobie, że tak — odparła Ester, z gniewem patrząc jej w oczy. — Mam najlepsze towarzystwo, o jakim może marzyć samotna i okropna baba. Tak to już jest.

Ester opowiadała jej czasami o swym wcześniejszym życiu. Urodziła się jako najmłodsza z rodzeństwa, odziedziczyła wyspę wraz z domem, łodzią i ogniskami, wychowała się na morzu i innego świata nie znała.

Sprawiła wrażenie zadowolonej z takiego życia. Jeśli czegoś jej brakowało — poczucia bliskości, czułości, miłości — i tak nigdy o tym nie wspominała. A Tiril nie chciała pytać. Były to sprawy zbyt intymne, a pytania mogły tylko zranić.

Potem nadciągnęły jesienne sztormy.

W Ester nagle jakby wstąpiło życie. Oczy lśniły jej niemal diabelskim blaskiem, wykazywała gorączkową aktywność, głównie w związku z ogniskami. Stos drewna na południowym krańcu wyspy palił się nieprzerwanie dzień i noc, ogień płonął tu w zaciszu, mógł też być podtrzymywany węglem drzewnym, nie musiały więc biegać nocą i do niego dokładać. Wielkiego ogniska na północnym brzegu nigdy nie zapalano. Ester mętnie wyjaśniała, że trzyma je w rezerwie; nie miała ochoty odpowiadać na podobne pytania. Ale oczy jej świeciły. I tak wszystko, co mówiła, Tiril przyjmowała za dobrą monetę. Przynajmniej do tej nocy, kiedy poznała sens starego wyrażenia: „żniwa w szalejącej burzy”.

Rozdział 3

Erling Müller stał przy oknie w swoim gabinecie i spoglądał na port.

Jego myśli, jak zwykle, krążyły wokół Tiril. Szukał jej od tygodni, lecz dziewczyna jakby zapadła się pod ziemię.

Mimo wszystko jednak nie wierzył, że Tiril nie żyje, nie on jeden bowiem jej poszukiwał. Dwaj tajemniczy mężczyźni ostrożnie rozpytywali o nią wszędzie, także w jego biurze, oczywiście podczas jego nieobecności.

Westchnął ciężko. Ułynęło już tyle czasu...

Czuł się w pewnym sensie odpowiedzialny za Tiril. Nie miała przecież nikogo innego, kto by się o nią troszczył.

Móri był na Islandii i szukał tej przeklętej „Rödskinny”. Erling zarazem cieszył się i smucił, że nie ma go właśnie teraz w Bergen. Cieszył się, bo Móri był wszak groźnym rywalem w walce o względy Tiril, a martwił, ponieważ przydałaby mu się pomoc tajemniczego czarnoksiężnika w poszukiwaniach zaginionej.

Erling miał świadomość, że uczynił wszystko, co w jego mocy, aby pomóc Tiril. Osobiście dopilnował spraw związanych z pogrzebem jej przybranych rodziców. Była to nieprzyjemna uroczystość, ogłoszono wiele napuszonych mów o wspaniałości i wielkości konsula Dahla, o tym, ile znaczył dla miasta. Erling ledwie zdołał opanować gniew na wspomnienie dwóch młodych dziewcząt, których życie zrujnował Dahl.

Na cmentarzu, kiedy trumny składano do grobu, Erling dostrzegł dwóch mężczyzn, wyglądem odpowiadających opisowi złoczyńców, przekazanemu mu przez Tiril. Starszy z nich miał kozią bródkę, drugi był młodszy i właściwie niczym się nie wyróżniał. Stali daleko, w cieniu kościoła, a Erling nie mógł do nich podejść, bo nie chciał przerywać mowy pastora. Później zniknęli mu z oczu; z pewnością szukali Tiril na pogrzebie.

Erling udał się do wójta i opowiedział mu o mężczyznach, twierdząc, że to oni zamordowali konsula i jego żonę, usiłowali też zabić Tiril.

— To nonsens! — zaoponował wójt. — Wiemy przecież, że zrobił to jakiś człowiek znajdujący się na czarach, wyglądający jak śmierć we własnej osobie.

— To absolutnie niemożliwe — zapewnił go Erling tak przygnębiony, że

wójt wreszcie mu uwierzył. — Czarnoksiężnik był przyjacielem Tiril i jej jedyną ochroną przez pewien czas, kiedy konsul ją napastował.

Wójt zapragnął dowiedzieć się czegoś więcej na ten temat, chociaż z początku głęboko urażony zawołał, że nie wolno źle mówić o zmarłych. Erling wyjaśnił mu więc, co wie o całej sprawie, która, jego zdaniem, miała związek z Tiril i jej prawdziwym pochodzeniem.

— No cóż, i tak musimy dopaść tego czarnoksiężnika — mruknął wójt. — Nie może chodzić wolno i straszyć ludzi do szaleństwa.

— O nim można zapomnieć. Nie ma go już w Norwegii.

— Ach, tak? Wobec tego chcę poznać całą historię sióstr Dahl!

— Chętnie ją opowiem. Bardzo będę sobie cenił współpracę z panem, bo trzymam stronę Tiril, lecz jestem, trzeba przyznać, dość w tym osamotniony. Tych dwóch mężczyzn, z których jeden nosi imię Georg, najchętniej zobaczyłbym za kratkami, i to jak najprędzej.

Erling przedstawił wójtowi zawite układy rodzinne Dahlów. Pani Dahl poślubiła żołnierza i miała z nim córkę, Carlę. Po śmierci owego żołnierza powtórnie wyszła za mąż, za Dahla. Ich dziecko zmarło podczas porodu. Tak się złożyło, że akuszerka właśnie wtedy miała u siebie noworodka, który przyszedł na świat w najgłębszej tajemnicy. Tym dzieckiem była Tiril. Dahlowie wzięli ją do siebie i przez te wszystkie lata dostawali pieniądze od nieznaney matki dziewczynki. Dahl otrzymał tytuł konsula, ich sytuacja materialna znacznie się poprawiła.

— Do tej pory wszystko toczyło się w miarę gładko — ciągnął Erling. — Potem jednak Dahl zaczął napastować małą Carlę, księżniczkę z bajki.

— Tak, Carla rzeczywiście była czarującym, wprost uroczym dzieckiem — pokiwał głową wójt, ale już następne słowa zdradziły, jak kiepsko zna się na ludziach. — Natomiast jeśli chodzi o tę drugą, to nie była powodem do dumy.

Twarz Erlinga spochmurniała.

— Moim zdaniem, z kogo jak z kogo, ale z Tiril można być naprawdę dumnym. Dajmy jednak temu spokój. Z tego, co mi mówiła, konsul zaczął wykorzystywać Carlę bardzo wcześnie. Tiril nie potrafiła ustalić dokładnie, przypuszczała jednak, że zaczął, kiedy siostra miała sześć lat.

— Do kroćset! — wykrzyknął wójt z oburzeniem. — I pomyśleć, że utrzymywało się kontakty z takim łajdakiem!

— Przypuszczam, że Carla bardzo chciała mnie poślubić — rzekł Erling, utkwivszy wzrok gdzieś w niezmierzonej dali. — Tiril o tym wspominała. Ale jak można wyjść za mąż z takim obciążeniem jak Carli? Rozumiem, że to pchnęło ją do samobójstwa.

— Hm — mruknął wójt, pobiełały na twarzy.

— W sprawę zamieszana jest jeszcze jedna osoba — powiedział Erling. — Pewien lichwiarz, zacząłem już o niego rozpytywać, wykorzystując moje koneksje. Tiril widziała go wielokrotnie i potrafiła dobrze go opisać. On ma chyba niewiele

wspólnego z popełnionymi morderstwami, wiedział jednak o pochodzeniu Tiril. A to naprawdę ważne! Tiril jest bowiem kluczową osobą w całej tej zawikłanej sprawie.

— Tak, już pan o tym wspominał — mruknął wójt. — I mówił pan, że konsul nastawał także i na jej cześć?

— Tak, całkiem niedawno, Tiril nie jest jednak lalką z porcelany. Złamała kość nosową swemu przybranemu ojcu, a potem uciekła z domu.

Wójt przez dobrą chwilę milczał, usiłował przetrwać bulwersującą historię. Do tej pory wyobrażał sobie, że wspaniały tytuł stanowi jednocześnie gwarancję wspaniałości jego właściciela, teraz jednak wszystkie jego iluzje legły w gruzach. Gotów był skrócić kark konsulowi Dahlowi.

Ktoś jednak zrobił to już wcześniej...

W końcu kiwnął głową.

— Dobrze, panie Müller. Jestem do pańskiej dyspozycji.

— Dziękuję. Proszę o pomoc w odnalezieniu Tiril! Prawda o jej pochodzeniu, a także ci dwaj mordercy mają w tej chwili podrzędne znaczenie, wierzę, że pan to pojmuje. To ona jest dla mnie najważniejsza.

— Doskonale rozumiem. Zrobię, co w mojej mocy.

Działania rozpoczęły od odszukania lichwiarza.

Zajęło im to trochę czasu, właściwie o wiele więcej niż przewidywał Erling. Lichwiarz musiał być szczywany jak lis, potrafił zacierać ślady.

Zdobyli jednak adres jego kantoru. I właśnie teraz Erling stał przy oknie, wypatrując, kiedy zza rogu od strony portu wyłoni się dostojna postać wójta.

Wrócił myślą do ostatnich tygodni; prawdę mówiąc, można już było liczyć je na miesiące. Otrzymał w tym czasie wiele propozycji od młodych kobiet. Był przecież doskonałą partią, powtarzano mu to często, celowała w tym zwłaszcza jego matka, bezustannie podsuwając kolejne kandydatki do zamążpójścia. Śliczne panny, bogate panny, panny wszelkiego rodzaju...

Jego jednak nie interesowała żadna z nich, pozostawał obojętny na ich zalety.

Działo się tak, ponieważ poznał Tiril, dzielną samotniczkę o fascynującej osobowości. Dziewczynę, z którą można było rozmawiać.

Na cóż mu więc „świetna partia, żona godna jego”?

Tiril, Tiril... Jakby zapadła się pod ziemię, zniknęła bez śladu.

Od czasu do czasu widywano natomiast dwóch tajemniczych mężczyzn. Dopóki i oni szukali dziewczyny, Erling wciąż miał nadzieję.

Bardzo chciał pojechać do Christianii, by pomóc Tiril w odnalezieniu jej korzeni, ale praca w firmie ojca pochłaniała wiele czasu. Choć, trzeba przyznać, ostatnio trochę ją zaniedbał.

Nareszcie! Nareszcie na wietrznej kei pojawił się wójt.

Natychmiast udali się do kantoru lichwiarza.

Kantor, tak jak się spodziewali, okazał się mały, zapuszczony, brudny i dobrze ukryty w najmroczniejszych zaułkach dzielnicy portowej.

Ktoś jednak w nim pracował! Młody człowiek w wytartych zarękawkach, wychudzony, jakby przez całe życie odżywał się tylko cienkimi kromkami suchego chleba i skwaśniałym mlekiem, przywitał ich, prawdopodobnie z przyzwyczajenia, lękiem i podejrzliwością.

Niestety, jego pracodawca nie pojawiał się od mniej więcej dwóch tygodni.

— Czy to normalne? — spytał wójt.

— Nie, nie bardzo — przeciągając słowa odparł młody człowiek. — Zdarza się, że wyjeżdża, ale nigdy na tak długo, nie uprzedziwszy mnie o tym. Prawdę mówiąc, sam zacząłem się już zastanawiać.

Erling najbardziej władczym tonem, na jaki go było stać, spytał:

— Gdzie przechowuje dokumenty? Chcemy sprawdzić dane dotyczące pewnego konkretnego klienta.

Młodzieniec wystraszył się jeszcze bardziej.

— Wszystko jest w archiwum, do którego ja nie mam kluczy.

Po jego nerwowo rzuconym spojrzeniu zorientowali się, że archiwum mieści się za niewielkimi drzwiami. Wójt nacisnął klamkę, ale drzwi oczywiście były zamknięte.

Nie mieli upoważnienia, by przeprowadzić rewizję, najpierw należało odnaleźć samego lichwiarza.

— Gdzie on mieszka?

Otrzymaawszy adres, natychmiast się tam skierowali. Dzień był wyjątkowo wietrzny, jesienne sztormy nadciągnęły już z pełną siłą.

— Ci dwaj mężczyźni, których uważamy za morderców Dahlów... — Wójt mówił wolno, zasłaniając uszy przed wiatrem. — Ciekawe, czy oni wiedzą o istnieniu lichwiarza?

— Mało prawdopodobne, ale... Trudno powiedzieć.

— Sądzi pan więc, że nie są w zмовie?

— Tego nie wiem, ale, jak już mówiłem, wydaje się to mało prawdopodobne. Według słów Tiril lichwiarz to typ spod ciemnej gwiazdy. Chytry i podstępny, nie brzydzi się szantażem.

— Ale ci dwaj też chyba nie są najlepszymi dziećmi Boga?

— Nie, nie, ale nawet bagno nie jest jednolite.

Dom lichwiarza wyglądem odpowiadał kantorowi. Oszust albo nic nie zarabiał na swych ciemnych sprawkach, albo też był nieprawdopodobnie skąpy. Jak się tego spodziewali, mieszkał całkiem sam. Wskazywało wszak na to nieporządne ubranie, o którym wspominała Tiril.

Stukali do drzwi, ale nikt nie odpowiedział w końcu nie pozostawało im nic innego, jak pójść do sąsiadów.

Niestety, człowieka, którego poszukiwali, nikt nie widział już od dawna. Sąsiedzi nic nie wiedzieli, nie chcieli mieszać się w jego sprawy. Lichwiarz był bardzo ostrożny, wychodził z domu i wracał chyłkiem, z nikim nie utrzymywał bliższych kontaktów. Czy zauważyli dwóch mężczyzn, odpowiadających opisowi? Nie, i z tego, co sąsiedzi zdołali zaobserwować, rzadko go ktoś odwiedzał.

Niewiele więc się dowiedzieli.

— Czy można przypuszczać, że on wyjechał do Christanii? — spytał wójt.

— Żeby wyciągnąć jeszcze więcej pieniędzy ze sprawy Tiril? Nie mam pojęcia — odparł Erling. — Chyba tylko on sam wie, do jakiego stopnia jest w to zamieszany.

Czuł w sobie ogromną pustkę. Nawet śladu po Tiril. Ani po Nerze.

Opieczętował dom dziewczyny, załatwił interesy konsula, zadbał też o to, by służący otrzymali odprawę i nowe miejsca pracy. Nie miał jednak serca, by przeglądać pozostałe w domu rzeczy czy tym bardziej wystawiać je na sprzedaż. Nie chciał tego robić, dopóki nie pozna losu Tiril.

Upływały miesiące. Boże Narodzenie. Nowy Rok. Erling wciąż nie mógł się wyrwać, by pojechać do Christanii. Starał się, lecz oburzona rodzina żądała, by zajmował się firmą. A najlepiej ożenił. Dlaczego, na przykład, nie z bogatą panną Drake?

Ale nie, on nie chciał żadnej panny Drake, bez względu na jej urodę, wdzięk i bogactwo.

Chciał Tiril! Tiril, której nigdzie nie było. Właściwie szkoda, że nie sporządził spisu dobytku Dahlów, prędko by się wtedy zorientował, że gdzieś się zapodziała nieduża łódź wiosłowa. Mogłoby mu to dać co nieco do myślenia.

Nie uczynił tego jednak. Czasami można przesadzić z delikatnością.

Ileż to razy żałował, że mimo wszystko nie ma z nim Móriego. Móri wszak tyle potrafił. Może byłby w stanie wyczuć, co przydarzyło się Tiril? Chociaż pewnie jego znajomość czarów nie była aż tak dogłębna.

Pewnego dnia odwiedził go wójt i bez zbędnych wstępów powiedział, z czym przychodzi.

— Otrzymałem informację, że w okolicy cypla Nordneset morze wyrzuciło na ląd zwłoki. Pójdzie pan ze mną?

Po plecach Erlinga przebiegł lodowaty dreszcz. Czuł, że cała krew odpływa mu z twarzy.

— Kto to taki?

— Nic więcej nie wiem. Chodźmy!

Wójt najwidoczniej nie chciał być sam przy oględzinach. Pełni najgorszych przeczuć natychmiast wyruszyli na Nordneset.

Tłum ludzi na brzegu wskazał im miejsce, gdzie znaleziono topielca. Na widok eleganckiego Erlinga i błyszczących guzików wójta gapie zaraz się rozstąpili.

Erling ledwie śmiał spojrzeć.

Nie wypada może mówić, ale na widok napuchniętego trupa obaj odetchnęli z ulgą.

Ubrane w czerń obrzmiałe zwłoki zdecydowanie nie były ciałem Tiril.

— To musi być on — mruknął Erling. — Człowiek, którego szukamy.

— Z pewnością. — Wójt podszedł o kilka kroków bliżej. — Długo leżał w morzu.

— Tak, tak, a w takich okolicznościach nie wygląda się apetycznie. Ale oto utraciliśmy źródło informacji.

— I tak, i nie. Teraz mam prawo przeszukać jego tak zwane archiwum. Czy zechce pan towarzyszyć mi przy przeglądaniu tych papierów? Nie mogłem się do tego zabrać, dopóki traktowano go jako zaginionego. Ale teraz?

— Oczywiście! Być może uda nam się znaleźć coś, co naprowadzi nas na ślad, kim naprawdę była Tiril. To znaczy, kim jest! Ale, och! Proszę spojrzeć na szyję tego człowieka!

— Już to zauważyłem. Ma poderżnięte gardło. Nic dziwnego, że tak okropnie wygląda. Gdy wrzucono go do wody, miał w sobie niewiele krwi. No cóż, zajmę się najpierw tym, a potem może się spotkamy, powiedzmy za dwie godziny?

Erling przygnębiony odwrócił się od odrażającego widoku.

— Zaczekam u siebie w biurze.

Odszedł, a wójt przystąpił do wypełniania swych nieprzyjemnych obowiązków.

Tajne archiwum lichwiarza okazało się nie uporządkowanym zbiorem pokrętnych dokumentów. Wójt od czasu do czasu wydawał okrzyki zdumienia: „To ci dopiero, i on tutaj jest? I ten także? Najwidoczniej miał jakieś swoje ciemne sprawy. Jakaś dama... Wpadła w finansowe tarapaty. Ojoj! To by było coś dla miejscowych plotkarek! A tu mamy samego... No, trzeba trzymać język za zębami. Temu łajdakowi udało się pochwyć w sieci wielu zacnych obywateli i obywaterek naszego miasta.

Wreszcie stwierdził:

— I cóż za horrendalny procent! Nic dziwnego, że musiał pożegnać się z życiem!

— To chyba jasne, kto go zamordował — odparł Erling. — Czy znalazł pan coś na temat konsula Dahla?

— Na razie jeszcze nie. Zaraz, zaraz, dawno coś powinno mi wpaść w ręce, bo przecież „d” to jedna z pierwszych liter, ja tymczasem dotarłem już do „m”. Trzeba się cofnąć.

O Dahlu nic nie było.

— Może pod jakąś inną literą? — sugerował Erling. — Coś mogło zostać zapisane pod prawdziwym nazwiskiem Tiril.

— A jak ono brzmi?

Erling westchnął.

— Tego nie wiem. Ale szukajmy dalej.

To było długie popołudnie. Odkryli wiele brudów: sprawy, które nigdy nie miały ujrzeć światła dziennego, dowody kłopotów finansowych ludzi, w których wypłacalność nikt nie śmiał wątpić, listy z pogrózkami napisane przez tych, którym pozostała jedynie pozłacana fasada. Erling był naprawdę wstrząśnięty marną sytuacją finansową części swych najlepszych nawet klientów. W archiwum znalazły się listy kobiet błagających o zwrot zastawu, małżonków stopniowo nabierających podejrzeń, listy mokre od łez, listy pozwalające wyjaśnić dotąd nie zrozumiałe samobójstwa...

Ten lichwiarz zasłużył sobie na śmierć, obaj byli co do tego zgodni, kiedy, zakurzeni i brudni, musieli się wreszcie poddać.

Przejrzeli wszystkie papiery, lecz o konsulu Dahlu ani o Tiril nie było tam ani jednej wzmianki.

— Jakiś ślad musiał tu zostać — upierał się Erling.

— Ale czyż Tiril nie mówiła, że konsul zdołał zapłacić wszystko, co był winien temu łajdakowi?

— Owszem, ale nie wyobrażam sobie, żeby lichwiarz wyrzucił cokolwiek, co mogłoby mu się przydać w przyszłości.

— Wobec tego pozostaje jedno wytłumaczenie: ktoś się tu włamał i skradł papiery.

Erling pokiwał głową.

— W każdym razie wiemy, że konsul Dahl wierzył, iż sam może się posłużyć szantażem wobec matki Tiril lub kogoś występującego w jej imieniu. Pewnie wyszkolił się u tego oszusta. Ale Dahl nie powinien był się o to nigdy pokusić.

— To prawda. Mieszanie uczuć z pieniędzmi to niebezpieczna gra. A teraz proponuję rozmówić się z tym urzędniczyną.

Urzędnik, obraz nędzy i rozpacz, siedział przerażony w głównym kancie. Włamanie? Nie... Chociaż... Jesienią... Musiał przecież wymienić zamek w drzwiach, bo klucz tak trudno było wsunąć do dziurki. Ale czy to można nazwać włamaniem?

— Może pan być pewien, że ktoś przybył tu w niecznych zamiarach i uszkodził przy tym zamek. No cóż, nic tu po nas.

Następnego dnia Erling dokonał w swym biurze odkrycia, które nim do głębi wstrząsnęło.

Szukał właśnie jakichś dokumentów w jednej z szaf, gdy na najniższej półce spostrzegł nieduży, zwinięty w rolkę kawałek kory brzozy.

— Co to jest? — zwrócił się do siostry, która często bywała w kantorze, ponieważ pomagała mu w rachunkach.

— Co takiego? Ach, o to ci chodzi. Co to może być? Pozwól mi się zastanowić! Już wiem, przyniósł to jakiś chłopak, prostak najgorszego rodzaju. Powiedział, że to dla ciebie. To, oczywiście, od którejś z twoich licznych wielbicielek. Położyłam to tam, bo nie chciałam tego ani wyrzucać, ani też zawracać ci głowy natrętnym plebejuszem.

Erling zdążył już odwiązać rzemyk otaczający zwój kory i usiłował go teraz rozprostować. Kora ze starości wyschła i zeszywniała.

— Coś tu napisane, ale prawie nieczytelne. . .

Z wzbierającym przerażeniem, pomieszonym z radością i gniewem, przeczytał:

Miewam się dobrze, lecz boję się wracać do domu. Nie szukaj mnie, tylko daj znać, co się tam dzieje. Przyjadę, kiedy powiadomisz mnie, że jestem bezpieczna. Wybacz mi moje zniknięcie. Nie mogłam postąpić inaczej.

Tiril.

Erling o mało nie rozplakał się z rozpacz.

— Mów! Czy chłopiec prosił o odpowiedź?

— Co takiego? Tak, prosił, ale jak już mówiłam: nie chciałam ci zawracać głowy takimi głupstwami. Wrócił zresztą kilka tygodni później, ale wtedy wyrzuciłam go za drzwi. Kiedyś trzeba w końcu położyć kres takiej natarczywości! Ależ, co się z tobą dzieje?

Nigdy jeszcze nie widziała brata tak rozgniewanego.

— Christine — wyszeptał zdrętwiałymi ustami ze łzami w oczach. — Czy wiesz, co ty zrobiła? To był list od Tiril!

— Czy to źle? Teraz przynajmniej wiesz, że ona żyje.

— Owszem, ale gdzie jest? I czy żyje jeszcze teraz? Kiedy chłopiec był tu ostatnio? Myślisz, że jeszcze wróci?

— Chy-chyba nie, mógł się przestraszyć — wyjąkała Christine. — Byłam wobec niego dość surowa.

Erling poderwał się rozzłoszczony.

— Jak mogłaś postąpić tak bezmyślnie? Czy ktoś inny widział chłopaka?

— Skąd mam to wiedzieć po tak długim czasie? Erlingu, przepraszam, jeśli uczyniłam coś nie po twojej myśli, ale chciałam tylko twojego. . .

Nie słuchał dłużej, już wybiegł, by wypytać pracowników. Poruszał się prawie na oślep, bo łzy zalały mu oczy.

Móri, powtarzał sobie w duchu, Móri, powinieneś tu być, tak cię potrzebuję. O, dlaczego przyczyniłem się do tego, byś opuścił Norwegię?

Erling zdawał sobie jednak sprawę, że to nie on popchnął Móriego do wyjazdu. Móri sam był zdecydowany jechać, by odszukać osławioną „Rödskinne”.

Christine zrezygnowana spoglądała za bratem. Nie mogła go zrozumieć. Przy stojniejszego mężczyzny próżno by szukać ze świecą w całym Bergen. Wysoki, postawny, zawsze elegancko ubrany. Jasne włosy lokami spływały aż do ramion, ciemnoniebieskie, budzące zaufanie oczy przydawały uroku szlachetnej twarzy. Sympatyczny, życzliwy i dobry. Bogaty młody człowiek, posiadający władzę, którą z latami mógł jedynie pomnażać.

Erling miał naprawdę wszystko, czego można sobie życzyć. A gonił za jakimś zerem, za tą Tiril Dahl, która nigdy nie zdobyła liczącej się pozycji w towarzystwie. Na cóż mu ona? Przedtem miał zamiar poślubić Carlę, siostrę Tiril. To jeszcze dało się zrozumieć. Carla bowiem była czarującą, śliczną i uległą dziewczyną. Ale Tiril?

Christine pamiętała ją jako dziwne dziecko, zawsze chadzające własnymi drogami, popełniające okropne gafy na przyjęciach i, o zgrozo, głoszące własne opinie.

Co prawda wyrosła na ładniejszą, niż wszyscy się z początku spodziewali, Christine też było trochę jej żal, dziewczyna straciła jednak całą rodzinę, ale w jakież nieprzyzwoity sposób! Carla popełniła samobójstwo, a tego Christine absolutnie nie mogła zrozumieć, panna miała jednak miłość Erlinga, czekała ją wspaniała przyszłość. A rodziców zamordowano! Takich rzeczy się nie robi, zwłaszcza jeśli pragnie się być zaliczonym do elity miasta.

Christine nie chciała nawet myśleć o plotkach krążących na temat Tiril. Podobno dziewczyna obracała się wśród biedoty, pielęgnowała chorych, nosiła im jedzenie. To, to... to przecież niebezpieczne, dla ciała i ducha.

Plotki głosiły także, że Tiril wałęsała się z bezpańskimi psami, miała nawet wśród nich jednego ulubieńca. Wszystko to razem sprawiało niezwykle wulgarne i prostackie wrażenie. I o kogoś takiego zabiegał wspaniały brat Christine!

Christine była bardzo z siebie zadowolona, że wyrzuciła tamtego chłopaka za drzwi. Nie mogła jednak zrozumieć, dlaczego Erling tak bardzo się o to rozgniewał.

W związku z Tiril krążyła jeszcze straszniejsza pogłoska. Podobno dziewczyna utrzymywała związki z... z mężczyzną-czarownicą. Jak się nazywa ktoś taki? Czarnoksiężnik? I ten bezbożnik miał się ze dwa razy publicznie pokazać z Erlingiem!

Christine gorąco pragnęła, aby Tiril nigdy nie odnaleziono. I by nikt nigdy nie ujrzał już na oczy tego strasznego czarnoksiężnika.

Wzdrygnęła się i wyciągnęła puderniczkę. Musiała ładnie wyglądać w drodze do domu.

Mogło się przecież zdarzyć, że spotka któregoś z kawalerów przechadzających się po Torvalmenningen.

Rozdział 4

Erling, jasnowłosy, szczery, otwarty młody człowiek z najlepszej rodziny, ze wspaniałymi widokami na przyszłość, był absolutnym przeciwieństwem Móriego.

Łączyła ich jedynie troska o Tiril.

Móri był, jak mówiła Tiril, dzieckiem Nocy i Śmierci. Miał bladą niczym kość słoniowa cerę kontrastującą z czarnymi niby węgle oczyma i okalającymi twarz włosami, niezwykle powolne ruchy, jak gdyby rytmem życia różnił się od innych śmiertelników, łagodny, niemal przerażający uśmiech...

Całą swą osobą niebывale kusił i pociągał.

Zarówno jednak Erling, jak i Tiril zwrócili uwagę na jeszcze dziwniejszy element jego osobowości. Móri wznosił się ponad wszystko, co miało związek z ludzkimi uczuciami, takimi jak miłość, pożądanie czy erotyzm. Niezwykła siła bijąca odeń miała w sobie inne treści. Najtrafniejsze byłoby chyba przyrównanie jej do tęsknoty za śmiercią.

Tiril kochała go na swój sposób. Nie było to gorące pożądanie, gwałtowny pociąg fizyczny czy nawet platoniczna miłość. Nigdy nie zdołała nazwać uczuć, jakie dla niego żywiła. Od czasu do czasu przypominała sobie tę noc, gdy leżała chora, a on siedział przy jej pościeli i gładził po piersi. Gwałtownie zareagowała na jego dotyk, ale jednak wówczas go nie pragnęła, uczucia, jakie nią targwały, były zupełnie czymś innym. Przeraziła się wtedy do szaleństwa, jakby Móri miał ściągnąć ją w głąb otchłani, należącej do królestwa śmierci. Tęsknota za śmiercią może niekiedy mieć podłoże erotyczne, posmak łagodnej zmysłowości.

O tym jednak Tiril, rzecz jasna, nie wiedziała.

Tęskniła za swym przyjacielem Mórim. Tęskniła za spojrzeniem, jakie czasem jej posyłał, za pojawiającym się powoli uśmiechem. Za wszechwiedzą, malującą się w jego oczach. Za smutkiem, żalem, samotnością...

Ach, ta jego samotność, znacznie głębsza niż zwykłych ludzi! Móri był na całym świecie jedyny w swoim rodzaju, Tiril często o tym rozmyślała wtedy, gdy jeszcze znajdował się blisko niej. Samotność ta wiązała się w pewien sposób z przemijaniem czasu i przestrzenią kosmiczną, dana mu była wiedza nie przeznaczona dla zwykłych śmiertelników, pozwolił się wciągnąć wirowi, z którego

nie był już w stanie się wyrwać.

Dlatego właśnie był taki niebezpieczny, Erling i Tiril ledwo to przeczuwali, nie mogli jednak zrozumieć, co tak ich w nim przerażało. Nikt nie powinien zapuszczać się na nieznane ścieżki, nie dające się objąć rozumem. Gdy jest się słabym, umysł odmawia posłuszeństwa. Gdy jest się silnym jak Móri, traci się kontakt ze światem ludzi.

Sam Móri być może jakoś by sobie z tym poradził. Istniało jednak niebezpieczeństwo, że pociągnie za sobą innych.

Może dlatego szukał samotności?

Kiedy Tiril światały w głowie takie myśli — zaledwie światały, nigdy nie objawiając się jasno — miała wrażenie, że przez pokój przemykał lodowaty powiew i ciarki przebiegały jej po plecach.

Potem zawsze, sama nie wiedząc dlaczego, wybuchiała płaczem.

Dotarcie na Islandię zajęło Móriemu sporo czasu.

Statki między Wyspami Owczymi a jego ojczyzną nie kursowały tak często, jak przypuszczał, w oczekiwaniu na połączenie zastała go zima. Musiał spędzić ją na Wyspach, na odludziu, mając za sąsiada starego człowieka. Nikt więcej nie wiedział o Mórim.

Dopiero wiosną następnego roku dotknął stopą owej niezwyklej nagiej wyspy, za którą tęsknił tak długo.

Cieszył się wszystkim, co tu zastał. Z rozkoszą wdychał powietrze, przesycone szczególnym zapachem porośniętych mchem pól wygasłej lawy. Chłód bijący od szczytów pokrytych wiecznym śniegiem był dla niego niczym strumień świeżości, niosący jednocześnie powiew pradawnych czasów.

Nie mógł natychmiast wyruszyć na północ Islandii, musiał czekać, aż zrobi się cieplej. Okres topnienia lodów jeszcze się nie skończył.

Niecierpliwość spalała mu duszę.

„Röðskinna”. Klucz do tajemnej mądrości, nie mający sobie równych.

Chcąc skrócić czas oczekiwania, postanowił odwiedzić swego starego przyjaciela, wielbego Eirikura z Vogsos.

Przybył jednak za późno. Z goryczą przyjął wieść, że sira Eirikur Magnusson już nie żyje. Wiadomość ta napełniła Móriego ogromnym żalem, wiele bowiem miał z nim do omówienia, wielu rad potrzebował, tyle przecież zobaczył i przeżył w nieznanym, dalekim kraju, Norwegii.

Udało mu się tylko porozmawiać z jednym ze służących wielbego. Sługa, chociaż już starzec, doskonale pamiętał Móriego — któż zresztą mógłby go nie pamiętać? Uradował się widokiem młodego przybysza i tym, że będzie mógł mu wszystko opowiedzieć.

— Sira Eirikur był naprawdę wspaniałym człowiekiem — zaczął z przejęciem.

— Jednym z najbardziej wielkodusznych. Potrafił jednak trochę za dużo, i ty, i ja dobrze o tym wiemy, Móri.

Móri pokiwał głową.

— Jaki był jego koniec?

— No, wszyscyśmy się trochę bali. Kochaliśmy go bardzo i lękaliśmy się, że być może po śmierci trafi. . . wiesz, gdzie.

— Tak, rozumiem.

— Ale nasz drogi, uczony pastor był przewidujący. Na łożu śmierci wskazał, kto ma nieść jego trumnę. Ja byłem jednym z wybranych — dodał staruszek z nieskrywaną dumą. — Sira Eirikur twierdził, że w chwili, gdy będziemy wynosić trumnę z kościoła, rozpęta się gradobicie. Prosił, by dopóki trumna nie zostanie wniesiona z powrotem do kościoła, nie stawiać jej ani przez moment na ziemi. Wówczas burza gradowa ucichnie. Później, jak mówił, nad kościołem ujrzemy dwa walczące ptaszyska, białe i czarne. Gdyby walkę wygrał biały ptak i siadł na kościelnej wieży, oznaczałoby to, że naszego drogiego pastora należy pogrzebać na cmentarzu, w poświęcanej ziemi. Gdyby jednak zwyciężył czarny ptak i przysiadł na dachu kościoła, pastora należało pochować poza murami cmentarza, znaczyłoby to bowiem, że jest stracony.

Zawstydzony staruszek zaśmiał się i otarł nos.

— Jak tak mówił, to myśleliśmy, że postradał zmysły. . .

— Ejże, chyba nie. — Móri spojrzał na niego łagodnie.

— No tak. Jeśli chodziło o pastora, to można się było po nim spodziewać wszystkiego. To, czym się zajmował, to nie były błahostki. Postąpiliśmy więc dokładnie tak, jak nam nakazał. I wyobraź sobie, Móri, wszystko przebiegło zgodnie z jego przewidywaniami: grad zaczął sypać jak groch, nadleciały też ptaki. Stoczyły prawdziwą bitwę. Zwycięstwo odniósł biały i sira Eirikur spoczął na cmentarzu.

— Tego nigdy bym nie pomyślał — rzekł Móri zdziwiony.

— My także nie mogliśmy uwierzyć własnym oczom. Widać Pan Bóg ulitował się nad nim, ale bo też i nasz wielebny uczynił wiele dobrego.

— Oczywiście. Był szlachetnym człowiekiem, nigdy go nie zapomnę. A jaki los spotkał jego przyjaciółkę, Disę? Czy przyszło jej tańcować w piekle?

— Stokkseyri-Disa? — Starzec zaśmiał się dobrodusznie. — Nie, ona jeszcze żyje. A jej kuzyn, Thormodhur Torfason, został znanym historykiem jak jego ojciec. Może i to wyznaczy im drogę do piekła, skąd mogę wiedzieć?

— Rzeczywiście, dziejopisarze potrafią zapewne kłamać i zmieniać bieg historii według własnego uznania — uśmiechnął się Móri. — Teraz jednak muszę ruszać dalej, zmierzam do siedziby biskupiej w Holar na północy.

— Drogi na razie nieprzejezdne. Możesz zostać u mnie, mam dosyć miejsca po tym, jak żona umarła, a dzieci się wyniosły. Hm. . . powiedziałaś, Holar? Jeszcze ci nie wywietrzała z głowy. . . — Ściszył głos do szeptu: — . . . ta księga?

— Nie, najwidoczniej nie. Musi należeć do mnie. Sira Eirikur uprzedził mnie i zaklęciami wydobyl „Graskinnę”. Na szczęście pozwolił mi ją przeczytać i uczyć się z niej. Ale „Rödskinna” jest moja. To ja wskrzeszę złego biskupa Gottskalka i wydrę mu księgę.

— Strasznie wyglądasz, Móri, kiedy oczy tak ci się świecą. Ale jeśli zależy ci na zdobyciu tej księgi, to musisz się pospieszyć. Powiadają, że jeden z tamtejszych uczniów doskonale zna się na czarach i pragnie tego samego.

W spojrzeniu Móriego pojawił się niepokój.

— Nie wolno do tego dopuścić. Muszę natychmiast tam wyruszyć!

— Wstrzymaj się do czasu, aż da się przebyć rzeki, inaczej się utopisz.

Jak diakon z Myrka, pomyślał Móri.

— Masz rację — przyznał. — Na razie muszę być cierpliwy.

Cierpliwości jednak mu nie starczyło. Myśl o tym, że ktoś mógłby go uprzedzić, dręczyła go uporczywie i wyruszył w drogę za wcześnie. Rezultat był taki, że na wyżynie znalazł się w pułapce, okrążony przez dwie rzeki. Ostatkiem sił zdołał uratować siebie i konia z rwących nurtów.

Opóźniło to jeszcze bardziej jego podróż, zwłaszcza że zapadł po tej przygodzie na zapalenie płuc i długo chorował na pustkowiu.

Wreszcie jednak dotarł do Holar.

Nie śmiał jechać wprost do Szkoły Łacińskiej, wołał najpierw rozpytać o to, co się tam dzieje.

Mieszkańcy Hjaltadalur chętnie opowiadali, wzburzeni i przerażeni pogłoskami o pewnym szalonym młodzieńcu, diakonie w Holar.

Młody człowiek zwał się Loftur Thorsteinsson. Powiadano, że z wielkim zapałem oddawał się studiom nad czarną magią i dlatego mówiono o nim Mag-Loftur. Wielu innych uczniów wciągał w zakazane eksperymenty, chociaż tamtym z reguły nie udawało się nic ponad najprostsze sztuczki. Loftur zachęcał swych kolegów do posługiwania się magią i wykorzystując ich, sprawdzał własne umiejętności. W przeciwieństwie do swych kolegów był niebezpiecznie zdolny.

Wielce to zaniepokoiło Móriego. Z zasłyszanych opowieści wynikało, że Mag-Loftur mógł wskrzesić czarami złego Gottskalka.

Siedział w chacie u jednego z chłopów i słuchał parobków, opowiadających z zapałem.

— Kiedyś, około świąt Bożego Narodzenia — mówili jeden przez drugiego — Mag-Loftur miał wracać do domu, do rodziców. Wziął wtedy jedną z dziewczek służących, podkuł ją, osiodłał i dosiadł jak konia. Musiała zawieźć go tam i z powrotem. Dziewczyna długi czas nie wstawiała potem z łóżka, tak bardzo ucierpiała. Dopóki jednak Loftur żył, nie mogła nikomu opowiedzieć o tym, co zaszło, on bowiem zapobiegł temu, rzucając na nią urok.

— Skąd więc o tym wiecie? — dopytywał się Móri.

Parobcy zerknęli na siebie z ukosa. Oczy niezwyklego przybysza przerażały ich nie na żarty.

— On sam o tym opowiadał — szepnął jeden.

Przechwałki, pomyślał Móri.

— Mówcie dalej.

— Innym razem dziewczyna służąca spodziewała się dziecka za sprawą Maga-Loftura, lecz on czarami spowodował jej śmierć.

— Jak do tego doszło? — spytał Móri, z każdą chwilą czując się bardziej nieswojo.

— Do obowiązków dziewczyny należało wynoszenie popiołu z kuchni — pociągnął z wyjaśnieniem drugi z parobków. — Aby uczynić pracę łatwiejszą, popiół wynosiło się w dużym, przypominającym koryto naczyniu, w którym mieściło się go sporo. Loftur, aby jeszcze bardziej ulżyć dziewczynie, czarami otworzył przed nią ścianę. Dziewkę jednak tak przerażyły zaklęcia, że przechodząc zawałała się na moment i ściana zamknęła się wokół niej. Rok później, kiedy mur rozwalono, znaleziono szkielet stojącej kobiety, obok niej stos popiołu, a w brzuchu kosteczki nie narodzonego dziecka.

To znaczy, że Mag-Loftur jest tu już od kilku lat — zauważył Móri.

— Tak, ale to młody człowiek, nie zaczął jeszcze trzeciego krzyżyka.

Cóż, jeśli przebywa tu od tak dawna, nie jest powiedziane, że ma zamiar wskrzesić biskupa właśnie teraz, pomyślał Móri trochę uspokojony.

Parobcy mieli jeszcze coś do dodania:

— Za to, co zrobił, Mag-Loftur otrzymał upomnienie od dziekana, Thorleifura Skaftasona, najwyższego wówczas dostojnika kościelnego w Holar. Nawet to jednak nie zmusiło Loftura do zmiany postępowania. Rozpoczął walkę z dziekanem, lecz nie mógł wyrzucić mu żadnej krzywdy, bo i duchowny znał się na czarach. Mag-Loftur postanowił, że nie zakończy studiów, dopóki nie przeczyta całej pierwszej „Graskinny”, tej z Holar, i nie nauczy się jej na pamięć.

Ja także znam „Graskinnę”, triumfował w duchu Móri. I potrafię więcej od ciebie, Magu-Lofturze. Znam też na pamięć drugą „Graskinnę”, tę, która znajduje się w Skalholt, księgę walebnego Eirikura. Wątpię, byś i ty zdążył ją przeczytać! A już na pewno nie znasz zaklęć Jonssonów.

Przynajmniej więc na razie góruję nad tobą wiedzą.

Móri z wielką ostrożnością zbliżał się do Holar. Nie chciał popędzać tego Loftura, zależało mu, by go uprzedzić.

Im bliżej jednak był Holar, tym bardziej niepokojące wieści do niego docierały.

Mag-Loftur zwracał się z prośbą o radę do wielu czarnoksiężników, żaden

jednak nie wiedział więcej niż on. (Widać nie słyszałeś o mnie, pomyślał nie bez złośliwości Móri.) Mag-Loftur zdziwaczał i zrobił się taki złośliwy, że koledzy zaczęli się go bać. Nie śmieli mu się w niczym sprzeciwić, choć odczuwali przerażenie.

Móri zyskał sprzymierzeńca ze Szkoły Łacińskiej.

Pewnego dnia młodzieńki diakon przyniósł mu nieprzyjemne wieści.

Oto Mag-Loftur, znając odwagę chłopaka, zwrócił się do niego z prośbą o pomoc we wskrzeszeniu biskupów z zamierchłych czasów.

Móri, usłyszawszy to, poczuł, że ciarki przebiegły mu po kręgosłupie.

— Mów — nakazał chłopcu. — Mów dokładnie, co ci powiedział.

Chłopak, bardzo młody, najwyraźniej żywił podziw zarówno dla Maga-Loftura, jak i dla Móriego.

— Wielce byłem temu niechętny — oświadczył Móriemu. — Ale Loftur zagroził mi śmiercią, jeśli odmówię.

— Uf, powinienem być na twoim miejscu, chłopcze — westchnął Móri. — Chociaż... Mag-Loftur pewnie by się na to nie zgodził. Przypuszczam, że nie życzy sobie rywali.

— O, z całą pewnością — stwierdził chłopiec z najgłębszym przekonaniem. — On jest niebezpieczny. Z jego oczu bije zło. Pragnie tylko jednego, a mianowicie dostać w swoje ręce tę księgę!

— Kiedy zamierza wskrzesić biskupa Gottskalka?

— Dziś wieczorem.

Móri odetchnął głęboko. A więc nie ma czasu do stracenia. I żadnej możliwości, by uprzedzić Maga-Loftura.

— Powtórz mi teraz słowo w słowo, co on ci powiedział — poprosił chłopaka przygnębiony. Wiedział, że z jego oczu bije teraz taki sam fanatyzm, jak z oczu Loftura, starał się więc nie patrzeć na chłopca.

Młodzieniaszek usiłował przypomnieć sobie wszystko po kolei. Bez skrpułów zdradzał Maga-Loftura, który zawsze traktował go nieuprzejmie, z góry. Ten piękny mężczyzna był o wiele miłszy, choć i on chwilami go przerażał.

— Spytałem Loftura, na co mu się mogę przydać, jako że niewiele wiem o czarnej magii. Odparł, że muszę jedynie stać w dzwonnicy kościoła, trzymać w rękach sznur dzwonu, nie ruszać się z miejsca i zacząć bić w dzwon, gdy tylko otrzymam sygnał. Potem oznajmił: „Zamierzam ci dokładnie wyjaśnić, co mam zamiar zrobić. Tacy, którzy poznali czary i zaklęcia jak ja, mogą używać ich wyłącznie do złych celów...”

— To nieprawda — mruknął Móri. — Lecz jeśli on zaprzedał się złu, nie może inaczej wykorzystać swych umiejętności, po części więc miał rację. Mów dalej!

— Powiedział: „Ale jeśli ktoś posiadał dostateczną wiedzę, diabeł nie zdobędzie nad nim władzy, przeciwnie, będzie musiał służyć czarownikowi, nie otrzymując nic w zamian. Podobnie jak w dwunastym wieku Zły służył Samundowi

Uczonemu, najpotężniejszemu czarnoksiężnikowi Islandii, jaki dotychczas żył. I każdy, kto posiadał odpowiednią wiedzę, może zdecydować, do jakich celów, dobrych czy złych, będzie używać swych umiejętności. Wiedzy takiej nie można obecnie nabyć, jako że nastąpił koniec Czarnej Szkoły i biskup Gottskalk Zły został pogrzebany wraz z „Rödskinną”. Sam więc chyba rozumiesz, muszę dostać tę księgę. Muszę ją mieć, aby diabeł wstąpił do mnie na służbę”.

Chłopiec zaczerpnął oddechu. Twarz Móriego pozostawała kamienna, nie chciał zdradzić, jak bardzo wzburzyły go słowa Maga-Loftura. Ten człowiek miał zamiar posunąć się dalej niż sam Móri!

— Z rosnącym przerażeniem słuchałem Maga-Loftura. „Mam zamiar wskrzesić z martwych złego Gottskalka i zaklęciami zmusić go do przekazania mi księgi. Powstaną: także wszyscy dawniejsi biskupi, oni bowiem nie potrafią przeciwstawić się sile zaklęcia w takim samym stopniu jak Gottskalk. Zmuszę ich, by odkryli przede mną wszystko, czego nauczyli się za życia. Nie sprawi mi to żadnego trudu, bo w ich twarzach wyczytam, czy wiedzą coś o czarach, czy też nie. Biskupów z późniejszych czasów nie mogę wywołać, ponieważ wszyscy zostali pogrzebani z Pismem świętym na piersi. Pamiętaj, na czym polega twoja rola, i słuchaj, co ci powiem. Nie wolno ci zadzwonić ani za wcześnie, ani za późno, od tego zależy moje życie, i doczesne, i wieczne. Później wynagrodzę cię tak, że nie będziesz miał sobie równych”. To właśnie mi powiedział.

Móri przez chwilę zastanawiał się nad tym, co usłyszał, a w końcu oznajmił:

— Chciałbym, abyś zrobił to, o co cię poproszono, ale ja też muszę w tym uczestniczyć. Czy jest jakieś miejsce w kościele, gdzie mógłbym się ukryć? O ile dobrze rozumiałem, biskupi zostali pochowani pod podłogą świątyni?

Móri wrócił myślą do czasów dzieciństwa, kiedy to w swej naiwności, aby zdobyć „Rödskinnę”, próbował odkopać grób biskupa na cmentarzu. Było to, oczywiście, niemożliwe, po pierwsze dlatego, że Gottskalk Zły spoczął nie na cmentarzu, lecz pod podłogą prezbiterium, a po drugie dlatego, że po dwustu latach w grobie i ciało biskupa, i jego księga obróciły się w proch.

Usiłował przywołać w pamięci, jak wygląda kościół — w Holar, ale chłopak uprzedził go, mówiąc, że Móri może się ukryć za drzwiami do zakrystii kiedy uchyli je odrobinę, będzie miał widok na całą nawę.

Móriemu spodobała się ta propozycja.

— Kiedy wyznaczycie sobie spotkanie?

— Mag-Loftur i ja mamy wstać zaraz po ogłoszeniu ciszy nocnej i iść do kościoła.

— Zadbaj o to, aby tylne drzwi były otwarte wcześniej, tak bym mógł wejść do środka.

Chłopak kiwnął głową.

— Prawdę mówiąc, ogromnie się cieszę, że i wy będziecie tam, panie. Inaczej chyba by mi zabrakło odwagi.

— Nie, odwagi ci nie brakuje — uspokoił go Móri z uśmiechem.

Rozdział 5

Noc była jasna, księżycowa, kościół stał skąpany w świetle. Wysoką, stromą górę za Holar pokrywał lód i śnieg, odbity w bieli blask księżyca sprawiał wrażenie jeszcze chłodniejszego. Dolina leżała pogrążona w ciszy, nigdzie nie widać było najmniejszych oznak życia. Móri wślizgnął się do świątyni, uchylił drzwi do zakrystii i powiódł wzrokiem w stronę chóru, gdzie wśród cieni kryły się święte szafy i prastare krypty.

Długo czekał, ale wreszcie zobaczył, jak chłopiec zajmuje wyznaczone miejsce w dzwonnicy, a inny, wysoki, chudy jak szczapa młodzieniec przechodzi obok drzwi do zakrystii i kieruje się w stronę kazalnicy.

Mag-Loftur.

On oszalał, pomyślał Móri. Ma zamiar zaklinać z ambony!

W świetle księżyca ledwie mógł dostrzec rysy młodego człowieka, pociągłą ascetyczną twarz o oczach płonących fanatycznym blaskiem.

Móri zadrżał. Oto spotkał kogoś równego sobie. Kogoś, kogo tak jak jego dręczy nieprzeparte pragnienie zawładnięcia wszelkimi siłami magicznymi.

Mag-Loftur rozpoczął zaklinanie.

Naprawdę zna się na rzeczy, pomyślał Móri. Na niektórych dziedzinach nawet lepiej ode mnie. Na innych mniej, bo nie czytał drugiej „Graskinny”.

No cóż, doskonale, wykona za mnie czarną robotę, pomyślał Móri cynicznie. Kiedy już nie będzie miał sił, dokończę to, co on zaczął. A jeśli uda mu się zdobyć „Rödskinnę”... Będziemy negocjować później.

Dobrze, że Tiril nie widziała w tym momencie twarzy Móriego. Niesamowita atmosfera panująca w kościele potęgowała jeszcze żądę posiadania tajemnej wiedzy.

Nagle drgnął gwałtownie i poczuł, że ogarniają go mdłości.

W kościele coś się działo. Coś nieprawdopodobnego, niemożliwego do objęcia umysłem.

W jasnym świetle księżyca wpadającym przez okna z podłogi kościoła wyłonił się mężczyzna o poważnej, lecz życzliwej twarzy. Na głowie nosił koronę. Móri z bijącym sercem zgadywał, że jest to najpierwszy ze wszystkich bisku-

pów, Jon Ogmundsson. Móri zerknął na dzwonnice i dostrzegł pobielającą jak kreda twarz chłopca i ogromne, przerażone oczy. Tak młody chłopiec nie powinien być świadkiem tego rodzaju wydarzeń, pomyślał. Sam czuł się słabo, a przecież był zahartowany po tym, co musiał przejść jako czeladnik czarownika.

Nagle rozległ się niezwykle głuchy głos, to biskup przemówił do Loftura:

— Zaniechaj tego, na co się porywasz, zuchwalcze, póki jeszcze jest na to czas. Spadną na ciebie słowa mego brata, Gvenda, jeśli zakłócisz mu spoczynek!

Mag-Loftur nie zwracał jednak na niego uwagi i wciąż wypowiadał zaklęcia. On oszalał, powtarzał Móri w duchu. Czyżbym i ja był w równym stopniu opętany?

Wolał się nad tym nie zastanawiać.

Nie wiedział, czy śni, czy też ma omamy wywołane gorączką. Obrazy przesuwwały się przed jego oczami, które jakby nie chciały zobaczyć tego, co widziały. Wszyscy biskupi Holar z zamierzchłej przeszłości powstali ze swoich grobów w takiej kolejności, w jakiej żyli. Ubrani byli w białe szaty, każdy na piersi nosił krzyż, a w dłoni trzymał pastorał.

Prawdą okazało się to, co powiedział Loftur: Biskupi nie mogli oprzeć się jego zaklęciom, nie posiadali bowiem potęgi i czarodziejskiej mocy Gottskalka.

Wszyscy po kolei zamieniali kilka słów z Magiem-Lofturem, ale Móri nie usłyszał, co mówili. Trzej nosili korony na głowie: pierwszy, który się ukazał, ostatni i jeden w środku, prawdopodobnie Gudmundur Arason Dobry, chociaż on nie bardzo do nich pasował.

Widać było jednak, że żaden z tych patriarchów Kościoła nie posiadał wiedzy tajemnej, i nikt chyba się tego po nich nie spodziewał. Dokładnie jak przewidział Mag-Loftur, nie powstał z grobu żaden z późniejszych biskupów. Zostali wszak pogrzebani z Pismem Świętym na piersiach, a zwyczaj ten wprowadzono stosunkowo niedawno.

Gottskalk jednak wciąż opierał się zaklęciom, chociaż Loftur starał się uczynić, co tylko w jego mocy. Do spoconego z wysiłku czoła kleiły mu się włosy. Magiczne formuły skoncentrował teraz na Gottskalku Złym. Przydałaby ci się moja pomoc i znajomość drugiej „Graskinny”, pomyślał Móri. Ale nie mam zamiaru się w to włączać. Na tyle bowiem znam się na ludziach, że potrafię przewidzieć, co byś zrobił. Pragniesz mieć „Rödskinnę” tylko dla siebie i nie cofniesz się przed niczym!

Po ściągniętej, skupionej twarzy Maga-Loftura i monotonicznie wypowiadającym zaklęcia głosie nietrudno było poznać, że może on być niebezpiecznym wrogiem.

Nawet zahartowany Móri przeraził się, słysząc, jakich zaklęć używa Loftur. Odmawiał psalmy pokutne w imię diabła, spowiadał się z dobrych uczynków — wszystko odwrotnie. Trzej biskupi w koronach stali z uniesionymi rękami możliwie najdalej od Loftura, odwróceniu do niego twarzami, pozostali natomiast spo-

glądali na nich, mając za plecami niepokornego młodzieńca.

Światło księżyca nadawało całej scenie jeszcze bardziej niesamowity charakter, niekiedy zniekształcało widok Móriemu. Chłopak na dzwonnicy siedział cicho niby mysz pod miotłą, ale Móriemu wydawało się, że słyszy, jak bije jego serce. Poza tym słychać było jedynie zaklęcia Maga-Loftura, nabierające mocy, wygłaszane z niezłomnym uporem, złowieszczo. Głos echem odbijał się od ścian kościoła.

W ciele Móriego wrzało, przeniknęło je straszliwe drżenie. Nie zniosę więcej, nie wytrzymam, szeptał jego wewnętrzny głos.

Nagle rozległ się potworny huk i pojawiła się jeszcze jedna postać. Gottskalk Zły! Pastorał trzymał w lewej ręce, w prawej niósł wspaniałą czerwoną księgę. Nie miał krzyża na piersiach. Ze wzgardą patrzył na biskupów, do Loftura zaś, wciąż odmawiającego magiczne formuły, uśmiechnął się drwiąco. Podszedł nieco bliżej i odezwał się z kpina w głosie:

— Dobrze odprawiona msza, synu, o wiele lepiej niż się spodziewałem. Ale mej „Rödskinny” nie dostaniesz!

Mag-Loftur zachowywał się, jakby już opętały go złe moce, a poprzednie zaklęcia wydały się niczym w porównaniu z tym, co rozpoczął teraz. Odmawiał psalmy i „Ojcze nasz” wspak, w imię diabła, posługiwał się zaklęciami, których najwidoczniej bał się użyć wcześniej.

Wówczas to Móri zrozumiał, że Mag-Loftur posunął się za daleko.

Przerwij to, dopóki jeszcze jest czas, chciał zawołać, lecz w ustach mu zaschło, a gardło nie chciało słuchać. To się źle skończy, nie widzisz?

W następnej chwili okazało się, jak prorocze były jego słowa. Mocno musiał się uchwycić futryny drzwi zakrystii.

Cały kościół zadrżał w posadach i uniósł się w powietrze jak przy trzęsieniu ziemi.

Zdrętwiałemu ze strachu chłopcu na wieży i Móriemu wydało się nagle, że Gottskalk Okrutny zbliża się do Loftura i z wielką niechęcią wyciąga ku niemu róg księgi.

Móri zobaczył, że chłopak, który już wcześniej bliski był szaleństwa ze strachu, teraz przestaje nad sobą panować i zaraz osunie się na ziemię. Mag-Loftur wyciągnął rękę po księgę, chcąc przejąć ją z rąk złego biskupa. Młodzieńki diakon zrozumiał to jako umówiony sygnał i mocno złapał za sznur przywiązany do dzwonu, uwiesił się na nim i wkrótce serce dzwonu zaczęło się poruszać.

Wśród potężnego huku wszyscy biskupi zniknęli pod podłogą.

Móri nie śmiał drgnąć, skamieniał ze strachu.

Mag-Loftur przez długą chwilę stał bez ruchu, ukrywając głowę w dłoniach. Wreszcie zszedł na dół i ruszył ku swemu młodzieńkiemu towarzyszowi.

Móri wiedział, że z zakrystii nie usłyszy ich rozmowy, dlatego prześlizgnął się w głąb nawy i ukrył pod kazalnicą. Mdłości wywołane strachem nie chciały

ustąpić.

— Nie poszło tak dobrze, jak pójść powinno — usłyszał słowa Mag-Loftura, skierowane do chłopca. — Ale nie winię cię za to. Powiniennem czekać do świtu. Wówczas biskup oddałby mi księgę z własnej woli, bo nie śmiałyby jej zatrzymać. Światło poranka i moje zaklęcia uniemożliwiłyby mu schronienie się w grobie. Inni biskupi nie pozwoliliby mu zachować „Rödskinny”. Księga byłaby moja, moja! Ale on w tej walce okazał się silniejszy ode mnie, kiedy bowiem usłyszałem jego drwiące słowa, ogarnął mnie gniew i chciałem natychmiast posiąść księgę za pomocą czarnoksięskich formuł. I co więcej: zrozumiałem, na co się porwałem, dopiero wtedy, gdy już posunąłem się tak daleko, że gdybym wymówił choć jeszcze jedno zaklęcie, cały kościół zapadłby się pod ziemię. Taki właśnie był cel złego Gottskalka. Zauważyłeś, że kościół zatrząsł się w posadach, prawda? W tym momencie popatrzyłem na twarze koronowanych biskupów i przeraziłem się, chociaż zdawałem sobie sprawę, że ty już dłużej nie wytrzymasz i dzwon się rozdzwoni. Ale „Rödskinna” była już tak blisko, sądziłem, że uda mi się ją wziąć. Jakimż byłem głupcem! Muszę ci powiedzieć, że już dotknąłem jej rogu. Ale to, co się stanie, stać się musi, mój los jest już przesądzony, tak jak i twoja nagroda. Bez względu jednak na wszystko od tej pory nie mówmy już o tym.

Móri próbował stać się jeszcze mniej widoczny, kiedy mijali go w drodze do wyjścia, chłopiec pozieleniał na twarzy, Mag-Loftur blady jak kreda. Cała jego postać wyrażała rezygnację, pogodzenie się z przekleństwem, które nań spadło.

Móri także czuł, że został naznaczony, że w jego duszy na zawsze pozostanie ślad owych straszliwych chwil, kiedy Mag-Loftur bawił się życiem i śmiercią i przez moment wszystkim trzem dane było ujrzeć rzeczy, jakich ludzkie oczy nigdy nie powinny oglądać.

Móri dowiedział się, że Loftur po tych wydarzeniach stał się małomówny. Bliski postradania zmysłów, nie śmiał nawet na chwilę pozostawać sam, poza tym gdy tylko zapadł zmrok, trzeba było przy nim natychmiast zapalać lampy. Móri szczerze mu współczuł, sam bowiem musiał borykać się z podobnymi problemami, chociaż był tylko widzem, obserwującym wszystko z ukradka.

Często słyszano, jak Mag-Loftur mruczy pod nosem: „W trzecią niedzielę następnego miesiąca czekają mnie męki piekielne”.

Innym razem młody diakon z Holar usłyszał jego szept: „Sądziłem, że zostanę najpotężniejszy, i być może tak się stało. Ale jest jeszcze ktoś, tak, jest jeszcze ktoś, nigdy więc nie będę miał pewności”.

— Sądzę, że chodziło mu o was, panie — wyznał chłopiec Móriemu.

— To bardzo możliwe — przytaknął mu Móri.

Chłopiec powiedział z powagą:

— Wszyscy trzej byliśmy świadkami czegoś, czego ludzie nigdy dotąd nie

widzieli ani nie słyszeli. Mnie udało się wyjść z tego cało, bo mój umysł nie był obciążony wiedzą tajemną. Na was dwóch natomiast spadło przekleństwo złego biskupa.

Móri spojrzał na niego.

— Na mnie także? — spytał zdjęty strachem.

— Tak, panie. Wy także jesteście naznaczony. Na waszej twarzy maluje się prawie taki sam obłęd i przerażenie, jak na twarzy Maga-Loftura.

— Chyba masz rację — westchnął Móri. - „Przekleństwo złego biskupa” to niedokładne określenie, jest za słabe, bo w te wydarzenia wmieszały się potężniejsze moce, lecz poza tym masz rację, choć trudno mi się do tego przyznać.

Moja dusza rozpadła się na kawałki, chłopcze. Ale postaram się lepiej skrywać to przed innymi.

Magowi-Lofturowi poradzono schronić się u pewnego starego proboszcza w Stadharstad, człowieka wielkiej wiary, doskonałego kapłana.

Wszyscy, którzy czuli się chorzy na duszy lub padli ofiarą czarów, pod dotykiem jego dłoni odczuwali ulgę. Loftur poprosił go o ochronę, pastorowi żal się zrobiło chłopaka i zgodził się nim zająć. Dzień i noc nie odstępował Loftura, czuwał nad nim w domu i na dworze.

Loftur powoli odzyskiwał równowagę ducha, ale proboszcz wciąż się o niego lękał. Najbardziej niepokoiło go, że Loftur nigdy nie mógł modlić się wraz z nim. Mimo to jednak młody człowiek towarzyszył kapłanowi w wizytach u chorych i cierpiących. Na częste wyjazdy proboszcz zabierał ze sobą swój strój kapłański, kielich z hostią, święty chleb i wino.

W wieczór poprzedzający третią niedzielę miesiąca Mag-Loftur zachorował. Pastor czuwał przy jego łóżu, krzepiąc go słowami modlitwy. Rankiem jednak, o trzeciej, przybył posłaniec od jednego z przyjaciół pastora z parafii. Człowiek ów leżał umierający i gorąco pragnął, aby proboszcz udzielił mu ostatniego namaszczenia i przygotował do godnego końca, tak aby mógł stanąć twarzą w twarz z Bogiem.

Takiej prośbie pastor nie potrafił odmówić. Miał ten sam dylemat co Tiril, kiedy przyszedł do niej mały opiekun jej psów i kiedy jej losy tak źle się potoczyły.

Tak samo źle powiodło się pastorowi, a raczej Lofturowi, który nie był w stanie się ruszyć z powodu bólów i narastającej słabości. Nie mógł towarzyszyć swemu dobroczyńcy, musiał więc obiecać, że podczas nieobecności pastora nie opuści domu. Proboszcz pobłogosławił go i pożegnał serdecznym uściskiem, a wychodząc ukląkł przy drzwiach i modląc się uczynił znak krzyża na progu. Potem cicho rzekł do siebie: „Bóg jeden wie, czy tego człowieka da się uratować”.

Gdy tylko pastor opuścił dom, Mag-Loftur poczuł się lepiej. Pogoda była piękna, ogarnęła go przemożna ochota, by wyjść na dwór. Wszyscy mężczyźni znajdowali się wówczas na przystani, w obejściu zostały tylko kobiety i dzieci, nie mające dość sił, by go powstrzymać.

Mag-Loftur zmusił starego wieśniaka, by pożyczył mu łódź, którą mógłby wypłynąć na ryby. Chłop zgodził się, nie wiedział bowiem o obietnicy złożonej proboszczowi.

Morze przez cały dzień pozostawało spokojne, ale łodzi nikt nigdy już więcej nie ujrział.

Dziwniejsze jeszcze się wydawało, że nawet wiosło nie wypłynęło na brzeg.

Jakiś człowiek tylko twierdził, że z brzegu widział łódź akurat w momencie, gdy wypłynęła na otwarte morze. Opowiadał, że nagle szare włochate ramię wyłoniło się z odmetów, złapało za rufę, na której siedział Mag-Loftur, i razem z łodzią wciągnęło go pod wodę.

Młody diakon, który w tamtą straszliwą księżycową noc pomagał w kościele, wyszedł bez szwanku. Skończyło się jedynie na szoku.

Z Mórim jednak sprawa przedstawiała się gorzej, niemal tak samo źle jak z Magiem-Lofturem, w jego sercu bowiem tęsknota za „Rödskinną” płonęła równie gorąco. Nocą dręczyły go koszmary, nie zawsze przy tym wiedział, czy śni, czy też nie, bo czasami budził się na pustkowiu, gdzie przypominająca mech trawa porastała pokryte lawą przestrzenie, nie pamiętając, jak się tam znalazł. Prawdą było to, o czym mówił chłopiec: noc czarów naznaczyła twarz Móriego cierpieniem. Był teraz blady jak cień, wychudzony i umęczony, tylko oczy płonęły blaskiem szaleństwa. Nie mógł odpędzić od siebie straszliwych snów, w których ziemia usuwała mu się spod nóg i leciał w przepaść wraz z kościołem. Chwytał się nie dających oparcia kępek trawy, widział rozpościerającą się pod nim otchłań, a w niej części chóru kościoła i świeczniki, gasnące w miarę jak przysypywała je ziemia.

Z każdą nocą, z każdym takim snem, stawał się coraz słabszy, a prześladowające go obrazy coraz wyraźniejsze.

Tej nocy, kiedy Mag-Loftur został wciągnięty w morską toń, Móri kolejny raz ocknął się na płaskowyżu, nie mając pojęcia, jak tam trafił. Pokryte lawą przestrzenie oświetlał księżyc. Móri zawisł na krawędzi krateru, w który z hukiem spadały kamienie przemieszane z ziemią.

To była rzeczywistość, nie żaden sen!

Dłonie Móriego z wysiłkiem szukały lepszego punktu zaczepienia. Od potu spływającego z czoła piekły oczy, jedna stopa znalazła maleńki występ, na którym mogła się oprzeć, lecz w jaki sposób miał wspiąć się do góry i wydostać z krateru? Wargi mu poszarzały, oslepił od sypiącego się z góry pyłu.

Muszę wracać, szeptał do siebie, dręczony bolesnym uczuciem żalu. O, wszystkie moce w niebie i na ziemi, nigdy wcześniej się do was nie zwracałem! Wysłuchajcie moich modłów i wybaczcie bluźnierstwo, jakiego dopuściłem się w kościele w Holar! Ulitujcie się nade mną, przebaczcie żądzę zawładnięcia mo-

cami, których nie mam prawa osiąść! Muszę wracać do Norwegii. Omyliłem się, nie rozumiałem, co w życiu ma naprawdę wartość. Pozwólcie mi ujrzeć tę, za którą płacze moje serce, choć jeden jedyny raz! Tylko o to błagam! Pozwólcie przesłać pozdrowienie...

Z rozpaczą poczuł, że osypująca się ziemia i kamienie pokrywają już jego nogi i podnoszą się coraz wyżej. W tym momencie, kiedy wszelkie nadzieje gasły, uświadomił sobie, kto może przekazać wiadomość tej, która najbardziej cierpiała przez jego pragnienie osiągnięcia najwyższego stopnia wtajemniczenia.

Rozdział 6

Zima obfitowała w wydarzenia zarówno dla Erlinga, jak i Tiril. Zwłaszcza dla dziewczyny okazały się one niesłychanie bulwersujące.

Co prawda w ostatnich latach otwarta, kochająca bliźnich dziewczyna sporo się dowiedziała o mrocznych stronach ludzkiej duszy, zachowała jednak dawne przekonanie o dobru tkwiącym w człowieku.

Niestety, owa wiara miała zostać poważnie zachwiana. Stało się to tuż przed świętami Bożego Narodzenia — choć takimi drobnostkami jak święta nikt na szkiecie się nie przejmował. Życie na maleńkiej wysepce Ester biegło swoim torem, jakby poza czasem i przestrzenią, tu liczył się tylko dzień powszedni i walka o przetrwanie.

Od dawna nie ustawały jesienne, a później zimowe sztormy. Fale dniami i nocami nieprzerwanie biły o brzeg, całkowicie izolując dwie kobiety i psa. Zapasy żywności zaczęły się wyczerpywać, ale Ester zapewniała, że tak jest rokrocznie.

— Pamiętaj tylko, że do tej pory byłaś sama — zauważyła Tiril. — Teraz masz jeszcze jedną gębę do wykarmienia.

— No właśnie, sama — odparła Ester, patrząc Tiril prosto w oczy. — Jak myślisz, co wolę? Siedzieć samotnie, najadać się do syta, gapić w ścianę i słuchać jej durnych odpowiedzi? Czy raczej mieć dwóch kompanów do rozmowy? Jednego, który cały czas mi się sprzeciwia, i drugiego, który okazuje mi wyłącznie podziw bez względu na to, co powiem?

— Przecież ja wcale ci się nie sprzeciwiam — zaprotestowała przestraszona Tiril.

— Doprawdy? A co robisz teraz?

Tiril wybuchnęła śmiechem.

Ester oświadczyła z właściwą sobie szczerością:

— Do stu diabłów, tego właśnie chcę! Chcę mieć się z kim kłócić i wiedzieć, że ten ktoś mnie lubi.

— To prawda, bardzo cię lubię — ciepło zapewniła ją Tiril.

— Sama więc widzisz!

Siedziały przy kolacji, nie da się zaprzeczyć, dość żalosnej: kaszy z resztek

zboża z otrębami ugotowanej na wodzie. Był zimowy wieczór, ponury i wietrzny. Czasami mocniejszy podmuch wichru uderzał w ścianę i wówczas cała chata się trzęsła. Tiril od dawna się obawiała, że za którymś gwałtowniejszym porywem dach wzniesie się w powietrze, lecz Ester zapewniała, że jest dobrze umocowany.

— Jedyne czego mi teraz brakuje — oświadczyła Ester, uderzając plecami w oparcie ławy tak mocno, że aż zatrzeszczało — to kawałka chłopa. Bardzo szczególnego kawałka. Dobrze w takich chwilach mieć sąsiada. Ty nigdy za tym nie tęsknisz, Tiril?

Dziewczyna przywykła do bezpośredniości Ester, nie raz już słyszała jej wyznania. Pytanie, zadane przez rybaczkę wprost, wprowadziło ją jednak w zakłopotanie. Tiril była już dojrzałą dziewczyną i temat zaczął jej osobiście dotyczyć, choć starała się zdusić w sobie związane z tym myśli i uczucia. Jednakże słysząc pytanie Ester ujrzała przed sobą parę oczu, których nigdy nie zdołała zapomnieć. Ich blask. . .

Ester pozostała niewrażliwa na jej duchowe udreki i ciągnęła niezrażona:

— No, bo masz przecież tego swojego Müllera, prawda? Czyż on nie jest najprzystojniejszy w całym Bergen? Sama tak mówiłaś!

— Erling? — zająknęła się zmieszana Tiril. — Ale przecież. . .

— Dziękuję, nieraz już to słyszałam. Miał ożenić się z twoją siostrą, ty nigdy nie ośmieliłabyś się nawet o nim marzyć, i tak dalej. Ale to kiepskie wymówki!

— To i tak bez znaczenia — przerwała jej Tiril — Erling nie odpowiedział na mój list.

Ton jej głosu świadczył o urazie. Tiril nie mogła zrozumieć, a tym bardziej pogodzić się z faktem, że Erling się nie odzywa.

— Syn sąsiada mówił mi przecież, że nie rozmawiał z Müllerem osobiście. Jakaś zołza z kwaśną miną wyrzuciła biednego chłopaka za drzwi. Ale nie odpowiedziałaś na moje pytanie: nie brakuje ci mężczyzny w łóżku?

Tiril szczerze wyznała Ester:

— Zaczęłam już o tym myśleć. Ale tylko trochę.

— Mogłabyś się zakrećić za synem sąsiada.

— Och, nie, nie jestem tego aż tak spragniona.

— Aha, już wszystko wiem — chytrze uśmiechnęła się Ester. — To przez tego diabelca, Anioła śmierci, jak go nazwałaś. Czarnoksiężnika. Tak, tak, przydałby nam się teraz. Poczarowałby trochę.

— Tak — westchnęła Tiril, ale prędko dodała — Ale nie w takim sensie jak myślisz.

— Czyżby? No tak, wspominałaś, że on nie został do tego stworzony, chociaż diabli wiedzą, o co ci chodziło.

— Ester podniosła się leniwie. — Mam ochotę na łyk jałowcówki. Głupia jesteś, że nie pijesz.

Przeszła do swej tajemnej izdebki po gliniane naczynie z jałowcówką. Zapasy wódki zdawały się niewyczerpane.

Nie wracała przez dłuższy czas, pewnie pociągała sobie w ukryciu, a Tiril pograżyła się w myślach o erotyce w swym życiu, a raczej jej braku.

Kiedy jeszcze sypiała w szopie nad brzegiem, zdarzało się, że wieczorami długo leżała, wczuwając się w nowe prądy przenikające ciało, które przypominały tamte wywołane dotykiem Móriego. Delikatnie koniuszkami palców wodziła po szyi, czując, jak napięta skóra zaczyna drżeć, jak pulsuje, gdy przesuwała dłonie na brzuch i biodra, i niżej, na uda. Nigdy nie ośmieliła się dotknąć ich wewnętrznej strony, to było zbyt niebezpieczne, przerażające. I te sny, nie dające jej spokoju! Coraz częściej śniła o miłosnych schadzkach, które kończyły się zdyszaniem oddechem i ciężką słodyczą w ciele. Miała jednak wrażenie, że jej podświadomość omija niebezpieczne obszary. Osoby zjawiające się w snach pozostawały niewyraźne, nie mogłaby nawet określić ich jako mężczyzn, nie wiedziała, kim ani czym były. Czasami istoty te przypominały elfy, prawie dzieci, czasami miały bardziej zwierzęcą postać, choć z całą pewnością nie były zwierzętami, zawsze jednak okazywały jej dobroć i nie naruszały spokoju ducha.

To wprawdzie irytowało, lecz jednocześnie dawało poczucie bezpieczeństwa.

Tiril nie była jeszcze gotowa, by przyznać się sama przed sobą, że interesuje ją ktoś konkretny. Dopiero stawiała się kobietą.

Wróciła Ester i głośnym beknięciem przerwała jej intymne rozważania.

— Wiesz, kiedy pogoda się trochę uspokoi, mogłybyśmy wyprawić się na Sotrę i obie zafundować sobie odrobinę uciechy — zaproponowała, ciężko opadając na ławę.

— Ester, zapewniam cię, że...

Nagle Nero poderwał się i nastawił uszu.

— Pst! Słyszałaś? — szepnęła Ester. W jej oczach zapłonął nowy blask.

— Nie — odparła Tiril. — Akurat mówiłam.

— To teraz zamknij gębę!

Czekały w milczeniu. Nero podczołgał się pod drzwi. Widać było, jak jest spięty, ale najwidoczniej i on uszanował nakaz Ester. Tiril jednak poznała, że pies ze wszystkich sił powstrzymuje się od warczenia.

Ogień rzucał migotliwe cienie na nędzną izdebkę, którą Tiril usiłowała utrzymać w jako takim porządku. Była to niemal syzyfowa praca, przedsięwzięcie z góry skazane na niepowodzenie, ponieważ Ester ciskała wszystko tam, gdzie stała, a lepkie dłonie wycierała w to, co akurat wpadło jej w rękę. Tiril na zimę musiała przeprowadzić się do chaty, w szopie na łódź za dużo było szpar, przez które wpadał wicher. Dzieliła teraz izbę z Ester i Nerem, jakoś się to układało. Sypiała na podłodze, na środku pomieszczenia, w jedynym dostępnym miejscu.

Nero za to bardzo sobie chwalił fakt, że jego ukochana pani zesłała nagle do bardziej psiego poziomu. Jego zdaniem miło było sypiać przytulonym do jej ple-

ców, w ten sposób także ogrzewali się nawzajem. Dla wielu psów bliskość człowieka ma bardzo duże znaczenie, inne nic a nic to nie obchodzi.

W blasku ognia małe oczka Ester płonęły niepokojąco. Kobieta siedziała nieruchomo, pochylona w przód, jakby gotując się do skoku. Tiril nie bardzo mogła się zorientować, co się dzieje, ona bowiem niczego nie słyszała. Nie znała wyrażenia „żniwa w szalejącej burzy”, nic w tym dziwnego, wywodziło się ono z wód leżących bardziej na południu, gdzie, proceder, z którym się wiązało, był powszechniej uprawiany. „Reap the wild wind. . .”

Tak! Oto znów rozległ się ten dźwięk, który wcześniej usłyszeli Ester i pies: wystrzał armatni dobiegający z morza.

Ester natychmiast się poderwała.

— Nareszcie! — zawołała z radością. — Pospiesz się, Tiril! Żar, weź trochę żaru do wiadra!

Potężna kobieta chwyciła swe rybackie ubranie i wybiegła w ciemność nocy. Nero nie odstępował jej na krok. Tiril wciąż nie wiedziała, o co chodzi, lecz wyspała trochę żaru do wiaderka i ruszyła za nimi.

Na zewnątrz było ciemno choć oko wykol. Gwałtowny powiew wichru rzucił nią o ścianę, deszcz siekł po twarzy.

— Ester? — zawołała, starając się przekrzyczeć wicher. Nero poprowadził ją za sobą, wskazując drogę.

Kolejny wystrzał armatni sprawił, że Tiril wreszcie zrozumiała, w czym rzecz. Jakiś statek znalazł się w niebezpieczeństwie. Ester zmierzała do ogniska.

Tiril poczuła ogarniającą ją radość. Może uda im się uratować komuś życie!

Nero pociągnął ją ku wielkiemu, nigdy nie zapalanemu ognisku na północnym krańcu wyspy. Nareszcie więc miało zapłonąć! Wspaniale! Małe ognisko na południu paliło się nieustannie dzień i noc. Takie zobowiązanie wobec władz Ester odziedziczyła wraz z wyspą. Raz wspomniała, że zarabia nawet na tym parę groszy.

Teraz jednak ważniejsze było co innego: ratowanie statku, który nie mógł przybić do brzegu.

Kiedy Tiril pokonując wściekłe podmuchy nawałnicy doczołgała się na północne skały, Ester już tam była.

— Pospiesz się! — przywitała wrzaskiem dziewczynę. — Mam nadzieję, że drewno całkiem nie zamokło od tego przekłętego deszczu!

Usiłując rozpalić ogień za pomocą suchej hubki, którą przezornie ze sobą zabrała, Ester rzucała wiązanki siarczystych przekleństw. Nadmorskie osty, gdyby rozumiały jej słowa, zwiędłyby z przerażenia.

Co jakiś czas rozlegał się wystrzał z działa.

— To może być wielki statek! — wołała Ester. — Co najmniej galeon. Trójmasztowiec. No, nareszcie ogień chwycił, udało się! Teraz prędko, na drugą stronę wyspy, musimy zgasić tamto ognisko! Szybko, nie mamy czasu do stracenia!

Tiril nie była obeznana ze znakami nawigacyjnymi, nie rozumiała ich znaczenia. Biegła w ślad za świetnie znającą teren Ester, zdumiewająco lekko poruszającą się po skałach. Na samej górze wiatr je przewracał, nie pozostawało więc nic innego, jak położyć się na ziemi i przeczekać gwałtowny atak sztormu.

— Spóźnimy się, spóźnimy! — jęczała Ester.

Tiril także się zorientowała, że wystrzały z działa rozlegają się bliżej. Zobaczyli nasz ogień, pomyślała. Uratowałyśmy ich!

Płomienie nowego ogniska kładły się prawie płasko na wietrze. Iskry sypały się na morze.

Byle tylko nie zgasło, niepokoiła się Tiril.

Nero nie odstępował ich ani na krok, uradowany, że wolno mu biegać po wyspie w tak interesującą pogodę.

— Dlaczego musimy zgasić to dawne ognisko? — zawołała Tiril.

— Nie pojmujesz? To dopiero głupia geś! — wrzasnęła Ester, ale Tiril wcale się nie przejęła ostrymi słowami rybaczki. Przywykła już do nich, wiedziała, że nie dyktuje ich złość, po prostu Ester nie umiała wyrażać się inaczej.

Usiłowała zrozumieć, dlaczego stary ogień trzeba zgasić, lecz wicher rozwiewał wszelkie myśli.

Dotarły na południowy kraniec wyspy i Ester natychmiast zaczęła rozwalać stos kamieni, na których płonęły węgle pod osłoną niedużej nadbudówki. Tiril przemokła już do suchej nitki, ale nie miała czasu się skarżyć. Ze, wszystkich sił starała się pomóc Ester.

— Statek się zbliża! — zawołała. — Słyszę, jak trzeszczy kadłub.

— Do diabła! — wrzasnęła Ester. — No, nareszcie! A teraz depcz węgle, prędko, trzeba je zgasić! Udało się!

Z nocnych ciemności zaczęło się wyłaniać coś wielkiego. Pozostawało tylko niewyraźnym cieniem, ale widać było, że jest ogromne.

— To barkentyna! — zawołała Ester. — Hura! Jesteśmy bogate!

Na pokładzie zapłonęło jakieś światło i morze załśniło mroczną zielenią. Nagle od strony statku dobiegło wołanie:

— Przysięgam, kapitanie, przed chwilą widziałem tu ognisko, wpłynęliśmy za daleko na północ.

— Bzdury, znam te wody. Ustawić się pod wiatr!

— Nie! — wrzasnął ktoś trzeci. — Zmienić kurs! Na prawą burtę! Na prawą!

Boże, oni płyną prosto na nas, pomyślała Tiril. Odruchowo uskoczyła w bok. Nero uczynił to samo, ale Ester pomimo podmuchów wiatru trzymała się prosto i zanosila głośnym śmiechem.

Z barkentyny dobiegały wydawane głośno rozkazy. Zaiskrzyło i zaskrzypiało, gdy wielki statek usiłował zrobić zwrot. Wzniósł się nagle nad Tiril jak góra, drewno zazgrzytało o skały. Załoga zaniosła się krzykiem strachu i gniewu, za-trzeszczał kadłub, przechylając się pod niebezpiecznym kątem...

Barkentyńska znalazła się poza pasem szkieł.

— Udało nam się — szepnęła Tiril. — Uratowaliśmy ich!

Ester jednak jej nie słyszała, może i lepiej dla Tiril, bo rybaczką była zupełnie innego zdania.

— Do kroćset! — wrzeszczała. — Przepłynęli obok, jak to możliwe! Do stu tysięcy piorunów, oby ich diabli. . .

I tak dalej w tym samym stylu przez kilka minut. Zdumiewające, żadne z przekleństw się nie powtórzyło!

Do Tiril wreszcie dotarło, czego dotyczy cała ta tyrada, że za późno zgasiły mniejsze ognisko.

Zamiarem Ester było tak nakierować statek, aby roztrzaskał się o wysokie skały wznoszące się na brzegu, pośrodku wyspy. Wszyscy kapitanowie wiedzieli, że ogień płonie na jej południowym krańcu i wobec tego należy trzymać kurs na południe. Gdy zamiast tego zapalono ognisko na północnym krańcu wyspy, a statek obrał kurs na lewą burzę, musiał wpaść na skały. Prosto w objęcia śmierci.

Powłokły się do domu, Ester przeklinała i popłakiwała. Właśnie wtedy Tiril z przerażającą jasnością uświadomiła sobie bolesną prawdę.

Już wiedziała, że zamknięta izdebka, tak pilnie strzeżona przez Ester, kryje w sobie kosztowne rzeczy z wraków statków, które rybaczką zwabiła na skały, a potem splądrowała.

Z rozpaczą w sercu zastanawiała się, ilu ludzi znalazło tu swoją śmierć.

Piractwo z lądu. . .

Kiedyś, dawno temu, o tym słyszała.

Dość powszechne zajęcie wzdłuż wybrzeży. Żniwa w szalejącej burzy.

Rozdział 7

W duszy Tiril coś pękło.

Przyjaźń z Ester dawała jej wiele radości. Przekonanie, że wszyscy ludzie są z gruntu dobrzy, nawet jeśli wywodzą się z najniższych warstw społecznych, ogrzewało jej serce. Ester stanowiła żywy przykład potwierdzający teorię Tiril. Pomimo że była wulgarna i nie dało jej się nazwać wzorową chrześcijanką czy ozdobą rodu ludzkiego, serce miała ze złota.

Piractwa jednak Tiril nie mogła tolerować.

Dziewczynę, która była tak pełna miłości dla bliźnich, raz po raz strącano z chmur na ziemię i odzierano ze złudzeń, aż w końcu całą swą miłość skierowała na zwierzęta.

Przy Ester odzyskała równowagę i dawną wiarę w człowieka.

Teraz radość życia Tiril znów się załamała.

Zniszczenie statków, przedmiotów materialnych, nie miało dla niej takiego znaczenia, choć jakakolwiek forma kradzieży była jej obca. Ester żyła w biedzie, należało zrozumieć jej pragnienie posiadania jakiegoś dobytku.

Natomiast z myślą, że na statkach, które Ester przywiodła na zagładę, zginęli ludzie, dziewczyna nie umiała się pogodzić. Po prostu nie umiała.

Nie mogła przestać lubić Ester — przyjaciół wszak akceptuje się wraz ze wszystkimi ich wadami — ale śmiertelnie się bała, że kolejne statki zabłądzą na te wody.

Ester długo była niepocieszona.

— Taka wspaniała barkentyna! I nie wcelowała, przepłynęła obok.

Raz Tiril odważyła się powiedzieć:

— Chyba stało się lepiej. Na pokładzie mogli być niewinni ludzie, dzieci, kobiety, pies. . .

Wiedziała, że sprzeciwianie się Ester może okazać się niebezpieczne.

— Do krośset, nie obchodzi mnie, kto jest na pokładzie! Są tak obrzydliwie bogaci, że nic im nie zaszkodzi, jeśli stracą niektóre rzeczy. I tak im nie zabraknie!

Cóż za pokretna argumentacja! Ze statku, który rozbił się na tych skałach, nikt nie mógł się uratować.

— Czy nikt nigdy nie przeżył? — Tiril długo się powstrzymywała przed zadaniem tego pytania.

Ester wybuchnęła gromkim śmiechem.

— Owszem, leżeli podtopieni na brzegu. Ale niezbyt długo.

Tiril z trudem przełknęła ślinę. Postanowienie, że opuści wyspę, stawało się coraz mocniejsze.

— Nigdy nie zostałam odkryta?

— Nie, po to przecież walę ich w łeb. Morze przyjmie wiele śmieci.

— A potem sprzedajesz wyłowione z wraku rzeczy?

— Kiedy jest to konieczne. Sąsiad się tym zajmuje. Oboje jesteśmy teraz dość bogaci. I wiesz, Tiril, że jeśli mnie by się coś stało, wszystko, co moje, będzie należeć do ciebie. Chociaż ja na razie nie zamierzam żegnać się z tym światem.

Po tej rozmowie Tiril miała tylko jedno pragnienie: wydostać się z wyspy. Ale to nie było takie łatwe.

Podejmowała próby, prosiła Ester, by pozwoliła jej wrócić na stały ląd. Gospodyni jednak za każdym razem znajdowała jakąś wymówkę. Twierdziła, że nadciąga burza, która nigdy jakoś nie nadchodziła. Albo nagle czuła się chora i nie chciała zostawać sama. Z czasem Tiril: zorientowała się, że rybaczka ma żelazne zdrowie. Innym razem musiały koniecznie wybrać się na połów, bo akurat nadarzył się odpowiedni moment, by nałapać dużo ryb.

Prawda natomiast była taka, że Ester, która zawsze żyła samotnie, nagle odkryła, ile radości można czerpać z czyjegoś towarzystwa.

Tiril próbowała też po prostu zabrać swoją łódź i odpłynąć w tajemnicy, chociaż żal jej było Ester i nie chciała sprawiać jej przykrości. Niestety, w łodzi nie znalazła wiosel. Szukała ich na całej wyspie, wreszcie zrozumiała, że muszą być zamknięte w sekretnej izdebce w chacie.

Była więc więźniem. Więźniem na maleńkim szkiecie na morzu.

Na nic się nie zdała kolejna próba nawiązania kontaktu z Erlingiem. Odpowiedź nie nadchodziła, wieści przepadły nie wiadomo gdzie po drodze. Może Ester nie przekazała ich już synowi sąsiada?

A może Erling dostał list i nie miał ochoty odpowiadać?

Przykro było o tym myśleć, tak bardzo bolało.

Zapomniana przez świat. Skazana na życie na pustkowiu.

Prawdę powiedziawszy, Tiril zaczęła przypuszczać, że życie w zagrożeniu, ukrywanie się przed parą morderców, byłoby lepsze.

Nastała zima, spokojniejsza niż Ester miała nadzieję, a Tiril się obawiała.

Sztormy ucichły.

Kiedy wraz z wiosną nadeszły jaśniejsze dni i Tiril przeniosła się z powrotem do szopy nad brzegiem, wydarzyło się coś niezwykłego.

Przyśnił jej się jeden z „tych” snów.

Tym razem okazał się jeszcze bardziej intensywny, prawdopodobnie dlatego, że Tiril można już było nazwać dorosłą, poza tym żyła w izolacji od świata.

Śniło jej się, że jest w szopie, to zresztą nie odbiegało od prawdy. Ale we śnie siedziała oparta plecami o ścianę.

Nera nie było przy niej, to dobrze, bo na pewno zaczęłyby się dziwić.

Podciągnęła kolana i rozłożyła je na boki. Czekwała na coś, nie bardzo wiedziała na co, a może raczej nie chciała tego nazwać.

W podbrzuszu czuła pulsujące gorąco. Dłonie pragnęły się tam opuścić, lecz nie śmiały.

Nawet we śnie zachowała dziecięcą skromność i strach przed zbliżeniem się do intymnych sfer ludzkiego życia. Jej przybrany ojciec narobił wiele złego, pokazał jej najbardziej odrażające strony erotyki.

Jęknęła cicho. Usiadła trochę inaczej, wygodniej. Gorąco się potęgowało, stało boleśnie słodkie.

Otworzyły się drzwi. Tiril, nie podnosząc oczu, wiedziała, kto w nich stanął.

Przykucnął przed nią. Ujął w dłonie jej twarz.

— Tęskniłaś za mną, Tiril?

— Tak — szepnęła. — Tak, tak! Potrzebuję cię.

— Wiem o tym, ale nie mogę ci pomóc. Nie zostałem stworzony do takiej miłości.

Uzaliła się przez sen, załkała.

On ostrożnie przesunął ręce w dół. Jakby na próbę.

— Tak — szepnęła jeszcze raz.

Patrzył jej teraz w oczy. Badawczo.

Potem, nie pamiętała, jak do tego doszło, znalazł się za nią. Teraz on siedział oparty plecami o ścianę, a ona wtuliła się w jego kolana.

Była to cudowna pozycja. Czuła bijące od niego ciepło. Miała na sobie tylko koszulę, on podciągnął płótno, delikatnym ruchem powiodł wzdłuż jej ud, po ich wewnętrznej stronie, ku miejscu, którego sama nigdy nie śmiała dotknąć.

Koniuszki palców na jej skórze drgały delikatnie, wysyłając fale ciepła, które koncentrowały się w jednym punkcie. Nie zbliżał się jednak do niego, dłonie pozostały na udach, tylko ona próbowała jeszcze bardziej ułatwić mu dostęp.

Jęknęła głośno, mocno zaciskając usta, prosząc go bez słów, by dłużej już jej nie dręczył.

Poczuła wtedy na plecach coś twardego, pulsującego, przerażającego. Fala podniecenia gwałtownie w niej wezbrała, mocno poruszyła ciałem i...

Tiril się obudziła. Leżała na swoim pościeli, jedwabną, kołdrę zrzuciła na podłogę. Była w szopie sama, tylko Nero spał na swoim posterunku pod drzwiami.

Ciało Tiril płonęło. Czuła intensywne pulsowanie w podbrzuszu, lepką wilgoć.

— Nie — szepnęła, jakby chciała się przed czymś ustrzec. — O Boże, nie!

Na nic się to jednak nie zdało. Ścisnęła mocno nogi, złączyła uda, przekreśliła się na brzuch i zaczęła ocierać o materac.

— Och, nie, nie wytrzymam — szeptała. — Ratunku, co mam zrobić?

Nigdy nie przeżyła czegoś podobnego. Wiedziała jednak, dlaczego tym razem wszystko stało się takie bolesne, dręczące, niezdolne. To dlatego, że we śnie przyznała się do prawdy. Tym razem nie pojawiły się w nim jakieś niewyraźne niegroźne istoty. To był. . .

Kiedy ponownie o nim pomyślała, potrzeba zaspokojenia stała się już tak intensywna, że bez zastanowienia i bez wstydu dłonie pomknęły tam, gdzie od dawna już pragnęły dotrzeć.

Ujrzała przed sobą jego oczy, które się do niej uśmiechały, a przecież był tak daleko, nie znał jej myśli, nie wiedział o tym, co robi w tajemnicy. Dłonie poruszały się z prymitywną pewnością musiała zagryźć wargi, by nie wykrzyknąć swej bolesnej udreki i nie obudzić Nera. . .

Osiągnęła wreszcie szczyt, jakiego nigdy nie знаła. Uczucie tak silne, tak palące, gwałtowne do tego stopnia, że miała wrażenie, iż zmysły nie nadążają.

Długo leżała nie mogąc uspokoić oddechu. Miała pustkę w głowie, pustkę w ciele, ale tak było jej dobrze.

W końcu zaczęła się śmiać do siebie. Od dawna już nie czuła się taka swobodna, wolna.

Wyobraziła sobie, że i on, bez względu na to, gdzie się znajduje, odczuwa to samo. Co robi mężczyzna, kiedy jest sam i najdzie go ochota?

Wiedziała już, jak się mają sprawy. Ester szczegółowo jej wyjaśniła, jak praktycznie urządzić się mężczyźni. Wystarczy, że trzymają ten swój ulubiony przyrząd i bawią się nim, dopóki nie osiągną zadowolenia.

Kiedy Ester jej o tym powiedziała, Tiril wpadła w gniew i uciekła. Miała dość obrzydliwej szczerości swej przyjaciółki.

Teraz przypomniała sobie jej słowa. I kiedy zasypiała, na ustach miała uśmiech. Tego wieczoru nic więcej już się nie wydarzyło.

Zanim jednak nastał świt, czekało ją coś jeszcze. . .

Był środek nocy, wiosennej nocy, jasnej, czarodziejskiej, pełnej tajemnic. Mgliste światło ostrożnie wślizgnęło się do szopy, ale pogrążona we śnie Tiril tego nie widziała. Fale leniwie uderzały o brzeg, ptaki zbudziły się i z krzykiem krążyły nad wodą w poszukiwaniu pożywienia. Już niedługo wstające słońce miało odbijać się w gładkiej tafli morza, lecz na razie królował półmrok.

Nagle Nero poderwał się z histerycznym, zawodzącym szczekaniem, wyciągając szyję i unosząc pysk.

Zaczął szczekać na wydechu i zabrakło mu powietrza w płucach. Przeciągle wycie gwałtownie się urwało.

Tiril natychmiast zeskoczyła z posłania.

— Co się stało, Nero? Usłyszałeś coś?

Ale pies nie ruszył do drzwi jak zawsze robił, kiedy zaniepokoił go jakiś dźwięk z zewnątrz. Siedział na środku szopy i oszołomiony nasłuchiwał czegoś jakby dobiegającego z jego wnętrza.

A potem z gardła wyrwało mu się przeraźliwe zawodzenie. Wył przeciągle, milkł i zaczynał od nowa. Coraz głośniejsze, jak gdyby kogoś wzywał.

Tiril nigdy jeszcze nie słyszała czegoś podobnego.

— Ależ, Nero! Co to ma znaczyć!

Nie przypuszczała, by pies mógł zachowywać się w taki sposób. Wydał jej się straszny, jakby coś go opętało, przypominał oszalałego człowieka.

— Co się stało, piesku?

Nero umilkł i popatrzył na nią ze smutkiem, rozżalony, ponieważ go nie rozumiała.

Tiril także się zasmuciła.

— Tak bardzo chciałabym wiedzieć, o co ci chodzi, Nero. Spróbujmy tak, jak zawsze.

Mieli swój własny język. Tiril nieraz szeptała psu do ucha, by porozmawiał „ze swymi przyjaciółmi z innego świata” i przekazał im jej prośbę o pomoc, a Nero odpowiadał, obwąchując jej oczy. „Przyjaciół Nera” Tiril wymyśliła, taką znalazła pociechę w swej samotności. Prosiła go na przykład o przekazanie wieści o niebezpieczeństwie grożącym statkom na skalistej wysepce i od tej pory żaden statek już się tu nie zabłąkał.

Może więc...?

Ale tej nocy Nero nie dał się pocieszyć. Cały czas próbował jej coś przekazać, lecz bez skutku. Oboje czuli się bezsilni.

To przeciągłe zawodzenie... Tiril była pewna, że miało wyjątkowe znaczenie.

Nero wciąż nie dawał żadnego znaku, że chce wyjść. Swą rozpaczliwą prośbę o pomoc i zrozumienie kierował do niej, tylko do niej.

Wreszcie zrezygnował i położył się z głębokim westchnieniem. Tiril także wróciła na posłanie, przymknęła powieki, świadoma, że pociemniałe z żalu psie oczy nie przestają na nią patrzeć ani przez chwilę.

Zasnęła. Ale pierwsze senne majaki napłynęły, zanim jeszcze zdążyła zapaść w głęboki sen.

Znalazła się na przerażająco pustym płaskowyżu. Nie rosła na nim trawa, czarne, porowate kamienie pokrywał mech, a raczej porosty o chorobliwie szarozielonej barwie.

I potem zobaczyła, że jakiś człowiek powoli zniknął w zapadającym się kraterze.

— Móri! — zawołała i poderwała się całkiem przytomna. — Móri jest w niebezpieczeństwie.

W Nera wstąpiło życie. Piszczął, kręcił się wokół jej nóg, zachęcająco merdał ogonem.

— To właśnie chciałeś mi przekazać, prawda? — Tiril odetchnęła z ulgą. — Budząc się, zobaczyłam i usłyszałam coś jeszcze. Słyszałam szczekanie jakiegoś psiaka i widziałam go, jak biegł przez płaskowyż; nieduży owczarek. Przytuliła policzek do łba Nera.

— Jesteś taki mądry, piesku. Już wszystko rozumiem. Móri miał z tobą kontakt, potrafiliście porozumiewać się myślą, pamiętam. W Bergen, zanim wyjechał, coś ci tłumaczył.

Psi ogon stukał o podłogę. Nero pewnie nie rozumiał słów, ale wyczuwał radość i pochwałę w głosie dziewczyny.

— Do ciebie się teraz zwrócił, ciebie prosił o pomoc. A ty zaczęłaś wyć, dając sygnał psom, które mogły znajdować się w pobliżu Móriego. Wspaniale sobie z tym poradziłeś, Nero!

Wielki czarny pies z nieskrywaną dumą wsłuchiwał się w słowa uznania.

— Ale widzisz, Nero, to do mnie chciał dotrzeć za twoim pośrednictwem. Chociaż wiedział, że nie zdąży na czas. Miejmy tylko nadzieję, że gdzieś niedaleko Móriego jest też jakiś człowiek, który zorientuje się, jakie grozi mu niebezpieczeństwo. Może właściciel owczarka obudzi się porę. Wiesz, my, ludzie, nie posiadamy takiej jak wy wrażliwości na przekazywane duchowo sygnały.

Tiril wstała i włożyła swoje znoszone podarte ubranie. Nie mogła już spać.

— Teraz koniecznie musimy się stąd wydostać, Nero. Musimy pomóc Móriemu. Dał znać, że nas potrzebuje. Nie będzie musiał już być sam. Dotrzemy na Islandię, choćby wplaw!

Pies rozweselony podbiegł do drzwi.

Móri czuł, jak osypująca się, wymieszana z kamieniami ziemia uciska go w piersi. Palce zdrętwiały mu od przytrzymywania się ostrego występu skalnego.

Jeśli ziemia wkrótce nie przestanie się osuwać, zostanie żywcem pogrzebany.

Przesłał sygnał jednemu stworzeniu na świecie, z którym mógł porozumiewać się duchem, lecz od tego stworzenia, Nera, dzieliła go olbrzymia odległość. Co Nero mógł dla niego zrobić? Móri pragnął, by pies przekazał wiadomość Tiril, by dziewczyna dowiedziała się o jego beznadziejnej sytuacji, ale nawet się nie zastanawiał, co dalej ma z tego wyniknąć. Nie wyobrażał sobie przecież, że dotarcie na islandzki płaskowyż zajmie Tiril kilka minut.

Z doświadczenia wiedział, że najkrótsza podróż z Norwegii musi potrwać tydzień. A on nie mógł czekać tak długo, nie pozostał mu dzień ani nawet jedna godzina życia. Koniec mógł nastąpić w każdej chwili.

Jedynę więc co mógł osiągnąć — jeśli w ogóle udało mu się nawiązać kontakt z Nerem — to wprowadzić strach i zamieszanie w ich życie. A tego przecież nie chciał, i tak już ich zawiódł przez tę przeklętą „Rödskinnę”.

Nagle wszystkie mięśnie ciała zeszywniały, najmniejsze drgnięcie groziło kolejnym osunięciem się ziemi. Ujadanie psa? Czyżby gdzieś w pobliżu był pies? Ostre poszczekiwanie całkiem niedaleko?

Próbował wołać, ale jego głos zabrzmiał głucho. Nie, pies zniknął. Płaskowyż pogrążył się w ciszy.

Ta przeklęta „Rödskinna”! Nie mógł znieść nawet myśli o niej. Przywiodła go do szaleństwa, przez nią porzucił to, co w życiu najpiękniejsze. A teraz jeszcze miała stać się przyczyną jego śmierci. Na nic więcej jednak nie zasługiwał.

Blask oczu Tiril, kiedy na niego patrzyła. Podziw i wdzięczność za pomoc podczas trudnych dni w Bergen.

Pomoc? Cóż uczynił poza sprowadzeniem na nią smutku i nieszczęścia? Nero także za nim tęsknił i jeszcze mniej rozumiał zdradę człowieka, który po prostu wyjechał bez pożegnania. Co prawda próbował wyjaśnić psu powody swego postępowania, ale czy to do niego dotarło?

Nero to mądry, dobry pies. Najlepszy opiekun Tiril.

Miała także Erlinga Müllera, który pragnął ją poślubić. Może nawet już są małżeństwem? Na pewno więc zapomniała o nim, Mórim.

Czy akurat teraz musi dodatkowo się dręczyć?

Nieostrożny ruch ramieniem ściągnął kolejną lawinę. Ziemia przysypała go już do szyi. Ostry kamień boleśnie wbił się w skórę.

Tiril, wybacz mi! Popełniłem straszny błąd! Przedłożyłem przeklętą starą księgę ponad ciebie! Zamiast iść drogą Życia, ruszyłem drogą Śmierci!

Jak można tak dać się opętać?

Dostrzegł coś kątem oka, ale nie był w stanie ruszyć głową, nawet odrobinę.

Ponad nim coś drgnęło, przemieściło się w polu widzenia. Nieduży zwinnie owczarek rasy popularnej na Islandii.

Pies zaniósł się głośnym szczekaniem, ostrym, przywołującym.

Głosy? Ludzki głos mieszał się z ujadaniem.

— Dobrze, już dobrze, co takiego ciekawego znalazłeś, że musisz mnie o tej porze wywlekać z łóżka? Idę już, idę!

Móri usiłował wołać, lecz zorientował się, czym to grozi. Teraz każdy ruch, nawet niewielkie napięcie mięśni szyi, mógł być ostatnim w jego życiu. Miał już ziemię na wysokości twarzy, opierał się tylko na brodzie.

Głos brzmiał sympatycznie, pewnie. Móriemu od razu się spodobał. Wyczuwało się w nim miłość do psa, a ludzie obdarzający uczuciem zwierzęta zwykle bywają dobrzy. Proszę, dostrzeż mnie tutaj zanim całkiem zniknę, a to może nastąpić już za moment!

— Och, ależ... Na miłość boską, jak się tu znalazłeś? Nie wiedziałem nawet, że jest tu jakaś podziemna grota, no, ale ziemia taka tu porowata. Niebezpiecznie tędy chodzić. Jak my sobie z tym poradzimy? Jeśli zejdem na dół, całkiem się

przysypie. Muszę sprowadzić pomoc, przynieść linę i łopaty. Wytrzymasz jeszcze trochę? Widzę, że nie masz już sił, ale... czekaj tu na mnie!

Niezwykłe polecenie w takiej sytuacji. Mężczyzna z psem zniknęli, pozostawiając Móriego sam na sam ze śmiertelnie groźną lawiną.

Gdzie ja jestem? — myślał. Nigdy nie widziałem tego człowieka ani jego psa. Jak daleko zdołałem zawędrować tej nocy?

Nie wiedział nic o losie, jaki spotkał Maga-Loftura, ale coś w głębi ducha, poczucie więzi z nieszczęsnym chłopakiem, podszeptało mu, że właśnie tej nocy czas dany Magowi-Lofturowi minął.

Teraz przyszła kolej Móriego. Niech się strzeże ten, kto zakłóci spokój Gottskalka Złego!

Rozdział 8

Erling Müller przeklinał w głos swe zajęcie, które nie pozwalało mu wygospodarować wolnej chwili, odpowiednio długiej, by mógł wybrać się do Christianii. Powinien bezwzględnie przeprowadzić wnikliwsze śledztwo dotyczące pochodzenia Tiril, był przekonany, że rozwiązanie znajdzie właśnie w stolicy. Może przebywa tam sama Tiril?

Nie, chyba nie, gdyby tak było, zbiry nie szukałyby jej w Bergen.

Niezmiernie trudno ich było dopaść. Wymykali się z każdej pułapki. Erling miał jednak pewność, że nie opuszczają Bergen i okolic miasta.

Ślad wiążący się z listem napisanym na kawałku kory, który przyniósł nieznamy chłopiec, nigdzie go nie zaprowadził. Chłopiec już nie wrócił, o czym Erling nie omieszkał poinformować swej siostry. Powtarzał jej to codziennie, w końcu dumna panna nie śmiała więcej zaglądać do jego biura.

Pewnego dnia coś się wydarzyło i chociaż z początku historia brzmiała dość nieprawdopodobnie, to jednak w Erlingu obudziła się nowa nadzieja.

W kantorze odwiedził go wójt.

— Wpłynęła do mnie skarga, która, jak sądzę, może cię zainteresować, mój panie — zaczął i całym ciężarem zwał się na krzesło, aż pod nim jęknęło. — Tej zimy zawinęła do Bergen barkentyna „Liselotte” z Arendal. Po drodze miała jakieś problemy. Poprzednim razem szyprowi zabrakło czasu na złożenie skargi, ale statek wrócił tu w zeszłym tygodniu i dopiero teraz usłyszałem tę dziwną relację.

Zrobił dramatyczną pauzę, zmuszając Erlinga do reakcji:

— Proszę mi o tym opowiedzieć!

— Wiemy, że na jednej z wysp na otwartym morzu, za Sotrą mieszka samotna kobieta o imieniu Ester. Od dawna już mamy co do niej swoje podejrzenia. Przypuszczamy, że zajmuje się piractwem z łądu. Tacy piraci rozpalają ogniska w niewłaściwym miejscu i kierują statek tak, by rozbił się o skały. Potem plądrują wraki.

— Potworne — mruknął Erling.

— Właśnie! Nigdy jednak nie potrafiliśmy jej niczego udowodnić. Ester

mieszka na maleńkiej wysepce, właściwie szkierze, i umie doskonale zatrzeć ślady swoich poczynań. Kapitan barkentyny „Liselotte” o mały włos nie wpadł w pułapkę. Na szczęście jego ludzie dostrzegli jeszcze jedno ognisko, które prędko zgaszono, choć jednak nie dość szybko. Ta kobieta ma obowiązek doglądania płonącego ogniska na południowym krańcu wysepki. To właśnie ognisko zgasła, a rozpałała inne na północnym brzegu. Mało brakowało, a statek roztrzaskałby się o skały.

— Cóż za straszna baba! — orzekł Erling. Zastanawiał się, po co wójt opowiada mu całą tę historię. Co on, Erling, mógł mieć wspólnego z piractwem?

— Wiemy, że kobieta mieszka na wyspie samotnie, nie lubi ludzi, jak chyba wszyscy trudniący się takim procederem. Ale marynarze z „Liselotte” zaklinają się, że na tle nocnego nieba widzieli na skałach trzy cienie. Wiele zobaczyć nie mogli, ale że było to dwoje ludzi i pies, gotowi są przysiąc. Jedna z tych osób nosiła spódnice. My wiemy, że Ester ubiera się po męsku, więc nie mogła to być ona.

Erlingowi zaparło dech w piersiach.

— Ale ja dostałem list od Tiril.

— Wiem o tym. Napisany na brzoźowej korze.

— Lecz jeśli ta kobieta jest odludkiem, jak wobec tego może...

Wójt powstrzymał go gestem przed skończeniem pytania.

— Ester utrzymuje kontakty z pewnym wieśniakiem z Sotry, który sam też nie jest święty. Ten wieśniak ma syna, chłopak od czasu do czasu wyprawia się do Bergen załatwić sprawy ojca i, jak przypuszczam, Ester.

Erling już szukał płaszcza.

— Kiedy jedziemy?

Łódź wójta przybiła do drugiego krańca wyspy, zamierzali bowiem zaskoczyć Ester. Wójtowi i Erlingowi towarzyszyło jeszcze trzech mężczyzn.

Pogoda była dość wietrzna i w czasie podróży Erling odczuł początki choroby morskiej. Z wielką ulgą zszedł na ląd, ciesząc się, że zdołał zachować godność.

Bez względu na koszty do domu wracam łądem, obiecał sobie w duchu.

Nie, niemożliwe, by Tiril mogła tu przebywać, pomyślał przerażony, rozejrzawszy się dokoła. Na takim maleńkim szkierze, na którym nie ma nic oprócz wiatru! W oddali na wschodzie majaczyła Sotra, a na północy podobna do tej maleńka wysepka, poza tym wszędzie tylko morze.

Trudno było sobie wyobrazić, że wyspa w ogóle jest zamieszкана.

Kiedy jednak wdrapali się na skały, ujrzeli w dole stojącą w zaciszu rozpadającą się chałupę i niewielką przystań z szopą. U brzegu cumowała łódź, nieduża, ale w dobrym stanie.

Z chaty dobiegły ich podniecone głosy.

— Nie poddam się — usłyszeli głos, który Erling natychmiast rozpoznał i ogromnie się tym uradował. — Możesz mówić, co ci się podoba, ale ja muszę dotrzeć na Islandię i pomóc memu przyjacielowi. I dać znać Erlingowi. . .

— Przecież wysłałyśmy wiadomość.

— Która do niego nie dotarła.

— Ale ja jestem chora!

Erling gwizdnął na palcach. Z chaty natychmiast rozległo się donośne szczekanie.

— To Nero! Poznają go.

Czarna kula jak wystrzelona z armaty wpadła w ramiona Erlinga.

Młodzieniec przykucnął i pozwolił się oblizywać.

— Nigdy się nie spodziewałem, że tak mnie uszczęśliwi widok psa — śmiał się, ale w głosie dało się wychwycić nutę wzruszenia.

Teraz biegła już do nich Tiril.

— Erlingu, Erlingu, tak się cieszę, że cię widzę!

Ruszył jej na spotkanie, nareszcie mogli się objąć w długim, serdecznym uścisku. Nero skoczył ku nim, i on chciał wziąć udział w powitaniu.

Ludzie wójta ruszyli w dół i zanim Ester zdążyła się zabarykadować, otworzyli drzwi, które starała się przytrzymać. Pojmali wrzeszczącą wniebogłosy i przeklinającą kobietę.

Kiedy szli do chaty, Tiril powiedziała do Erlinga:

Posłuchaj, Móri jest w niebezpieczeństwie. Musimy natychmiast tam jechać! I tak straciliśmy dużo czasu, on może już nie żyć, muszę do niego dotrzeć!

— Tymczasem się uspokój! Skąd wiesz, że grozi mu niebezpieczeństwo? Pisał do ciebie? Gdzie on jest?

Bez tchu opowiedziała mu o przesłaniu, jakie Móri przekazał jej przez Nera, i o swoim śnie, w którym zapadał, się w ziemię na bezludnym płaskowyżu.

— Tiril, to był tylko sen!

— Wcale nie. Sądziś, że nie znam Móriego i jego tajemnych mocy? On jest prawdziwym czarnoksiężnikiem, być może najpotężniejszym ze wszystkich albo wręcz jedynym, jaki istnieje.

— Ale Islandia. . . Nie możesz tam jechać!

— Pojedziemy razem, Erlingu. Musisz mi towarzyszyć!

Westchnął zrezygnowany.

— Gdybym tylko mógł! Przez całą zimę starałem się wybrać do Christianii w twojej sprawie i nawet na to nie miałem czasu. Wstrzymaj się jakieś dwa miesiące, będę wtedy trochę wolniejszy.

— Dwa miesiące? A co z Mórim? Ma umierać powolną śmiercią dlatego, że ty nie masz czasu? Wobec tego jadę sama.

Powstrzymał ją.

— Tiril, ty nigdzie nie możesz wyjechać. To bardzo nieprzyjemna historia, ale... jest nakaz, by cię aresztować.

— Mnie? Za co?

— Za piractwo.

— Ale ja przecież...

Spotkali się z pozostałymi. Ester wierzyła, szarpała się i wrywała, przekleństwa padały niczym grad.

— Jestem niewinna jak baranek! — wrzeszczała. — Do diabła, nie ściągnęłam na zatracenie żadnego statku, poszaleliście, wykastrowane dupki. Zobaczycie, dam wam za to taką nauczkę, że jeszcze pożałujecie...

— Ester, mamy zbyt wiele skarg na ciebie. Ta, którą złożył szyper barkentyny „Liselotte”, to tylko ostatnia.

— Przecież on nie utonął, do diabła, wywinął się jak... Do stu piorunów, w co próbujecie mnie zrobić? To nie ja!

— Chcesz powiedzieć, że to Tiril? — rozzłościł się Erling.

— W każdym razie nie ja.

— Ester nic nie zrobiła — lojalnie potwierdziła Tiril. — Była bardzo dobra dla Nera i dla mnie. Nie chcę, żebyście zabierali ją z jedyne miejsce na świecie, które należy do niej.

— Sama słyszysz — oświadczył wójt. — Panienska Tiril robi wszystko, żeby ci pomóc, a ty co? Zrzucasz winę na nią.

Ester ze wstydem pochyliła głowę.

— Nie chciałam, żeby to tak wyszło. Tiril w niczym nie zawiniła. Ja też nie. Po prostu się przestraszyłam. Nie wiedziałam, co mówię. — Gwałtownie się odwróciła i znów zaczęła wrzeszczeć: — Nie, do diabła! Nikt nie ma prawa wchodzić do mojego domu! Przeklęte łajdaki, trzymajcie się od niego z daleka!

Szarpnęła gwałtownie, by uwolnić się od mocnego uścisku przedstawicieli władz, zawyła tak głośno, że słycać ją było chyba aż na Sotrze, ale to nie odniosło skutku. Dwaj mężczyźni, w tym wójt, wkroczyli do chaty.

Wójt zaraz z niej wyszedł.

— Panno Tiril, czy ma pani klucz do tej zamkniętej izby?

— Nie, i nigdy tam nie zaglądałam. Nigdy nie wchodziłam do środka.

— Przeszukajcie kieszenie temu babsku — nakazał swoim ludziom.

Teraz rozgniewała się Tiril.

— Nie ma pan prawa nazywać Ester babskiem. Ona jest porządnym człowiekiem.

— Uważaj na słowa — cicho ostrzegł ją Erling.

— Do stu pioru...

Odskoczył w tył i patrzył na nią wstrząśnięty. Dziewczyna z początku nie mogła zrozumieć, co mu się stało, w końcu jednak zdała sobie sprawę ze swojego zachowania.

— Przepraszam! To pewnie otoczenie wywarło wpływ na mój język!

Po twardej, brutalnej, a przede wszystkim hałaśliwej walce Ester musiała się pogodzić z tym, że klucz wpadł w ręce „wroga”. Przy akompaniamencie najdłuższych i najbardziej ordynarnych przekleństw wójt i jego pomocnik znów weszli do chaty.

Erling zwrócił się do Tiril:

— Posłuchaj, sytuacja twoja i Ester jest teraz naprawdę poważna. Obie jesteście oskarżone o uprawianie piractwa z łądu.

— Przysięgam, ja o niczym nie wiedziałam.

— Wierzę ci. Problem jednak polega na tym, że załoga barkentyny „Liselotte” widziała was obie razem z Nerem przy zagaszonym ognisku. Właśnie w ten sposób wpadliśmy na twój ślad. Żadne wytłumaczenia na nic się tu nie zdadzą. Obie musicie stanąć przed sądem.

— Ach, Erlingu, czy tym nieszczęściom nigdy nie będzie końca? Móri potrzebuje mojej pomocy! Nie mogę się spóźnić!

Wrócił wójt, jego twarz miała bardzo surowy wyraz.

— Niemało zdołałaś uskładać przez te lata, droga, niewinna Ester! Znaleźliśmy oczywiste dowody, przedmioty pochodzące z różnych statków, które zaginęły. Od dawna już się tym trudniłaś!

— Nie powinny cię obchodzić rzeczy wyłowione z morza, do kroćset!

— Wyłowione z morza? A co się stało z ludźmi, którzy byli na pokładzie?

— Do stu diabłów, skąd mam to wiedzieć? To są rzeczy, które morze wyrzuciło na brzeg, a jeśli ośmielisz się twierdzić, że jest inaczej, gorzko tego pożałujesz! Wójta jednak wyraźnie to nie przekonało.

Kilka godzin później wszyscy razem w dużej łodzi wójta opuścili wyspę. Tiril szczerze żałowała Ester, ale rybaczka okazywała podekscytowanie wyprawą na stały łąd. Najwidoczniej zapomniała, co było jej powodem.

Wójt, Erling i Tiril rozmawiali ściszonymi głosami.

— Naprawdę muszę stanąć przed sądem? — spytała dziewczyna drżącymi wargami.

— Niestety tak — odparł wójt bez cienia uśmiechu. — Nie da się tego uniknąć.

— Ale przecież Tiril nic nie zrobiła — zaprotestował Erling.

— Jestem tego samego zdania. Tego jednak wymaga prawo.

— Czy może zostać skazana?

— To zależy od sędziego. I od tego, co ma do powiedzenia załoga „Liselotte”.

Erling mocno zacisnął zęby.

— Najgorzej, że prześladowcy wciąż chodzą wolni. Jeśli dowiedzą się, że Tiril jest w mieście, a oczywiście tak się stanie, to jej życie będzie poważnie zagrożone.

— Wiem o tym. — Wójt pokiwał głową zamyślony. — Wcale mi się nie podoba, że cię w to wciągają, panienko Tiril.

— Dziękuję — odparła krótko. Nie miała nic więcej do powiedzenia. Tak bardzo ją to wszystko zasmucało.

Zapadło milczenie. Gdy wypłynęli na otwarte morze, wiatr szarpnął żaglami. Erling cały się spiął, teraz chodziło o jego męską godność.

— Najbardziej mi przykro z powodu Móriego — wyznała Tiril. — Mam wrażenie, że go zdradzamy.

— To przecież on zawiódł cię pierwszy — chłodno zauważył Erling. — Gdyby nie zniknął, wszystko potoczyłoby się inaczej.

Nagle twarz wójta się rozjaśniła. Od pewnej chwili siedział skupiony, jakby jego umysł pracował pełną parą.

— Co się stało? — spytał go Erling.

— Porozmawiam z moimi ludźmi — odpowiedział. — Można na nich polegać. Jeśli powiemy, że nie znaleźliśmy panny Tiril na wyspie, i wysadzimy ją natychmiast, gdy tylko przybijemy do portu w Bergen, to...

— Oczywiście — szepnął Erling. — Szkoda, że nie mogę ci towarzyszyć!

Tiril nareszcie zrozumiała ich plan. Oczy jej się zaświeciły.

— Ale co zrobię, jeśli nie będzie akurat żadnego statku? — spytała, znów przygnębiona.

— Jest. I wypływa jutro rano, prosto na Islandię. Znam szypra. Na pewno nie będzie przeciwny obecności psa na pokładzie.

— Wspaniale — odetchnęła Tiril.

Erling był mniej zachwycony.

— Odnaleźć cię tylko po to, by zaraz znów cię utracić!

— Ależ ja przecież wrócę! — obiecała rozjaśniona. — Muszę się tylko dowiedzieć, dlaczego Móri mnie wzywał. Wrócimy oboje, Móri i ja.

— Znakomicie — odparł Erling z nieskrywaną goryczą. — Doprawdy, znakomicie!

Tiril jednak nie wyczuła jego sarkazmu. Myśli miała zajęte czym innym. Oczy znów jej pociemniały.

— Nie zniosłabym procesu. Nie potrafiłabym świadczyć przeciwko Ester. A prawdopodobnie byłabym do tego zmuszona.

— Z całą pewnością, panno Tiril — pokiwał głową wójt, nie dając najdrobniejszym nawet gestem do zrozumienia, że teraz ostatecznie pograżyła Ester.

— Nie chciałabym też popełniać krzywoprzysięstwa.

To był śmiertelny cios, stwierdził w duchu wójt.

— Dlatego najlepiej będzie, jak zniknę — zakończyła dziewczyna.

Mężczyźni zrezygnowani popatrzyli na siebie.

Tiril westchnęła. Zadumała się nad własnym losem.

— Mam wrażenie, że jestem zawadą dla wszystkich ludzi. Ciągłe muszę zni-
kać. Co innego robiłam w swym dorosłym życiu?

No, tak bardzo dorosła jeszcze nie jesteś, pomyślał Erling.

— Tylko bądźcie dobrzy dla Ester — ciągnęła Tiril. — Miała twarde, samotne
życie, nie zna innego. Dlatego, być może, od czasu do czasu postępowała trochę...
bezpprawnie.

Wójt nie chciał uświadamiać jej gorzkiej prawdy.

— Zrobimy wszystko, co się da, ale rejestr jej grzechów jest długi.

Tiril nie mogła zaprzeczyć.

Zapadł już zmrok, kiedy dotarli do Bergen. Nadeszła trudna chwila.

— Zostawcie mnie samą z Ester — poprosiła Tiril.

Nie protestowali. W cieniu portowych baraków dziewczyna próbowała wyja-
śnić przyjaciółce, że musi zostawić ją w biedzie, ponieważ nie chce być dla niej
zbyt wielkim obciążeniem podczas procesu.

Ester zawsze była wielkoduszna. Zrozumiała.

Mężczyźni przez cały czas obserwowali je z daleka.

— Powiem im, że wszystko, co posiadam, należy do ciebie — zapewniała
Tiril twarda rybaczka. — Na pewno wtrąca mnie do więzienia, ale nie na długo.
Nic na mnie nie mają.

— Gdy tylko wrócę z Islandii, zrobię wszystko, żeby cię wyciągnąć. Ale mu-
sisz mi obiecać, że nigdy już nie będziesz się zajmować piractwem z lądu.

— Chcesz powiedzieć, że powinnam raczej napadać na statki z morza?

— Och, nie, musisz w ogóle tego zaniechać. Wyciągnę cię, obiecuję. Znam
wielu wpływowych ludzi w mieście.

— Doskonale, moja kochana — powiedziała Ester. — Dbaj o Nera!

— Dobrze, a ty uważaj na siebie, Ester! I dziękuję, bardzo dziękuję za wszyst-
ko, co dla nas zrobiłaś!

— To ja ci powinnam dziękować, a teraz już idź, inaczej stara baba zacznie
płakać.

Chwilę później Tiril i Nera przeszmygowano na statek odpływający na Islan-
dię. Erling był smutny i wcale nie próbował tego ukrywać. Tiril jednak ogarnęła
taka radość, że nawet nie zauważyła wyrazu jego twarzy.

Rozdział 9

Czy ciągle muszę uciekać? — zastanawiała się Tiril. Stała na dziobie i patrzyła, jak statek rozcina zielone fale.

Najpierw uciekałam z domu, ponieważ napastował mnie mój przybrany ojciec. Potem prześladowali mnie dwaj mężczyźni, zmuszając w końcu do ucieczki na morze. A teraz uciekam przed prawem!

Przed prawem, ja?

Dlaczego, moje życie tak się skomplikowało? Jestem przecież spokojną osobą nie pragnę niczyjej krzywdy.

Może właśnie dlatego? Może powinnam być twardsza i bezczelniejsza?

Nie, tak nie potrafię, widocznie inaczej być nie może. Dopiero w połowie drogi na Islandię zaczęły nachodzić ją wątpliwości. Jej najgorętszym pragnieniem było pomóc Móriemu albo przynajmniej go zobaczyć. Czuli, że w pewnym sensie są ze sobą związani. Ale zapomniała o jednej bardzo ważnej sprawie: w jaki sposób go odnajdzie?

Nie wiedziała o Islandii nic poza tym, co opowiedział jej Móri. Trudno było sobie wyobrazić, że wyspa jest taka mała, by mogła podejść do pierwszego lepszego napotkanego człowieka i spytać: „Gdzie znajdem Móriego?”

A na domiar wszystkiego, jeśli dobrze zrozumiała, Móri nie było jego prawdziwym imieniem, tylko przydomkiem, w dodatku oznaczającym upiora. Upiora czarnoksiężnika...

Zadrzała, zdjęta nagłym lękiem, pochyliła się więc, by pogłaskać Nera. Jego obecność zawsze dodawała jej otuchy.

Dla porządnego i dumnego psa spędzenie tak długiego, czasu na statku nie było wcale łatwe. Pierwsze dni okazały się naprawdę kłopotliwe, szczęśliwie najwyższy maszt miał zapach odpowiadający psu i posłużył za drzewko. Tiril zawsze starannie sprzątała po ulubieńcu, żeby przypadkiem nikt na niego nie narzekał.

Ale tym akurat nie musiała się martwić. Nero stał się maskotką marynarzy, rozpieszczali go smakowitymi kąskami, tak więc przy braku ruchu istniało niebezpieczeństwo, że pies zbyt się zaokrągli.

Tiril starała się przypomnieć sobie szczegóły opowieści, Móriego. Najlepiej

by było, gdyby obrała za cel ów kościół, o którym Móri zawsze opowiadał w związku z Gottskalkiem Złym. Kościół Holar, tak go nazywał. Zwróciła się z prośbą o radę do dwóch Islandczyków, którzy byli na pokładzie. Owszem, istniały dwa kościoły o tej nazwie. Oba leżały na północy.

Tiril wyjaśniła, że chodzi jej o siedzibę biskupa.

Aha, w takim razie to Holar w Hjaltadalur. Położone dalej na północ. Będzie musiała jechać do Skagafjörður. Pomogą jej nawiązać kontakt z pewnym człowiekiem, który może ułatwić jej podróż z Rejkiawiku. On ma konie i przewodników, w dodatku mówi trochę po norwesku.

Konie? przestraszyła się Tiril. Nigdy jeszcze nie dosiadała konia.

Cóż, będzie musiała się nauczyć jeździć konno. Na Islandii bez konia daleko się nie dotrze, a opłynięcie wyspy statkiem mogłoby trwać zbyt długo. Okrążenie półwyspu z Isafjörður zajmuje wiele czasu.

Isafjörður? W głowie Tiril coś zaświtało.

Oczywiście! Móri opowiadał o tym półwyspie. Mieszkali tam jego przodkowie, czarownicy Jonssonowie.

O, Móri!

Gdy wracała myślą do wspaniałych chwil, jakie przeżyli razem w domu w Laksevag do oczu napływały jej łzy.

— Muszę się dostać do Holar jak najszybciej — oświadczyła islandzkim marynarzom.

Cały dzień zajęło Tiril zaprzyjaźnienie się z jej islandzkim konikiem. Zachwycony Nero nareszcie mógł biegać po wielkich otwartych przestrzeniach. Nieco gorzej było, gdy dotarli do terenów wypasu owiec: dopiero po wielu krzykach i połajaniach Nero pojął, że nie wolno mu gonić tych śmiesznych wielkich stworów, bo pewnie tak myślał o owcach.

Wszystko skończyło się dobrze, Nero był bowiem spokojnym, przyjaźnie nastawionym do świata psem, po prostu podobało mu się, że zwierzęta przed nim uciekają. Niestety, Tiril, jego pani, bardzo się rozgniewała i skarcony pies długo chodził ze spuszczoneym łbem. Miał dość rozumu, by nie podejmować pościgu za owcami.

— Dobry pies — stwierdził przewodnik. Mówił bardzo podobnie do Móriego, tylko o wiele trudniej było go zrozumieć. Tego dnia bardzo chwalił Tiril, że tak prędko nauczyła się szczególnego kroku islandzkich koników — tyłtu.

Prędko, pomyślała skrzywiona, rozcierając obolałe pośladki. Może i tak, ale to się czuje! Polubiła jednak niedużego, silnego konika, który w charakterystycznym galopie zdawał się płynąć w powietrzu, nie podrzucając przy tym jeźdźca.

— Czy jesteśmy teraz w Kaldidalur? — spytała, pamiętając, co opowiadał jej Móri.

— Nie, nie.

— Sprengisandur?

— Ależ nie! Nie wypuszczam się na tak niebezpieczne trasy. Znajdujemy się o wiele dalej na zachód, jedziemy na północ wzdłuż Holtavordhurheidhi.

Zdaniem Tiril przeprawa i tak była męcząca, dziewczyna cieszyła się więc, że nie musi jechać przez Kaldidalur czy Sprengisandur, którą to podróż Móri wspominał jako koszmar.

Z początku niewiele rozumiała, co mówi do niej przewodnik. Był on starszym, zahartowanym w zmaganiach z naturą człowiekiem. Z czasem jednak nauczyła się wychwytywać pojedyncze słowa, dzięki wrodzonej inteligencji potrafiła wytropić ich etymologię, czyli pochodzenie. Wiedziała, na przykład, że słowo „far” — ojciec, w różnych językach brzmi podobnie: father, Vater, padre, pere. W ten sposób potrafiła zrozumieć słowa z różnych języków.

Trzeba się było, niestety, pogodzić z faktem, że istnieją pewne wyjątki od wszelkich reguł, na przykład słowo „motyl”. „Motyl” po norwesku to sommerfugl, po szwedzku — fjäril, po niemiecku Schmetterling, po francusku — papillon, po angielsku butterfly, a po rosyjsku — baboczka albo motylok.

Wkrótce jednak rozumiała, jakich zasad powinna się trzymać w języku islandzkim, więc gdy zbliżali się do Islandii Północnej, mogła się już jako tako porozumiewać z przewodnikiem. Nie było oczywiście mowy o pełnych zdaniach, radzili sobie pojedynczymi słowami, no i za pomocą rąk i nóg.

Na szczęście zanim statek na Islandię odpłynął z Bergen, Erling zdążył przynieść Tiril z domu trochę ubrań. Wręczył jej także sakiewkę z monetami, prawdopodobnie wyjętą z własnej kieszeni. Dziewczyna miała z tego powodu wyrzuty sumienia, z drugiej jednak strony nie była wcale pewna, czy to jego pieniądze. Równie dobrze mogły pochodzić z jej spadku, Erling wspomniał przecież, że zajął się jej interesami. Była mu za wszystko ogromnie wdzięczna i nie wiedziała, jak ma dziękować.

A przecież mogła coś dla niego zrobić! Niestety, Tiril nigdy nie traktowała poważnie miłości Erlinga.

Islandia. . .

Owa fantastyczna, niezwykła kraina, w której dzieło stworzenia wciąż trwało, gdzie rzeki pojawiały się i znikwały, a wewnątrz Ziemi było w ciągłym ruchu.

Kraina Móriego.

Tiril już ją pokochała.

Ten kraj nie był podobny do niczego, co do tej pory dane jej było zobaczyć.

Widziała białą parę unoszącą się ze zboczy, stada małych dzielnych koników pokonujących przestrzenie i dzikie wodospady wypływające jakby z nicości. Kępki mchu czepiające się martwych pagórków lawy i kamienia w miejscu, gdzie — jak by się wydawało — nic nie zdołałoby wyrosnąć.

Mijali głębokie rozpadliny, w których błocko gotowało się i wrzało, i mroczne doliny, nad którymi zawisły ciężkie od deszczu chmury, a wyżej rozpościerała się tęcza, bo na niebie świeciło słońce. Jej przewodnik i trzy zapasowe konie rysowali się niczym świetliste postacie na granatowoantracytowym tle.

O pogodzie trudno powiedzieć, by była wymarzona na podróż, na przemian świeciło słońce i padał deszcz. Największe jednak wrażenie zrobiły na Tiril wierzchołki gór. Wiele z nich było płaskich jak stół. Przewodnik wyjaśnił jej, co prawda głównie gestami, że w epoce lodowcowej Islandię pokrywał lód. Pod nim jednak wulkany wyrzucały z wnętrza Ziemi wrzącą lawę i rozżarzony popiół. Lawa, hamowana przez lodowy dach, rozlewała się pod nim i w ten sposób utworzyły się szerokie, płaskie szczyty.

Tiril miała wrażenie, że strasznie się wloką. Tak wiele dni już upłynęło od czasu, gdy przyśnił jej się Móri na pustkowiu.

Na pewno już dawno nie żył.

Ach, nie, to nie może być prawda, nie wolno tak myśleć!

Pewnego dnia przewodnik wskazał na rzekę, którą właśnie mijali:

— To Öxnadalur.

I znów znajoma nazwa z opowiadania Móriego! Diakon z Myrka przepłynął się przez rzekę płynącą przez Öxnadal, a potem utonął w rzece Hörga. Znała historie Móriego na pamięć, uwielbiała je, na ich wspomnienie przenikał ją dreszcz emocji.

— Myrka? — spytała.

Wskazał na wschód. Daleko, za górami i dolinami. . .

— Nie jedziemy tamtędy — odparł. — Ruszymy inną drogą. Do Holar.

Pokiwała głową.

Zaprzyjaźnili się, tak zresztą być powinno, kiedy dwoje ludzi wybiera się w długą, uciążliwą podróż. Tiril cieszyła się, że przewodnik jest starszym, budzącym zaufanie człowiekiem. Miał żonę, dzieci i wnuki. Towarzystwo młodszego mężczyzny mogło być kłopotliwe. Istniałoby wtedy niebezpieczeństwo, że zainteresują się sobą nawzajem, mógł też okazać się typem natręta.

A Tiril nie chciała, by jej myśli zajmował ktoś inny niż Móri.

Niewiele mogła opowiedzieć o przyczynie swej wyprawy, nie starczało jej na to słów. I jak wyjaśnić, że wyruszyła w tak daleką drogę tylko dlatego, że coś jej się przyśniło? Albo że pewien czarnoksiężnik wskrzesił albo nie wskrzesił z martwych od dawna nie żyjącego biskupa, aby zdobyć jego księgę? I że we śnie widziała go, wpadającego do bezdenne go krateru gdzieś na odległym, pustym płaskowyżu?

Nie miała pojęcia, gdzie może znajdować się ten płaskowyż, żywiła jednak nadzieję, że w Holar trafi na jakiś ślad Móriego.

Tiril nie doceniała jednak wrażliwości Islandczyków. Oni wyczuwali tajemnicze istoty, wiedzieli, czym są dramatyczne przygody. Gdy po wielu dniach, kiedy

byli już coraz bliżej Holar, uznała wreszcie, że musi opowiedzieć o Mórím, Nerze i śnie, który ją tu sprowadził, przewodnik, Steinar Hafthorsson, wysłuchał jej z pełnym zrozumieniem.

Dysponowała też teraz znacznie większym zasobem słów, więc odważyła się na trudniejszą rozmowę.

— Przywykliśmy do podobnych historii — tłumaczył, widząc jej zdumioną minę. — Wiemy, że natura żyje. Spójrz na to usypisko kamieni! Ono należy do elfów, jest ich tutaj wiele. Zawsze zostawiamy tu modlitwę z prośbą o szczęśliwą podróż. Jeśli ktoś modli się do Boga zamiast do elfów, przyjmujemy to bez złości. Widzisz, Tiril, nie jest takie ważne, do kogo człowiek się modli. Na świecie jest wiele religii, we wszystkich jest jakiś bóg, do którego ludzie wznoszą modły. Trzeba to akceptować. Bo to nie Bóg jest najważniejszy, lecz modlitwa. Własne oddanie. Ono jest jakby energią, gwałtownie zagęszczoną, bijącą od człowieka. A energia zawsze gdzieś dociera, coś osiąga. Dlatego właśnie modlitwa może uratować ludzkie życie.

Rozemocjonowany zapomniał, że Tiril niewiele rozumie. Na jej życzenie potwórzył wszystko wolniej i krótszymi zdaniami. Wreszcie pojęła.

— A ten stos kamieni? — spytała. — Co to znaczy, że zostawiacie tu modlitwę?

— Piszemy kilka słów na tym, co akurat jest pod ręką, na kawałku drewna, papieru albo na kamieniu, wkładamy do wydrążonej kości i wciskamy między głązy.

— Zrobmy to — ucieszyła się Tiril. — Ale nie mam ani...

Steinar wyjął potrzebne przybory z bagażu dźwiganego przez piątego, jucznego konia. Tiril nie myślała o niebezpieczeństwach grożących im podczas podróży. Jej jedynym życzeniem był Móri, Móri, Móri. Taką właśnie prośbę napisała i wsunęła do wydrążonej kości.

Przyroda na północy była inna. Doliny zieleńsze. Góry bardziej strome, ale przełęcz łagodna. Na łąkach pasło się wiele koni i owiec.

Ponieważ przewodnik zabrał trzy dodatkowe konie, cztery wierzchowce na zmianę niosły ludzi na grzbietach. Dzień wcześniej jechali przez wielkie pole lawy i Nero poranił sobie łapy. dzielnie jednak znosił ból.

— Niedługo odpoczniesz — pocieszała go Tiril. — Kiedy tylko spotkamy Móriego.

Jeśli w ogóle go spotkamy, pomyślała z trwogą.

Holar...

Tutaj biskup Gottskalk prowadził swą Czarną Szkołę. Tiril trochę o niej wiedziała, rozpytywała bowiem już wcześniej. Impulsy przyszły z osławionej Czarnej Szkoły na Sorbonie we Francji.

Pierwszym, który dał podstawy tej szkole czarnej magii, był rzymski poeta Wergiliusz, żyjący w ostatnim stuleciu przed narodzeniem Chrystusa. W średnio-wieczu wielce go poważano, był wszak zdolnym... tak, właśnie czarnoksięż-nikiem. Krążyło wiele historii o jego niezwyklej znajomości wiedzy tajemnej. W niektóre nie chciało się wierzyć — na przykład w to, że stworzył czarodziej-skiego konia albo że rozmawiał z duchami z Wezuwiusza. Inne opowieści były bardziej prawdopodobne. Ale Wergiliusz najbardziej się wślawił jako autor wiel-kiego eposu, „Eneidy”.

Jego nauka o czarnej magii dotarła więc aż na północ Islandii, myślała Tiril. Dreszcz przebiegł jej po plecach. To, co tajemnicze, mistyczne i przerażające, naj-latwiej zakorzenia się w świecie, we wszystkich krajach, także na jego krańcach.

Na Islandii czarną magię określano słowem „galder”, a czarnoksiężników na-zywano mistrzami galdru.

Sympatyczny przewodnik opowiedział jej nieco więcej o tutejszej Czarnej Szkole w Holar. Zamknięto ją wiele, wiele lat temu, ale ostatnio wznowiła działal-ność. Oczywiście czarnoksiężskie praktyki uprawiano w tajemnicy, ale krążącym pogłoskom nie udało się zapobiec. Wspominano w nich o nadzwyczaj zdolnym i bardzo niebezpiecznym czarnoksiężniku.

— Jak on się nazywa? — natychmiast spytała Tiril.

— Mówią o nim Mag-Loftur.

A więc nie Móri, zdziwiła się Tiril w duchu.

— To młody chłopak — ciągnął przewodnik. — Ale jego zdolności zdają się nie mieć granic. Ostatnio, kiedy tu byłem, słyszałem niesamowitą historię. Podobno próbował wskrzesić z martwych pewnego starego biskupa, który...

— Mag-Loftur?!

— Tak. Towarzyszył mu młodziutki diakon. On twierdzi, że Magowi-Lofturowi się powiodło! A w każdym razie prawie. W to, co mówi chłopiec, na-leżałoby właściwie wierzyć, bo mało brakowało, a postradałby zmysły ze strachu. Co noc dręczą go koszmary.

Tiril była wstrząśnięta, wzburzona, niczego nie mogła zrozumieć. Co to miało znaczyć? Gdzie w tym wszystkim Móri?

— Jak nazywa się ten młody chłopiec?

— Słyszałem jego imię... jak to było?

Wreszcie sobie przypomniał.

Muszę z nim porozmawiać, postanowiła Tiril. On może coś wiedzieć, przy-najmniej czy Móri był tutaj, czy nie.

Zabrakło jej śmiałości, by porozmawiać z Magiem-Lofturem. Już samo jego imię brzmiało trochę strasznie, poza tym był rywalem Móriego.

Ostatni dzień jazdy wzdłuż Skagafjörður zdawał się nie mieć końca. Zwykle tak bywa, że kiedy człowiek jest już blisko celu podróży, zaczyna mu brakować cierpliwości.

Tiril przestała już mieć nadzieję, że odnajdzie Móriego, a tym bardziej że znajdzie go żywym. Skoro jednak dotarła tak daleko, postanowiła dowiedzieć się dokładnie, jaki los go spotkał, poznać prawdę, choćby była najbardziej gorzka.

Zapłaciła przewodnikowi z góry za określoną liczbę dni, miała teraz sporo czasu przed wyruszeniem w powrotną drogę.

Powrót? Dokąd?

W każdym razie nie do Bergen. Na razie jeszcze nie, przynajmniej dopóki nie ucichnie burza wokół Ester i dwóch prześladowców.

Postanowiła, że pierwszym dłuższym przystankiem będzie Rejkiawik. Spodobała jej się Islandia i mieszkający tu ludzie. Teraz, kiedy pierwsze trudności językowe zostały pokonane, radziła sobie coraz lepiej. Wychwytywała parę słów w zdaniu, a reszty się domyślała.

Czasami okazywało się to dobrą metodą komunikacji, innym razem — całkiem nieskuteczną.

Ale to był ojczysty język Móriego. Bardzo ją radowało, że poznała choć trochę tę mowę. Będzie mogła go zaskoczyć. . .

Znów dopadły ją czarne myśli. Móri. . . pewnie go już nie ma.

Ale dotarła przecież do Holar i musi zrobić wszystko, co w jej mocy.

Siedziba biskupa w północnej Islandii leżała w szerokiej dolinie Hjaltdalur, za nią wznosiła się wysoka góra. Kościół, dom biskupa, Szkoła Łacińska wraz z kilkoma jeszcze innymi budynkami tworzyły miniaturowe społeczeństwo, będące jednak ośrodkiem wielkiej władzy. Obok znajdował się ogród, w którym uprawiano arcydzięgiel, piękną roślinę z intensywnie żółtymi baldachami kwiatów, z której na Islandii wytwarzano wódkę.

Tiril bała się zapuścić sama między zabudowania, Steinar więc postanowił jej towarzyszyć.

Poprosiła o chwilę rozmowy z młodym chłopcem. Otrzymała przyzwolenie. Pogoda akurat dopisywała, usiedli więc w wieczornym słońcu na ławeczce przy cmentarzu.

Dowiedzieli się, że obecny kościół — bardzo duży, lecz już zniszczony — zamierzano zburzyć, a na jego miejscu wybudować nowy, mniejszy.

Tiril zerknęła przez ramię, zastanawiając się, gdzie też mógł zostać pogrzebany Gottskalk Okrutny, przypomniała sobie jednak, co mówił Móri: zły biskup spoczął w krypcie pod podłogą kościoła.

Zdecydowała, że nie będzie wchodzić do świątyni.

Steinar pełnił rolę tłumacza, znał już bowiem sposoby Tiril na zrozumienie islandzkiego. To, co docierało do Tiril, bywało zwykle znacznie uproszczone, lecz na ogół wystarczało.

Chłopiec rzeczywiście sprawiał wrażenie chorego. Oczy miał rozszerzone strachem, podskakiwał przy każdym głośniejszym dźwięku, widać też było, że ze śmiertelnym przerażeniem spogląda na budynek kościoła.

Przewodnik spytał, jak się wie dzie Magowi-Lofturowi.
 Chłopiec drgnął.
 — On nie żyje — szepnął, odwracając głowę. — Zniknął. Wielkie, szare wło-
 chate ramie wciągnęło go w morską otchłań.
 Tiril poczuła, że blednie.
 — Kiedy to się stało?
 Chłopak po zastanowieniu się podał dokładną datę.
 A zatem mogło się to wydarzyć tej samej nocy, kiedy Nero przebudził mnie
 wyciem, a potem przyśnił mi się Móri na płaskowyżu, pomyślała Tiril. Mogło to
 być właśnie wtedy!

Czyżby w ten sposób przekazano jej wieści o śmierci Maga-Loftura?
 Ośmieliła się wreszcie zadać najważniejsze pytanie:
 — Przybyłam tu w poszukiwaniu mego przyjaciela — zaczęła. Steinar tłuma-
 czył. — Nosi imię Móri, łatwo go rozpoznać. Ja nazywam go Aniołem Śmierci.
 — Móri — jęknął przerażony chłopak. — Znam go! Był z nami w kościele!
 — Co takiego?! Dlaczego nikt inny o nim nie wspominał?
 — Ponieważ towarzyszył nam w tajemnicy. Tylko ja wiedziałem o jego obec-
 ności.
 — A więc to nie on wskrzesił biskupa?
 — Nie. Bardzo tego pragnął, lecz nie chciał stawać na drodze Magowi-
 Lofturowi.
 — Czy Mag-Loftur wiedział o nim?
 — Ależ skąd! To mogło być niebezpieczne! Loftur był nieobliczalny.
 Serce Tiril o mało nie wyskoczyło z piersi, kiedy zadawała następne pytanie:
 — A... gdzie jest teraz Móri?
 — Nie wiem — odparł chłopiec. — Po tej strasznej nocy musiało go spo-
 tkać coś złego, tak jak Loftura. Ja uszedłem cało, bo nie znałem czarnoksięskich
 formuł. Nie interesowała mnie także ta przeklęta księga!
 — Tak, „Rödskinna”. Nie podsuniesz nam jakiegoś pomysłu, gdzie może znaj-
 dować się Móri? A może sądzisz, że on także... nie żyje?
 Chłopiec bezradnie pokręcił głową.
 — Nic nie wiem. Ostatnio, kiedy rozmawiałem z Mórim, wspominał, że wy-
 biera się do Hjaltadalsheidhi.
 Heidhi — wzgórze.
 Przewodnik i Tiril popatrzyli na siebie. A więc wiedzieli już, jaki będzie ko-
 lejny etap ich podróży.
 — Czy nie jest to dzika, bezludna okolica?
 — Straszna. Hjaltadalsheidhi przechodzą w Hörgadalsheidhi, a tam, między
 Öxnadalur i Hörgadalur, leży budzący grozę ostry szczyt Hraundrangi.
 Oto i wszystkie nazwy z opowieści Móriego, jedna za drugą! Hraundrangi-
 Móri, tak przecież brzmiało imię jego ojca.

Tiril zorientowała się nagle, że mężczyźni rozmawiają właśnie o owej górze.
— Podobno na wierzchołku Hraundrangi leży skrzynia pełna złotych monet
— mówił Steinar. — Ale pewnie ludzie gadają tak tylko dlatego, że na szczyt nie da się wspiąć.

Chłopiec nie był przekonany.

— Na pewno się da, bo przecież Hraundrangi-Móri, znany czarnoksiężnik, zaniósł tam tę skrzynię.

— Musiało się to wobec tego stać już wtedy, gdy zmienił się w upiora — krótko odrzekł przewodnik. — Żywy człowiek nie jest w stanie się tam dostać.

Tiril zadrżała. Wiedziała, że przydomek „Móri” oznacza właśnie upiora czarnoksiężnika, a nie żywego człowieka.

Ale Móri miał na imię Móri i był przecież...

Od tej myśli zakręciło się jej w głowie, zapanowała jednak nad sobą i zakończyła beztróskim tonem: — W każdym razie pojedziemy na te wzgórza.

Rozdział 10

Postój w Holar dobrze zrobił biednym łapom Nera. Młodzi chłopcy, kształcący się na pastorów, życzliwie się nim zajęli — nie co dzień wszak zdarzała im się wizyta młodziutkiej panny — a psu bardzo się spodobało, że znalazł się wreszcie w centrum zainteresowania.

Tyle dni upłynęło od czasu, kiedy we śnie dowiedziałam się o tragicznej sytuacji Móriego, myślała z rozpaczą Tiril. Za długo trwają te poszukiwania.

Nawet przez chwilę nie wątpiła w prawdziwość swoich przeczuć, nigdy nie pomyślała: to był tylko sen, wszystko sama wymyśliłam.

Byli sobie z Mórim zbyt bliscy, aby mogła się pomylić, poza tym jego zdolności telepatyczne z pewnością nie miały sobie równych.

Ale od tamtej nocy nie otrzymała od niego żadnych sygnałów.

Czy to znaczyło, że nie może już się z nią porozumiewać? Czy przestał istnieć?

Z tej myśli zrodziła się kolejna, taka, od której wiało grozą. Jej przyjaciel był wszak czarnoksiężnikiem. Nosił imię Móri. Może mógł żyć dalej? Po śmierci? Albo... albo już wcześniej był upiorem. Aniołem Śmierci.

Nie, nie wolno jej tak myśleć.

Hjaltadalsheidhi. Ogromny obszar, najprawdopodobniej bezludny. Czego Móri tam szukał? Jak mieli go odnaleźć na tym pustkowiu?

Kiedy już opuszczali Holar, młody diakon przybiegł się pożegnać.

— Przypomniało mi się coś, o czym wspomniał Móri — oznajmił zdyszany. — Mówił o jakiejś starej ziemiance, w której mogą nocować podróżni i pasterze. Powinna leżeć gdzieś w okolicach Hraundrangi.

— Doskonale — ucieszył się przewodnik. — Chyba wiem, gdzie to jest. Na tak trudnym do przebycia terenie niewiele jest miejsc, w których może być usytuowana.

— Czy tam nie ma żadnych domów? — dopytywała się Tiril.

— Są nieliczne zagrody, porozrzucane po obrzeżach tego rejonu. Zorientowałaś się już chyba, jak rzadko zaludniona jest Islandia? Domy stoją w trudnym do pojęcia oddaleniu od siebie.

— Jeżdżenie w zaloty może być naprawdę męczące — zauważyła Tiril. — Dobrze, że macie te wasze dzielne, mocne koniki.

— Rzeczywiście, bez nich byłby kłopot.

Następnego dnia rano ich oczom ukazał się łańcuch górski ze szczytem Hraundrangi. Góry przypominały miasto. Większość szczytów była płaska, czworokątna jak domy. Niczym kościół nad miastem górował nad nimi pojedynczy wierzchołek. Hraundrangi istotnie przypominał kształtem kościelną wieżę z cienką, ostro zakończoną iglicą.

— Nikt nigdy nie zdoła się tam wspiąć! — wykrzyknęła na ten widok Tiril.

— Rzeczywiście, chyba raczej powinniśmy zapomnieć o skrzyni pełnej złota — uśmiechnął się Steinar.

Wstrzymał konie i rozejrzał się dokoła.

— Nie znam zbyt dobrze tych okolic, ale jeśli całkiem się nie mylę, ziemianka powinna leżeć mniej więcej tam.

Wskazał palcem kierunek.

— Wobec tego ruszamy — postanowiła natychmiast Tiril.

— Jesteś najbardziej wytrzymałą dziewczyną jaką kiedykolwiek spotkałem. Jeśli to nie miłość cię popędza, to sam już nie wiem. . .

— Nie — odparła Tiril cichutko. — To nie miłość. Ja nie kocham Móriego. To raczej przyjaźń, oddanie. Wdzięczność. A oddanie potrafi być równie mocne i bolesne jak miłość. Nigdy nie byłam zakochana. Ale wiem, czym jest oddanie.

Steinar nic na to nie powiedział. Dziewczyna mówiła z taką szczerością, że odczuł dla niej szacunek.

Tiril bardzo polubiła tę ich niedużą grupę: dwoje ludzi, pięć koni i pies.

Teraz jednak była spięta. Każdy nerw ciała był naprężony jak struna.

Trochę pokręcili się w kółko, wreszcie jednak dostrzegli ziemiankę, na wpół ukrytą w zielonym zboczu.

Natychmiast przyspieszyli kroku.

Wkrótce mieli już pewność: ktoś niedawno w niej mieszkał. Teraz jednak świeciła pustkami.

Tiril starała się nie okazywać rozczarowania. Wiedziała, że osoba, która ostatnio przebywała w ziemiance, był Móri. Poznała znak, jaki wyrył na kawałku węgla brunatnego. Co prawda nie widziała nigdy przedtem takiego znaku, zrozumiała jednak, że to czarnoksiężska runa.

Steinar i tak dostrzegł jej zawód.

— Pojedźmy przez równinę i dalej w dolinę za tym wzniesieniem — zaproponował życzliwie. — Tam leży najbliższa zagroda. Może ktoś go widział? Rozmawiał z nim?

Tiril skinęła głową. Nie chciała dawać przewodnikowi do zrozumienia, że w to nie wierzy. Móri zawsze unikał ludzi, zdawał bowiem sobie sprawę, że jego szczególnie wygląd może wzbudzać rozmaite reakcje.

Nieduży rozgniewany owczarek wybiegł im na spotkanie, zanim jeszcze dojechali do domu.

— Boże — szepnęła Tiril. — Co teraz będzie?

— Miejmy nadzieję, że to suka.

— Miejmy nadzieję, że nie ma cieczi.

Ale spotkanie dwóch psów całkowicie ich zaskoczyło. Owczarek okazał się psem, nie suką, a psy, jak wiadomo, zazdrośnie strzegą swoich rewirów. Nero także nie należał do tych, co to unikają bójek.

Spotkanie jednak miało naprawdę zdumiewający przebieg. Ani śladu wrogości, z początku sztywne ostrożność z uszami położonymi po sobie. Potem nieduży owczarek wyciągnął się na grzbiecie, dając tym samym znak, że się poddaje, a Nero życzliwie dał mu do zrozumienia, że są sobie równi.

Potem psy z zapalem przystąpiły do powitania. Podniosły oklapłe uszy i w drobnych podskokach zaczęły się obwachiwać, głucho przy tym zawodząc.

— One ze sobą rozmawiają — szepnęła zdumiona Tiril.

— Rzeczywiście na to wygląda — uśmiechnął się przewodnik.

Psy w najlepszej komitywie pobiegły w stronę domu. Prowadził mniejszy. Całym ciałem zdawał się mówić: „Chodź, zobaczysz, jak mieszkam!”

— Dziwne — mruknęła Tiril. — Nero zwykle tak się nie zachowuje. W towarzystwie innych psów potrafi być prawdziwym urwisem.

Gdy dojechali do chaty, wyszedł z niej mężczyzna. Przywitał ich z pytaniem w oczach.

Steinar przedstawił Tiril i wyjaśnił, że przybyła tu w poszukiwaniu przyjaciela, który, z tego co wiedza, zaginął w tych okolicach.

Wieśniak zwrócił swe łagodne, spokojne oczy na dziewczynę. Tiril opisała Móriego.

Chłop odpowiedział dopiero po chwili:

— Nie sądziłem, że tacy jak on mają jakichś przyjaciół.

Tiril poczuła ukłucie w sercu.

— A więc on tu był?

— Nie.

— Ale...

— Nie „był”. On tu jest.

Tiril cała krew odpłynęła z głowy.

— Jak się czuje? Żyje?

— Ledwie, ale jeszcze żyje — wieśniak uśmiechnął się z goryczą. — Tacy jak on mają konszachty z siłami, jakich my nie znamy. Chodźcie ze mną!

Zsiedli z koni na dziedzińcu i chłop poprowadził ich do jednego z niedużych budynków, jakiejś szopy, Tiril nie wiedziała, do czego właściwie jej używano.

Na poddaszu była nieduża izdebka. Dostali się tam po drabinie.

— Żona nie zgadza się trzymać go w domu — wyjaśnił cicho mężczyzna. — Ale miał dobrą opiekę. Tylko że nie chce jeść.

Przez maleńkie okienko wpadało trochę światła. Móri siedział w najbardziej odległym kącie łóżka, skulony, plecami oparty o ścianę.

— Ach, Móri! — jęknęła Tiril.

Ledwie go poznała.

Był nieprawdopodobnie chudy. Twarz nosiła ślady wycieńczenia, pod skórą wyraźnie odznaczały się kości. Najstraszniejsze jednak wrażenie robiły oczy.

Bił z nich niezwykły, jakby białawy blask, Tiril nie potrafiła ich opisać. Zapadły się głęboko i przypominałyby oczodoły w czaszce, gdyby nie ów migotliwy, niezemski blask, tak jasny, że zdawał się niemal biały.

— Tiril — szepnął, resztką sił wyciągając ku niej rękę.

Tiril natychmiast siadła przy nim.

— Pomóż mi, Tiril.

Otoczyła go ramionami, a on przytulił się do niej. Przez ubranie czuła, że została z niego skóra i kości.

Cicho, tak że tylko ona usłyszała, powiedział:

— Pomóż mi, moja droga przyjaciółko, bo brnę ku zagładzie. Wędrowałem po ścieżkach, nie przeznaczonych dla ludzi. Zaglądałem w otchłanie, do królestwa lodowatych wichrów i niemego strachu. . .

Chłop zwrócił się do Steinara:

— Sądzę, że powinniśmy zostawić ich samych. Mówią językiem, którego my nie rozumiemy.

Nie chodziło mu przy tym wyłącznie o norweski.

Steinar popatrzył na dwoje młodych i pokręcił głową.

— I to dla niego przejechała taki kawał świata! Kto zrozumie kobietę? Miało się wrażenie, że ona równa drogę, którą ma jechać, spłaszcza góry i zasypuje doliny. Nie było dla niej przeszkody. Przeprowadzała się przez rzeki, siania z zimna na deszczu, dzieliła się ze mną prostym pożywieniem, nocą owijała się w zniszczone owcze skóry, służące za siodła, a wszystko to bez słowa skargi. Oczy jej błyszczały zapalem i lękiem o niego. Jakby popędzała ją wewnętrzna siła. . . ale rozumiem teraz, co miała na myśli mówiąc, że nie można kochać tego mężczyzny. To, co czuje, nazwała oddaniem. Boże, zmiłuj się nade mną, w takim razie to oddanie jest po stokroć silniejsze, niż może być miłość!

Po drabinie zeszli na dół. Młodzi ludzie nie zwrócili na nich uwagi.

— Jestem teraz przy tobie — szepnęła Tiril. — Wszystko będzie dobrze. Jest też ze mną Nero, już się cieszę na to, że zobaczę, jak cię przywita.

Dostrzegła, że Móri próbuje się uśmiechnąć.

— Nero. . . mój stary przyjaciel.

— Wydaje mi się, że mój widok wcale cię nie dziwi?

— Myślałem, że to tylko sen, jak zwykle — odparł z uśmiechem.

Sen, jak zwykle? Na te słowa serce Tiril zaczęło uderzać mocniej.

Delikatnie ujął jej głowę w dłonie i przyglądał się jej uważnie. Tiril niemal przestraszył jego wygląd. Tak niebywale się zmienił. A mimo wszystko był to Móri, przerażająco piękny.

— Blask twoich oczu — szepnął. — Nigdy go nie zapomniałem. Widziałem go, jakbyś stała przede mną. Kiedy na mnie patrzyłaś, twoje oczy lśniły blaskiem czegoś nieskończenie pięknego. Nie potrafię tego nazwać. Nie wiesz, ile dla mnie znaczył ten blask. Dzięki niemu wiedziałem, że istnieje ktoś, kto obdarza mnie zaufaniem, okazuje, że jestem potrzebny. . .

Znów przyciągnął ją do siebie, przytulił policzek do jej policzka.

— A ja z tego zrezygnowałem. Z powodu żalosego opętania, z targającej mną żądzy zdobycia władzy, wiedzy tajemnej i znajomości czarnoksięskich formuł. To mogło kosztować mnie życie, Tiril!

Teraz też niedaleko ci do śmierci, pomyślała Tiril. Balansujesz na krawędzi!

— Mag-Loftur nie żyje — powiedziała cicho.

Dreszcz grozy wstrząsnął jego ciałem.

— Byłaś tam? Byłaś w Holar?

— Tak.

— Jak mnie tu znalazłaś?

— Wiedziałam, że znajdujesz się w pobliżu jakiegoś płaskowyżu. Potem usłyszałam nazwę Hraundrangi, a przecież twój ojciec nazywał się Hraundrangi-Móri.

— To prawda. Wyruszyłem tutaj, bo przyszedł mi do głowy niemądry pomysł, że być może on zdoła mi pomóc. Niestety, nie spotkałem żadnego upiora o tym imieniu.

— Najwyraźniej zupełnie nieźle potrafimy odczytywać swoje myśli — roześmiała się Tiril ucieszona. — Tak, Móri, wyruszyłam twoim śladem. Już tamtej nocy, kiedy wydawało mi się, że Nero odebrał od ciebie sygnał. Czy tak było naprawdę?

— Nero uratował mi życie. Zdołał nawiązać kontakt — nie pytaj mnie, w jaki sposób — z pieskiem z tej zagrody.

Tiril roześmiała się nieco bezradnie.

— Szkoda, że nie widziałeś, jak się witały. One się znały!

— Muszę natychmiast przywitać się z Nerem. Właściciel owczarka uwolnił mnie spod lawiny. W ostatniej chwili.

— Ale rany w twojej duszy jeszcze się nie zagoiły?

— Nie. Te światy, które oglądałem, Tiril! Nie mogę wrócić do światła. Wokół mnie panuje taki mrok, twój świat od mojego odgradzają teraz całe epoki. Pomóż mi dostać się z powrotem do twojej świetlistej krainy, Tiril, zapadam się w otchłań!

— Na pewno sobie z tym poradzisz — starała się dodać mu otuchy, lecz jej drżący głos świadczył o tym, że nie do końca w to wierzy. — Wiesz, Mag-Loftur czynnie uczestniczył w tym, co się stało, zrozumiałe więc, że w następstwie swych nieodpowiedzialnych poczynań został wciągnięty do otchłani. Ale ty przecież niczego nie zrobiłeś.

— Dobrze wiesz, jakie było moje pragnienie. Gdyby on mnie nie uprzedził, na pewno uczyniłbym to samo.

Wyczerpany osunął się na łóżko. Nawet mówienie przychodziło mu z trudem.

— Tiril, dowiedziałem się trochę o tym, co nas otacza. Wiem już, że istnieją inne światy. Inne wymiary. Otchłanie. Chcę ci także powiedzieć, że każdy człowiek ma swego opiekuna, wyższą istotę, która towarzyszy mu przez życie.

— Ja także?

— Oczywiście! Wiem, kto jest twoim opiekunem. Widziałem go raz u twojego boku, nie zdawałem sobie wówczas sprawy, co to ma znaczyć. Teraz już wiem.

— Opowiedz mi o tym!

— Nie teraz. Widzisz, Tiril... Wtedy, w kościele, wkroczyłem na obszary Śmierci. Nigdy nie powinienem był się tam zapuszczać. Później, kiedy wędrowałem po mrocznych zboczach, których nie oświetla słońce, mój opiekun nie mógł mi towarzyszyć. Wykorzystując czarnoksiężskie formuły w zakazanych strefach naraziłem się na przekleństwo czarnej magii. Tak jak Mag-Loftur otworzyłem się na ciemne moce, na wszelkie zło czyhające w nieznanym sferach. I nie mam już nikogo, kto by mnie chronił.

— Ja cię będę strzec.

— Ty? Dzięki ci, najmilsza, ale to może się skończyć tylko źle. To ja wciągnę cię w mroczne królestwa, do których nikt nie powinien zaglądać.

Myśli Móriego pobiegły gdzieś daleko. Po jego oczach Tiril poznała, że powrócił do straszliwego świata, znanego tylko jemu.

— Błędne ogniki — szepnął.

— O co ci chodzi?

— Wszystko to błędne ogniki. Ludzkie sny. Ich krótki czas na ziemi. Wszystko migoce i znika. Uścisnęła go jeszcze raz i wstała.

— Może najpierw skoncentrujemy się na tym, co doczesne? Musisz jeść, Móri!

— Tak, teraz będę jadł.

— Doskonale! Wrócisz z nami? Mam zamiar osiąść w Rejkiawiku.

— Pojadę z tobą — oświadczył i miękko jak kot zsunął się z łóżka. — Ale ty musisz wrócić do Norwegii.

— Nie mogę. Ścigają mnie. Zarówno żądni krwi mordercy, jak i samo prawo. Móri stanął prosto. Pomimo swej przeraźliwej chudości wydał się nagle niesamowicie silny.

— Być może owej strasznej nocy w kościele, a zwłaszcza podczas błędnych wędrówek po zakamarkach umysłu, przywiódłem swoją duszę do zguby. Lecz moja magiczna siła, czarnoksięska moc, stała się o wiele potężniejsza.

— Czy to zasługa „Rödskinny”? — cicho spytała Tiril, choć bardzo tego nie chciała.

— Chyba nie. Nowe umiejętności objawiły się dopiero później, właśnie podczas tych podróży, szaleńczych gonitw poprzez nieznanne krainy. A ty znów dałaś mi odwagę, by żyć. Pragnę teraz jechać wraz z tobą do Norwegii. Oboje będziemy ścigani, pasujemy więc do siebie, jedno może pomagać drugiemu. Ty pomożesz mi wrócić do światła, a ja tobie w odnalezieniu twych korzeni. I raz na zawsze położymy kres prześladowaniom!

Chciała protestować, powiedzieć, że czeka ją sroga kara za piractwo, a za jego głowę wyznaczono już cenę, ale świadoma woli życia, jaka właśnie się w nim zbudziła, milczała.

Był nieprawdopodobnie, nieziemsko wprost piękny. Chociaż określenie „nieziemsko” było niewłaściwe, kojarzyło się raczej z istotami niebiańskimi, z którymi Móri nie miał nic wspólnego. I ona, i on dobrze o tym wiedzieli. Czasami dostrzegała w jego oczach smutek właśnie z tego powodu. Już lepsze byłoby słowo „pozaziemski”. Z początku wydał jej się taki zmieniony, a to za sprawą zapuszczonej brody, czarnej wpadającej w granat, przywodzącej na myśl jezuitę. Ciemne włosy nadal opadały mu na ramiona, grzywka urosła tak, że skrywała czoło. Skóra, która zawsze miała odcień ciemnozłotawej kości słoniowej, napięła się na kościach policzkowych, dodatkowo uwydatniając kształt zgrabnego nosa i ust. Cała twarz uderzała swą niezwykłą szlachetnością jak gdyby stworzył ją Fidiasz lub Michał Anioł.

Ale najbardziej wyraziste w niej były oczy. Nikt na świecie nie miał takich oczu jak Móri. Potrafiły wydawać się młode i niewinne, innym razem spoglądały tak, jakby chodził po ziemi przez tysiąc lat.

Ujął dziewczynę pod brodę i przyglądał się jej badawczo. Tiril niemal zakreśliła się w głowie od patrzenia w te niezwykle oczy, które tyle widziały.

Byle tylko nie odgadł, o czym śniła tamtej nocy! O nim! Musiała spuścić wzrok.

Teraz nie mogła pojąć, jak odważyła się na tak śmiały sen! O Mórim? To przecież czyste szaleństwo!

Przez głowę przemknęło jej jak błyskawica wspomnienie tego, co poczuła wtedy na swoich plecach, na biodrach. Odruchowo wstrzymała oddech, widziała pytanie w jego wzroku.

Nie, ten sen nie powinien być w ogóle się pojawiać. Erling miał rację: Móri

nie został stworzony do miłości, a jeszcze mniej do zmysłowych uciech. To dla niego całkowicie obce obszary. Nie mieścił się w nich. Owszem, można żywić dlań podziw, można się go bać, szanować jego niezmienny autorytet i doceniać ukryte zdolności... To wszystko dało się wyobrazić. Mógł się stać dominującą osobą w czyimś życiu. Ale nie kochankiem!

A jednak o tym właśnie śniła!

Zdumiewające.

Zmusiła się, by znów spojrzeć mu w oczy. Co on o niej myślał? Czyżby czuł, że coś przed nim ukrywa?

Bo przecież tak właśnie było! Miała przed nim tajemnicę, ów bezwstydnym, cudownie podniecający sen.

Uff...

— Jesteś taka opalona, wyglądasz zdrowo — stwierdził z uznaniem.

Dzięki ci, Boże, nic nie zauważył! — Zmagałam się ostatnio z twardym życiem — roześmiała się nerwowo. — Opowiem ci. Ale teraz chodźmy!

Rozdział 11

Tiril nie przypuszczała, że Móriemu wystarczy sił, by wyruszyć z nimi na południe.

Móri jednak, kiedy najadł się do syta, co nieco oporządził i oswoił ze świeżym powietrzem, oświadczył, że gotów jest do podróży.

Miał własnego konia, którym zajął się życzliwy wieśniak. Móri ucieszył się na widok zwierzęcia, oczy, choć biło z nich zmęczenie, zalśniły mu radością.

Radość była jeszcze większa, kiedy Nero zobaczył, kto idzie przez dziedzi-
niec. Móri przykucnął i długo rozmawiał z psem. Tiril była przekonana, że mu
dziękuje, przyjaciel bowiem zawołał później małego owczarka i jemu także coś
szeptał do ucha.

Kiedy Móri w końcu się podniósł, nie było wątpliwości, że bardzo się ucieszył
z tego spotkania.

— Została z ciebie sama skóra i kości — szczerze powiedziała mu Tiril.

— Wkrótce temu zaradzimy — uśmiechnął się w odpowiedzi.

Przed wyruszeniem w drogę Tiril nalegała, by zapłacić wieśniakom za życz-
liwą opiekę nad jej przyjacielem. Chłopce nie dawały spokoju wyrzuty sumienia,
ponieważ nie chciała wpuścić Móriego do budynku mieszkalnego.

— Ale tak się bałam — wyznała. — Po prostu zabrakło mi odwagi, by trzymać
go w domu. Mamy małe dzieci, a jemu coś towarzyszyło. . .

— Naprawdę? — zdziwiła się Tiril. — Co takiego?

— Tego powiedzieć nie potrafię, nigdy nic nie widziałam, ale miałam wraże-
nie, że on nie jest sam.

Tiril uspokajała ją mówiąc, że słusznie postąpiła.

— Nie chcemy zapłaty za opiekę — upierała się kobieta.

— Przecież on nic nie jadł.

— Naprawdę niewielu przyjęłoby u siebie czarnoksiężnika tak życzliwie jak
wy.

— Czarnoksiężnik — szepnęła wieśniaczka. — Tak właśnie myślałam, ale nie
bardzo wiedziałam, jak go zwać.

— Ale to dobry człowiek — gorąco zapewniała ją Tiril.

Móri podszedł do nich. Ogolił brodę i przyciął grzywkę, dzięki temu wyglądał bardziej po ludzku.

— Możemy jechać — oznajmił z uśmiechem.

Niedaleko w głąb Öxnadalur zdążyli dotrzeć, kiedy Tiril zorientowała się, że coś jest nie w porządku.

Z początku zastanawiała się, czy będą przejeżdżać przez Myrka, ciekawa bowiem była cmentarza, na którym pochowano diakona-upiora. Steinar wyjaśnił jednak, że musieliby nadłożyć kawał drogi. Należało wracać na zachód tą samą trasą, którą przyjechali.

Potem nie na żarty zaczęła niepokoić się o Móriego. Jak, na miłość boską, wytrzyma taką długą podróż? Wydawało się jednak, że Móri znosi trudy wędrówki samą tylko siłą woli. Wieśniaczka szczerze zaopatrzyła ich na drogę, jakby w ramach zadośćuczynienia za to, że nie chciała wpuścić Móriego do domu, i teraz Tiril na każdym postoju skrzętnie pilnowała, czy przyjaciel je dostatecznie dużo i przyjmuje odpowiednią ilość płynów.

Stosunki między Steinarem a Mórim ułożyły się dobrze. Gdy przewodnik się zorientował, że Móri pomimo bijącego od niego autorytetu jest w rzeczywistości łagodnym, spokojnym człowiekiem, ośmielił się z nim rozmawiać. Z początku z rezerwą, dość obojętnie, lecz wkrótce wyraźnie poczuł się bezpieczniej.

Bardzo to ucieszyło Tiril. Prawdę mówiąc, jeszcze przed odnalezieniem Móriego niepokoiła się o drogę powrotną.

Jechali przez dość wąską przełęcz i właśnie wtedy Tiril, która zamykała orszak, zauważyła coś osobliwego. Popędziła konia ku Móriemu.

— Co się stało, Tiril? — spytał z uśmiechem.

— Nie jesteśmy sami — mruknęła.

Odwrócił wzrok od niej, zapatrzył się w dal.

— Wiem o tym. Miałem nadzieję, że tego nie zauważysz.

— Wieśniaczka także to wyczuła, choć niczego nie widziała.

— A ty widzisz?

— Nie.

Uśmiechnął się ze smutkiem i z czułością.

— Jak myślisz, czy Steinar też zwrócił na to uwagę? — spytał.

— Nie wiem. Chyba nie, ale możemy zapytać.

— Na razie nie — przestrzegł. — Nie ma sensu niepokoić go bez potrzeby.

— O co chodzi, Móri? — dopytywała się cicho. Wydawał się zakłopotany, najwyraźniej nie chciał odpowiedzieć.

— Przywiodłem ich z krainy zimnych cieni. Nie mogę się ich pozbyć.

— Ich? To znaczy, że jest ich więcej?

— Tak.

— Oczywiście żartujesz — zaśmiała się nerwowo.

— Niestety, nie.

Tiril zaniemówiła, ale tylko na chwilę.

— Jak oni wyglądają?

— Nie myśl o tym.

— Ale kim są?

— Tym także się nie przejmuj.

— Nie jesteś szczególnie chętny do rozmowy.

— To dla twojego dobra. Im mniej będziesz wiedziała, tym lepiej dla ciebie.

Tiril poczuła się dotknięta, ale nigdy nie potrafiła długo chować urazy. Już wkrótce jej jasny śmiech znów niósł się po przełęczy.

Z twarzy Móriego bił smutek. Wiedziała, dlaczego. Prosił ją przecież: „Pomóż mi wrócić do twej świetlistej krainy”. Gdybyż mogła odegnąć cienie, które go otaczają! I te widoczne w jego oczach! Zwłaszcza te ostatnie. W istnienie pierwszych nie wierzyła.

Pod wieczór zatrzymali się na smaganym wichrem zboczu.

— Kawał drogi został dziś za nami — rzekł Steinar z uznaniem. — Jesteś twardszy, niż przypuszczałem, Móri.

— Dziękuję! To miłe słowa. A mnie potrzeba każdej odrobiny życzliwości, jaką tylko można mi ofiarować.

Po to, żeby odpędzić melancholię, pomyślała Tiril.

Uzgodnili, że będą się porozumiewać ich dawną mieszanką języków, tak by nikt nie czuł się pominięty. Tylko Móri dobrze znał i islandzki, i norweski.

Steinar zajął się przygotowaniem wieczornego posiłku. Tiril z ważną miną krzątała się po obozowisku. W pewnej chwili wybuchnęła śmiechem.

— Muszę przyznać, że w domu, w Bergen, należałam do osób, co to sprawiają wrażenie bardzo zajętych. Takie pracowite małe pszczołki, które w rzeczywistości jednak nie robią nic, pozwalając, by inni wykonywali za nich najcięższe prace.

— Chwalisz się na opak — stwierdził Móri, dokładając dREW do ognia.

— Co masz na myśli?

— Chełpisz się swoimi wadami, podkreślasz je. A nie masz racji. Być może było tak w domu, bo tam źle się czułaś. Rozmawiałem jednak z wieloma dobrymi ludźmi w Bergen i oni mówili coś zupełnie innego.

Przysunęła się bliżej, oczy jej zabłyśły.

— Budzisz moją ciekawość.

— Twierdzili, że nie ma bardziej ofiarnej i życzliwej bliźnim istoty.

— Mów mi tak więcej — zagruchała Tiril, nie ukrywając, jak bardzo ucieszyły ją te słowa.

Steinar włączył się do rozmowy.

— Siedzę sobie i przyglądam się wam dwojgu. Z przyjemnością patrzę, że dwoje ludzi potrafi tak się porozumieć. Gdzie, do kroćset, podział się nóż?

Móri podał mu narzędzie.

— Dobrze, że w ostatniej chwili przekląłeś — rzekł z uśmiechem. — Inaczej ta przemowa brzmiałaby zbyt anielsko.

— Pewnie masz rację. No jak, zjemy coś?

Nikt nie miał nic przeciw temu.

Kiedy się posilali, zmierzch zapadł nad pięknymi dolinami północnej Islandii. Tiril i Móri zauważyli wtedy, że Steinar raz po raz zerka przez ramię, jakby za plecami wyczuwał czyjąś obecność.

Żadne jednak nic nie powiedziało.

Gdy nadejdzie odpowiedni czas, Móri będzie musiał rozmawiać z przewodnikiem o towarzyszach ich podróży.

Tiril rzecz jasna także wyczuwała ich bliskość. W zapadającym zmroku istoty stawały się coraz wyraźniejsze, choć wciąż niczego nie widziała. Nie mogła jednak pozbyć się wrażenia, że ktoś zagląda jej przez ramię, być może dziwi się, czym to zajmują się ludzie.

Szalone myśli! Ale nie umiała ich odegnąć, wrażenie porażało swą intensywnością.

Coś za jej plecami czaiło się zdziwione. Czekало.

Czy takie istoty, bez względu na to, czym są, jedzą?

Żałowała, że Móri nie powiedział jej o nich nic więcej. Ani trochę zabawne nie było czuć się obserwowanym przez coś, czemu nie potrafiło się nadać imienia.

— Masz ochotę? Proszę! — powiedziała nagle i zdradzającym niecierpliwość gestem wyciągnęła przez ramię kawałek chleba.

Móri zdrętwiał, a Steinar zdumiony upuścił trzymaną w dłoni kromkę w popiół. Najgorsze jednak było wrażenie, że coś wstrząśnięte uskoczyło w tył. Głośny śmiech, jakim Tiril usiłowała zbagatelizować incydent, zamarł jej na ustach.

Zmieszana opuściła rękę.

— Przepraszam — szepnęła. — Nie chciałam. . .

Steinar odzyskał mowę.

— Czy to znaczy, że ktoś jeszcze poza mną. . .

— Tak, nie mylisz się — spokojnie odrzekł Móri. — Przykro mi, ale zabrałem w naszą podróż pasażerów na gapę. Tiril postąpiła nierozważnie, ale nie sądzę, by to w czymś zaszkodziło. Tiril, z nimi nie ma żartów. Proszę. . .

Ze swego skórzanego worka wyjął dwa kawałki drewna, chyba dębowego, i nóż, by wryć na nich magiczne znaki.

— Przecież ja już dostałam od ciebie znak, który ma mnie chronić — zaprotestowała Tiril. — A nawet dwa.

— Pokaż mi je!

Pociągnęła za cienki rzemyk na szyi. Wisiał na nim magiczny znak, podarowany jej przez Móriego już dawno, kiedyś należał do niego. Ze swego worka podróżnego wyjęła większy znak, Tarczę Arona, który tkwił nad drzwiami wejściowymi najpierw domu w Laksevåg, potem chaty Ester. A teraz znalazł się tu, na wzgórzach Islandii. Znak-podróżnik...

Steinar obserwował ich bacznie, a oczy coraz szerzej otwierały mu się ze zdziwienia. Raczej nie był zachwycony tym, co widział.

— Bardzo dobrze, Tiril — stwierdził Móri. — Nic dziwnego, że cała i zdrowa dotarłaś aż na północ Islandii! Ale w tym wypadku te dwa znaki nie wystarczą. I ty, i Steinar dostaniecie taki, który bardziej się wam teraz przysłuży.

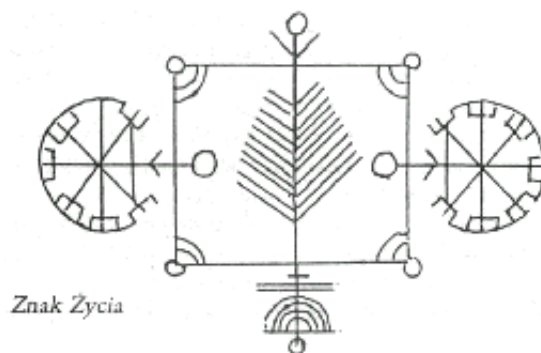
— Dziękuję, chętnie go przyjmę — powiedział Steinar wyraźnie wystraszony.

— Czy nie będę wtedy mogła wyczuć obecności naszych towarzyszy podróży? — spytała Tiril.

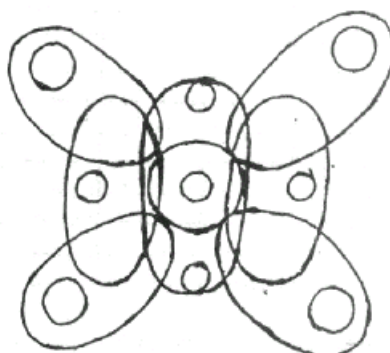
— Czyżbym słyszał w twoim głosie nutkę zawodu? — uśmiechnął się Móri.

— Będiesz ich czuła, ale nie zdołają się do ciebie zbliżyć, nic ci nie zrobią.

— No dobrze. Rzeźaj swoje runy!



Znak Zycia



Tarcza Arona

Móri zajął się sporządzaniem magicznych znaków, a Tiril i Steinar sprząтали obozowisko. Przewodnik wyjaśnił, że przyroda islandzka jest bardzo wrażliwa, nie znosi śmieci i nieporządku. Należy też pamiętać o owcach, uważać, by nie zjadły czegoś niewłaściwego.

Tiril natychmiast pojęła, o co chodzi, i za punkt honoru wzięła sobie uprzątnięcie terenu wokół nich tak, by nie pozostał najmniejszy ślad.

Kiedy chciała iść po wodę do zagaszania ogniska, poczuła jakiś opór. Zatrzymała się.

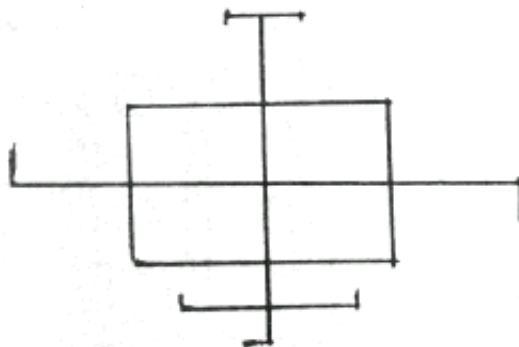
— Czy mogę prosić, byście się odrobinę przesunęli? — spytała z nieco kwaśną miną.

Móri spostrzegł, że Tiril ma jakieś kłopoty, i wyjął jej bukłak z rąk.

— Ja się tym zajmę — mruknął. — Wracaj do ogniska i tam zaczekaj. I nie patrz w tę stronę!

Steinar i Tiril odwrócili się plecami i czekali, aż Móri wróci z wodą. Żadne o nic go nie pytało.

Wreszcie Móri uporał się z wykonaniem dwóch identycznych magicznych znaków.



— One was ochronią przed tymi, co się kręcą wokół nas. Przed upiorami, duszkami i wszystkim, co nie nazwane, ponieważ nie widziały tego ludzkie oczy.

— Oprócz niektórych czarnoksiężników — prowokacyjnie odezwała się Tiril.

— Oprócz niektórych czarnoksiężników — potwierdził Móri.

Steinar wsunął swoje drewno z magicznym znakiem za koszulę, blisko serca, a Tiril schowała swoje do kieszeni. Oboje podziękowali Móriemu za pomoc.

— Nie ma za co dziękować — prychnął. — Przecież to ja sprowadziłem na was owo nieznanne.

Ponieważ miejsce było zbyt wietrzne jak na obozowisko, jechali dalej, dopóki nie powstrzymała ich noc. Znaleźli się nad brzegiem i czym prędzej przygotowali nocleg.

Tiril zasnęła natychmiast w poczuciu dobrze spełnionego obowiązku: odnalazła swego władającego czarnoksiężskimi mocami przyjaciela. Ustąpiło też napięcie wielu dni; organizm zwykle dopomina się o swoje prawa, kiedy człowiek nie musi już dłużej czuwać.

Obudziła się przerażona, czując, że ktoś jej dotyka.

Okazało się jednak, że to tylko ciekawska owca. Zwierzę odskoczyło równie wystraszone. Tiril w ostatniej chwili przytrzymała Nera.

Później nie mogła już zasnąć. Noc zaczęła ustępować miejsca świtowi, na zachodzie pojawił się zarys Vatnsfjäll. Nocą góry nie było widać.

Północny wiatr z Hunafjörður niósł ze sobą wspomnienia mas lodu, nad którymi przelatywał wcześniej na północy. Tiril zadrżała z zimna i otuliła się dokładniej.

Było jej jednak niewygodnie, więc usiadła. Nie sposób już spać!

Kawałek dalej głębokim snem spał Steinar. Móri leżał nieruchomo, jakby nie żył. Tiril przez moment nie na żarty się przestraszyła, miała ochotę podczołgać się i dotknąć jego klatki piersiowej, sprawdzić, czy się unosi. Powstrzymała się jednak, nie chciała budzić przyjaciela. Zapragnęła, aby ta chwila należała tylko do niej, by nieskrępowana mogła się mu przyglądać.

W tym oświetleniu sprawiał wrażenie niezmiernie pięknej istoty. Leżał na boku, odwrócony w jej stronę, jakby i we śnie chciał nad nią czuwać.

Wzruszyło to Tiril. Przecież właściwie to ona powinna się nim zająć teraz, kiedy płomyk jego życia ledwie się tlił! Wprawdzie nie miała zbyt wielkiego doświadczenia w obcowaniu z mężczyznami, zdawała sobie jednak sprawę, że nie może urazić jego męskiej dumy.

Zamyśliła się. Przypomniała sobie, co przypadkiem zobaczyła, kiedy przygotowywał dla nich czarodziejskie runy: widziała, jak zaciął się w mały palec prawej ręki i wyrzeźbione linie pokrył własną krwią.

Krew Móriego. . .

Dziwne, że w jego żyłach ciągle płynie krew!

Wsunęła dłoń do kieszeni i dotknęła kawałeczka drewna. Uświadomiła sobie, że odrobina krwi zapewne w nie wsiąkła, i to wydało jej się trochę straszne, tak bardzo zmysłowe. Bliskość Móriego.

W roztargnieniu pogładziła gęstą sierść Nera.

Wyczuwała — Nero także coś podejrzewał — obecność niewidzialnych istot, które im towarzyszyły. Nie mogły jej teraz wyrządzić krzywdy, chronił ją bowiem magiczny znak niezwykłego przyjaciela. Prosiła także o runę dla Nera, lecz Móri stwierdził, że psom nie zagraża tego rodzaju niebezpieczeństwo. Ciekawe, co miał na myśli. . .

Ale. . .

Tiril westchnęła zdziwiona własną reakcją.

Pragnienie, które sobie uświadomiła, było absolutnie szalone. Chciała ich zobaczyć. Prawdę powiedziawszy, była ogromnie ciekawa, jak wyglądają. No bo przecież nie wierzyła w ich istnienie.

A jednak wyczuwało się ich bliskość. Zauważył je nawet Steinar.

Jakaż ona niemądra! Miałaby być bardziej wrażliwa na nadnaturalne zjawiska niż Steinar, Islandczyk, wychowany wśród tych tajemniczych gór i dolin, przez całe życie ocierający się o dziwy natury?

Powinna raczej powiedzieć: nawet ona mogła ich wyczuć. Tak byłoby właściwiej.

Nieznane istoty wyczekująco otoczyły ludzi. Oczywiście pilnowały Móriego. On był ich panem.

Ale czy aby na pewno? Czy Tiril mogła wiedzieć, kto tu jest panem, a kto sługą?

Musi ich zobaczyć. Inaczej z ciekawości umrze.

Być może to właśnie by się stało, gdyby ich naprawdę zobaczyła... Ale oni przecież nie istnieją.

W świetle nadchodzącego poranka popatrzyła na Móriego. Okolicę spowił czarodziejski, szarawy półmrok.

Móri się nie poruszył, leżał w takiej samej pozycji jak przedtem. Miała jednak pewność, że żyje, od razu by się zorientowała, gdyby coś działo się nie tak. Byli sobie z Mórim tak bliscy, nawet Steinar to zauważył.

Móri w ciągu dnia sporo zjadł. Bardzo ją to cieszyło. Potrzebował teraz każdego grama pożywienia, jaki tylko mógł przyjąć, sprawiał bowiem wrażenie niebywale osłabionego. Bliskiego śmierci.

Zastanawiała się, jak długo by jeszcze żył, gdyby nie przyjechała. Z tego, co zrozumiwała, chciał jedynie umrzeć.

Potem sam jednak powiedział, że pragnienie życia wróciło.

Przypomniawszy to sobie, odczuła radość w całym ciele. Teraz mogła spokojnie zasnąć.

Rozdział 12

Opuścili północną krainę fiordów. Znaleźli się w drodze na południe, ku Rejkawikowi.

Niewiele słońca oglądali podczas tej podróży. Pogoda im nie sprzyjała, deszcz lał na okrągło. Podczas drogi przez pole zastygłej lawy Nero znów miał kłopoty z łapami, Móri sporządził więc dla niego coś w rodzaju skarpet, pies był bowiem za duży, by wsadzić go na konia. Jedna z rzek wystąpiła z brzegów, zmuszając ich do długiego objazdu przez wyżynę, na której deszcz zamienił się w śnieg.

Tiril się przeziębila i starała się trzymać jak najdalej od współtowarzyszy podróży, uważała bowiem, że Móri, tak osłabiony, nie powinien się zarazić.

Kłopotom nie było końca.

No, i ich towarzysze podróży...

Bezszelstni, niewidzialni, tłoczyli się wokół Móriego. Jak sępy, pomyślała Tiril. Czy to strażnicy z królestwa śmierci, oczekujący na sposobny moment, by rzucić się na jego ciało i duszę? A może ona wszystko to sobie po prostu wmawia?

Wiedziała, że Móri ma magiczny znak, czyniący duchy, upiory i inne strachy widzialnymi. Wiedziała nawet, gdzie go przechowuje. On jednak, śmiejąc się pobłaźliwie, stwierdził, że to nie dla niej.

Tiril robiła co mogła, aby stan jego zdrowia się poprawił. Troszczyła się, by dostawał najlepsze kaski, choć niestety należało już zacząć oszczędzać pożywienie. Móri musiał mieć najwygodniejsze miejsce przy ognisku, najcieplejszą baranicę.

Sam Móri był zbyt oszołomiony, by się zorientować w poczynaniach Tiril. Inaczej z pewnością by protestował.

Steinar sam troszczył się o siebie. Przywykł wszak do tego od dawna. Ze zdziwieniem jednak obserwował, z jakim oddaniem młodzieńca dziewczyna opiekuje się czarnoksiężnikiem i jak on, pomimo swego milczenia i zamknięcia, je odwzajemnia.

I Tiril, i Steinar dostrzegali, że Móri z każdym dniem czuje się lepiej. Twarz nie była już przerażającą upiorną maską, miał więcej sił i więcej chęci życia.

Czyżby chciał podjąć z nimi walkę? Z milczącymi, niewidzialnymi towarzyszami podróży?

Pewnego dnia w siekącym deszczu, na nieprzyjaznym terenie pokrytym nierówno lawa, pełnym na przemian głębokich rozpadlin i wielkich głazów, Tiril przeżyła nieprzyjemną przygodę. Zdarzyło się to tego dnia, kiedy zmuszeni byli zjechać z wybranej trasy i przeprowiać się przez trudny do przebycia odcinek drogi.

Steinar szedł przodem, prowadził konie, z których posiadali, ale pierwszy biegł Nero. Móri zamykał pochód.

Tiril straciła go z oczu, zniknął gdzieś wśród wysokich formacji lawy, podczas gdy ona, precyzyjnie się przez wąską szczelinę, znalazła się już na płaskim terenie. Zaniepokojona o przyjaciela zaczęła się cofać.

Właśnie wtedy, wracając przez ciasną szczelinę, „ujrzała” ich.

Nie zobaczyła ich naprawdę, lecz wyczuła tak wyraźnie, jakby byli konkretnymi, namacalnymi istotami.

Było ich znacznie więcej, niż się spodziewała, pięcioro albo siedmioro, stali w szczelinie po obu jej stronach, opierali się o kamienie i nie chcieli jej przepuścić. Móri był ich własnością.

Nie mogła przejść. Jeden z nich stanął na środku i zagroził jej drogę.

Milczący, nieruchomi, groźni. . . Wytworze myśli, wytworze wyobraźni, zgiń, przepadnij!

Stała jedną nogą na nieco wyższym występie, prawie stopniu. Zgiń, przepadnij, nie wierzę w was!

Oddychała ciężko. Była śmiertelnie przerażona, ale nie zamierzała ustąpić.

Móri jest mój, chciała krzyknąć, lecz nie śmiała.

Właśnie wtedy on sam ukazał się na górze. Zatrzymał się jak wryty, w lot zorientował się w sytuacji.

— Tiril — nakazał ostrym, władczym głosem. — Natychmiast zawracaj, idź za Steinarem! Słyszałaś?

— A ty?

— Ja sobie poradzę. Idź! I nie odwracaj się!

Nie protestowała. Słyszała, że Móri mówi coś z wściekłością, tak samo władczo jak przed chwilą do niej, lecz jego słowa były całkiem niezrozumiałe.

W oczach Tiril zakręciły się łzy. Rozgniewał się na nią. A przecież chciała tylko jego dobra!

Wkrótce usłyszała jego kroki, dogonił ją. Chudą, suchą, chłodną dłonią ujął ją za rękę.

— Wybacz mi, Tiril! Naprawdę mnie wystraszyłaś. Miałem wrażenie, że. . .

— Że ich widzę? W pewnym sensie tak właśnie było. Potrafiłabym nawet powiedzieć, w którym miejscu stali. Cóż za głupstwa!

Móri głęboko westchnął. Wyczuła jego strach.

— Tiril. . . Najdroższa przyjaciółko. Jeśli podobna sytuacja się powtórzy, uciekaj. Błagam cię na wszystko, nie sprzeciwiaj się im! Ustąp. Obiecujesz? Inaczej nie zaznam chwili spokoju.

— Obiecuję, lecz bardzo niechętnie. Bo jestem ich ogromnie ciekawa. Bardzo chciałabym zobaczyć te istoty, choć przez moment. Pozwól mi na to, pozwól mi potrzymać przez chwilę twój magiczny znak!

— Nie, nie i jeszcze raz nie — rzekł stanowczo. — Prawie ich już widziałas. To stanowczo za wiele.

— Jak uważasz — zgodziła się z żalem.

— Zrozum, niepokoję się o ciebie — powiedział, ściskając ją za rękę.

Te słowa rozgrzały jej serce.

Przedostatniego dnia wyprawy słońce nareszcie przebiło się przez pokrywę chmur i w jednej chwili wszystkie troski zbladły. Przeziębienie już tak nie dukało Tiril, z paskudnego kataru przekształciło się teraz w bardziej romantyczny kaszel, udało się jej też nie zarazić żadnego z mężczyzn.

Ostatnia noc, ostatni wieczór pod gołym niebem. . .

Dotarli już prawie do Rejkiawiku. Na zachodzie widać było morze. Deszczowa wilgoć wyparowała zdumiewająco szybko. Mech i porosty odzyskały swą słoneczną barwę, zmieniającą się w zależności od pogody.

Spokojnie mogli rozłożyć obóz w stałym miejscu Steinara, w którym były wszystkie możliwe wygody. Zjedli resztki prowiantu, konie pały się spokojnie, a Nero, któremu łapy się wygoiły, szalał polując na wymagowane zajace.

Na południu wznosiła się charakterystyczna sylwetka wygasłego wulkanu Esja. Na zachodzie widniały jakieś góry. Wszyscy bardzo się cieszyli, że kosztowna podróż powrotna dobiega końca. Następnego dnia mieli dotrzeć do Rejkiawiku.

Móri nalegał, aby Tiril wróciła do Bergen. Twierdził, że przed jej przybyciem nie miał po co żyć, a dziewczyna nie widziała powodów, by wątpić w jego słowa. Obraz jego wycieńczonego ciała na zawsze wrył się w jej pamięć, a zgasły wyraz twarzy mówił więcej niż słowa.

— Jeśli o mnie chodzi, nic już nie trzyma mnie tu, na ziemi, ściągnąłem na siebie tylko nieszczęście — powiedział jej. — Nie wiesz nawet, jak straszne, ale teraz ty wyznaczyłaś mi zadanie, Tiril. Chcę żyć, dopóki się nie upewnię, że tobie nic nie grozi. Chcę wrócić razem z tobą i rozprawić się z twymi prześladowcami, a także z ludźmi, którzy stoją za nimi. Nie zaznam spokoju, dopóki nie będziesz mogła bezpiecznie żyć we własnym kraju.

Nie wspomniała mu wtedy, że przeciwko niej są teraz także władze i prawo, że oskarża się ją o piractwo. Była niewinna, lecz jak miała to udowodnić?

Wzruszyło ją bardzo, że Móri pragnie jej pomóc. Wszak jego także poszukiwano w Norwegii, ale chciał tam jechać ze względu na nią.

Dodał jednak, że później nie będzie już żyć wśród ludzi. Ogromnie ją to zasmuciło, musiała odejść, bo nie mogła powstrzymać cisnących się do oczu łez.

Ale to wydarzyło się wczoraj. Tego wieczoru, ostatniego, jaki przyszło im spędzić w drodze, jak zwykle po wieczornym posiłku ułożyli się na spoczynek, szczęśliwi, że deszcz nie leje się za kołnierz. Tiril zwykle kładła się w pewnej odległości od mężczyzn, lecz tego wieczoru teren na to nie pozwalał. Musiała przysunąć się blisko Móriego. Nie dotykali się wprawdzie, lecz jej zdaniem natychmiast zapanowała między nimi bardziej intymna atmosfera. Nero sapiąc z zadowolenia ułożył się między nimi. Kochał ich oboje, pomimo deszczu i obolałych łap czuł się w czasie tej podróży bardzo szczęśliwy.

Tiril nie bardzo była zachwycona zaistniałą sytuacją. Umyśliła sobie, że po cichu pożyczycy magiczny znak Móriego, aby zobaczyć, kim są ci, którzy nie odstępują go na krok. Dobrze wiedziała, gdzie w jego sakwie podróźnej szukać czarodziejskiej runy. Niestety, plan się nie powiódł.

Rozczarowanie nie pozwalało jej usnąć. Usiadła.

— Ty też nie możesz spać, Tiril? — usłyszała spokojny, cichy głos Móriego.

— Tak. Zła jestem na Nera. Uniemożliwił mi wykradzenie twojego magicznego znaku, dzięki któremu mogłabym zobaczyć upiory.

Móri roześmiał się.

— Przynajmniej jesteś szczerą. Ale nie nazwałbym ich upiorami. Wątpię więc, by mój znak zadziałał w tym wypadku.

— Ale przecież ty ich widzisz.

— Owszem, ale to zupełnie inna sprawa.

— Nic nie rozumiem.

Uniósł się na łokciu.

— Jeśli tego nie rozumiesz, najlepiej chyba będzie, jak ci wyjaśnię. Przysuń się bliżej!

— Nie mogę, Nero leży na moim okryciu.

— Nero nie jest przecież głazem z epoki lodowcowej!

Szeptem wydał rozkaz i pies przeniósł się za jego plecy.

— Dobrze, ułożył się na mojej derce. Teraz ja nie mogę się ruszyć.

Oboje zachichotali. Tiril zabrała okrycie i przyczołgała się bliżej. Móri wolną ręką starannie otulił ją owczą skórą i przyciągnął do siebie, aby mogli grzać się nawzajem.

Co prawda nie jest z nim już tak źle jak wtedy, gdy go znaleźliśmy, myślała Tiril, ale wciąż jest taki chudy. Podłożył jej ramię pod głowę, leżeli na plecach i patrzyli w gwiazdy, które podczas tej podróży nieczęsto mieli okazję widzieć.

Tiril, nieco zdziwiona, stwierdziła, że są takie same jak w Bergen, a przecież podróż morzem wydawała się jej bardzo długa.

— Powiedz mi, Tiril — zaczął Móri z wahaniem. — Czy wiesz, jak zginął Mag-Loftur?

— Tak — odparła, czując nagle ukłucie lęku. — Jakieś wielkie, straszne, szare owłosione ramię wyłoniło się z morza i wciągnęło w morską otchłań łódź, którą płynął. Ani po nim, ani po łodzi nie znaleziono żadnego śladu.

Usłyszała, że Móri wzdycha z ulgą. Wiedziała, co myśli. Gdyby to on podjął próbę wskrzeszenia z martwych złego biskupa. . .

— Pytanie, co jest lepsze — powiedział nagle.

— Tak ci źle?

— Przeżywam prawdziwe piekło na ziemi, Tiril. Kiedy mówię, że nie chcę już więcej żyć, to naprawdę tak myślę. Pragnę ci pomóc. Potem. . .

— Nie mogę tego słuchać — jęknęła.

— Wybacz mi! Nigdy się nie nauczę, że jest ktoś, kto się o mnie troszczy. Kto mnie lubi, chociaż nie ma dla mnie miejsca wśród ludzi.

Odnalazła jego rękę i mocno ją uścisnęła. Nie chciał jej puścić. Zrozumiała, że ma zamiar opowiedzieć jej o swych strasznych przeżyciach, choć wiele go to będzie kosztowało.

Aby zachęcić go do zwierzeń, cicho zapytała:

— Móri. . . Kim są ci, którzy nam towarzyszą? Jeśli w ogóle istnieją, jeśli ja nie oszalałam!

Wiatr od morza wydał się nagle lodowato zimny. Po tajemniczych pagórkach Islandii poniósł się jęk skargi. To wicher zawodził. Tiril wydało się, że brzmi w nim strach. Jakby nie chciał słuchać i bronił się przed opowieścią o innych wymiarach, tych poza światem ludzi i wiatrów.

Słyszeli ciężki oddech Steinara. Spał, nie było co do tego wątpliwości. Nero także zapadł w sen. Móri rozpoczął opowieść od tej nocy, kiedy to zginął Mag-Loftur, a on sam spadał w otchłań, aż wreszcie udało mu się wezwać Nera, psa, z którym mógł nawiązać duchowy kontakt pomimo dzielącej ich odległości.

Rozdział 13

Móri, opowiadając Tiril o swych przejściach, przeżywał wszystko od nowa. Zrozumiała, że w duszy ma ranę, która nigdy się nie zagoi i przez resztę jego dni ciągle będzie się otwierać i krwawić.

Ale o długości swego życia decydował on sam.

Trzej mężczyźni, narażając własne życie, z ogromnym wysiłkiem wydobyli go spod osuwającej się ziemi. Gorąco im dziękował. Wkrótce jednak rozpoczął się koszmar i w tym słowie nie było ani krzty przesady.

Wskazano mu niedużą izdebkę na poddaszu w szopie. Sądził, że tam będzie mu dobrze. Dopóki nie zasnął.

Wtedy się to zaczęło.

We śnie znów był na płaskowyżu. Wszystko wokół widział wyraźnie; przypuszczał, że znów wyszedł w noc. Chciał się obudzić, uciec stamtąd, lecz sen wciąż trwał.

Znalazł się dokładnie w tym samym miejscu co poprzedniej nocy i znów ziemia usunęła mu się spod stóp. Zabrakło jednak psiaka, który by go uratował.

Najdziwniejsze, że jednocześnie przebywał w kościele w Holar. Widział dawno zmarłych biskupów, stali z dłońmi wzniesionymi w górę, tym razem wszyscy odwróceny w jego stronę.

Ku Móriemu zmierzał biskup Gottskalk, jego stopy wciąż znajdowały się pod posadzką, ale przysuwał się coraz bliżej. Maga-Loftura ani młodego diakona nigdzie nie było widać. Móri znalazł się sam na sam z upiorami zmarłych duchownych.

Przemówił doń Gottskalk Okrutny, a jego głos poniósł się głucho pod sklepienie kościoła.

— Strzeż się, niepokorny, który złamałeś prawa życia i śmierci, aby zawładnąć moją mądrością! Nie wiesz nic o losie, jaki mnie spotkał!

Móri nie zdołał odpowiedzieć. Nagle usłyszał czyjś głos, monotownie, z niełzomną siłą wypowiadający zaklęcia. Był to Mag-Loftur, lecz Móri go nie widział.

Głos Loftura przemienił się we wściekły, pełen złości falset, a potem kościół za-
drżał w posadach i uniósł się w powietrze. Poprzewracały się świeczniki.

Biskupi zniknęli, Móri poczuł, że kościół się przechyla, ziemia otworzyła się
pod jego stopami, Móri znalazł się poza świątynią, ale nagle ujrzał ją pod sobą
w dole, spadała, ginęła w otchłani. Teraz i sam Móri runął w dół, lecz zdołał
uchwycić się występu skalnego. Niestety, kamień się ukruszył i Móri w ślad za
kościółem obsunął się w przepaść.

Przez jakiś czas trwał w oszołomieniu, nie był w stanie określić, co się z nim
dzieje. Nie wiedział, czy znajduje się w kościele, czy na zewnątrz, we śnie krzy-
czał ze strachu, ale nie przestawał spadać, widział, jak świece migocą i gasną,
głęboko w dole majaczył dach kościoła, aż wreszcie cały budynek zniknął, po-
grzebany przez osuwające się masy lawy.

On leciał dalej w dół. Unosił się w próżni, w której dał się słyszeć szum. Czuł,
że nie jest ani na ziemi, ani w jej wnętrzu, lecz gdzie indziej, gdzie — tego określić
nie potrafił.

Nagle szum ustał, zapadła śmiertelna cisza. Martwa, nieruchoma cisza, bez
echa, bez odzewu.

Móri wolno otworzył oczy.

Mrok. Otoczył go niebieskawy mrok, rozświetlany tylko niebieskimi promie-
niami wpadającymi przez niewidzialne otwory.

Od cieni oderwały się dwie postacie i ruszyły w jego stronę.

Jedną z nich była piękna kobieta — wysoka, ubrana w długą jasną szatę, złote
włosy spadały jej aż na plecy. Drugą był przystojny mężczyzna, mający w sobie
jakąś obcość, sprawiał wrażenie, jakby dzieliła go od Móriego nieskończona od-
ległość, choć jednocześnie był blisko. Wyglądał na dobrego, lecz oczy lśniły mu
niebezpiecznym blaskiem tajemnic, które powinny zostać ukryte dla świata ludzi.

Móri odruchowo powitał przybyszów z szacunkiem.

Przemówiła kobieta:

— Móri, Móri, wielki jest mój żal! W dniu, w którym przyszedłeś na świat,
wyznaczono mnie, bym towarzyszyła ci w życiu.

— Jesteś więc, pani, mym duchem opiekuńczym?

— Tak, i mówią, że jestem potężna. Nie mogłam jednak ustrzec cię przed twą
własną żądzą.

— Przed pożądaniem „Rödskinnny”? Wiem o tym — rzekł ze wstydem.

— „Rödskinna” jest tylko częścią drogi, jaką obrałeś dla siebie. Wielokrot-
nie próbowałam cię ostrzec, że droga czarnoksiężnika jest podstępna, kusi coraz
głębszym wtajemniczeniem, aż wreszcie człowiek przekracza granice. Musisz te-
raz próbować odnaleźć drogę do domu, lecz ja nie mogę ci towarzyszyć. Drogę,
którą wybrałeś, przyjdzie ci pokonać samotnie.

— Wielce mnie to zasmuca. Ale jak mam odnaleźć ten „dom”? Którędy iść?

— Twoja wędrówka będzie wiodła przez labirynty różnych wymiarów. Pierwszej nocy towarzyszyć ci będzie jeden z duchów, mój przyjaciel. On także jest twoim opiekunem, ale nie posiada mojej mocy, był kiedyś bowiem człowiekiem.

— Rozumiem.

— Człowiek jest w stanie porozumiewać się tylko ze swym właściwym duchem opiekuńczym, nie będziecie więc mogli ze sobą rozmawiać. Nie otrzymasz odpowiedzi na zadane pytania. Żegnaj! Jesteś jednym z niewielu, z którymi mi się nie powiodło, Móri.

Pragnął ją zawołać, lecz wtopiła się w niebieskawy mrok i zniknęła.

Jego pomocnik gestem wskazał mu drogę.

Schodzimy w dół, pomyślał Móri. Poruszamy się w dół po lodowato zimnych zboczach, ku czarnej jak węgiel czeluści.

Nadciągnął wiatr, w jego zawodzeniu usłyszał skargę, jakby grzeszna dusza żaliła się w potrzebie.

O nic jednak nie pytał.

Musieli znajdować się w wielkiej grocie, która kręto prowadziła dalej w ciemność. Jakiś dźwięk nabierał coraz większej mocy. To skarga wiatru przechodziła w jeszcze mroczniejsze tony, w przepojony bolesnym smutkiem chór męskich głosów.

W jednej chwili uświadomił sobie, że to czarnoksiężnicy z pradawnych czasów, niewypowiedziany ból ich duszy, wyrażający żal z powodu tego, czego się dopuścili. Móri wiedział, że wielu czarowników wykorzystywało swą wiedzę w służbie dobra. Ich głosów w tym chórze z pewnością nie słychać. To byli ci inni, ci, którzy zeszli na złą drogę.

Tak jak on, Móri?

Ciekaw był, czy wśród nich znalazł się zły biskup Gottskalk. Z pewnością tak właśnie się stało.

Mijali mroczne groty, poruszały się w nich cienie. Fantomy... Podniósł wzrok ku sklepieniu. Wędrujemy pod grobami czarnoksiężników, pomyślał.

Zostawili chóralną pieśń skargi za sobą. Otoczyło ich przenikliwe zimno, szli pod górę, wprawdzie droga wiodła stromo, lecz nie musieli się wspinać. Buty Móriego zdarły się na ostrych kamieniach.

Lód. W powietrzu czuć było mróz. Towarzysz Móriego kroczył przodem, niemy, obojętny. Miał tylko wskazywać drogę.

„Musisz teraz próbować odnaleźć drogę do domu”, powiedziała kobieta. Jakby wątpiła, że mu się to uda. A przecież zapewniono mu pomoc! Czyżby czekały go większe trudności?

Mróz stawał się coraz dotkliwszy, Móri poczuł, że zmrożony rękaw kurtki trzeszczy przy dotyku. Dokoła widział jedynie połyskujące kryształki, sam stał się niemal kryształem, widział, że z koniuszków palców sypią się błękitne iskierki niewyobrażalnego zimna.

Teraz umrę, pomyślał. Zamarznę na śmierć.

Nie mam już duszy. Cały składam się wyłącznie z pustego strachu i żalu, który przeszywa mnie tysiącem lodowatych ostrzy.

Pomocy, nie przeżyję tego!

Nagle otaczająca go atmosfera złagodniała. Zimno przestało już być tak dokliwe, zrobiło się jaśniej. Dotarli do wyjścia z grot.

Ale gdzie się znajdowali?

Móri szedł za swym milczącym przewodnikiem, który uparcie kroczył naprzód. Nagle wszystkie kryształki lodu spadły na ziemię i zniknęły.

Na ziemię? Tu nie było ziemi. Chociaż nikt mu o tym nie powiedział, Móri zdawał sobie sprawę, że znalazł się w nieznanym wymiarach, otaczających wewnętrzny świat człowieka. Ujrzał tych, którzy wypatrują możliwości, by się weń wedrzeć: złe moce, dobre duszki, groźne zjawy i mroczne cienie.

W pewnym sensie można było powiedzieć, że owe istoty, te obce moce, poruszały się również wokół globu ziemskiego, chociaż działo się to na płaszczyźnie duchowej, nie materialnej. Bo teraz Móri znalazł się wśród nich. Mógł zajrzeć do świata ludzi, podczas gdy sam znajdował się w iluzorycznym wszechświecie.

Jego przewodnik się zatrzymał.

Zrobił to w sposób tak gwałtowny, że Móri wyczuł coś groźnego. „Nie idź dalej!”, tak odczytał to przesłanie.

I nagle... Duch opiekuńczy gwałtownie się odwrócił, wzburzony popatrzył na Móriego i zniknął.

— Och, nie! — zawołał Móri. — Ratunku! Jak mam się stąd wydostać?

Zdrętwiał.

Ze ścian, które wcale nie były, jak sądził, ścianami, lecz gestymi zwałami chmur, rozległy się odgłosy człapiących, drepzczących kroków. Słyszał podniecone, pełne złości pomrukiwanie, które się zbliżało, stłumione, zniecierpliwione okrzyki wydawane przez kogoś, kto nie może osiągnąć upragnionego celu.

Biegiem rzucił się do ucieczki. Niemal unosił się nad ziemią, której nie widział, ledwie ją wyczuwał, a mimo wszystko dawała mu podporę. Zrozumiał, że cokolwiek znajduje się po drugiej stronie chmur, jest niebezpieczne. Te cienie, które widział, pragnące przedostać się do świata...

Biegnij, Móri, biegnij! Musisz uciekać, prędko!

Próbował się zorientować, czy to jakieś jego ciemne sprawy próbują teraz się na nim mścić, ale nie mógł sobie nic takiego przypomnieć. Ci, którzy go gonili — bo bez wątplenia ścigali właśnie jego — usiłowali przedrzeć się przez jakąś zaporę. Ich zniecierpliwienie wyraźnie rosło, ponieważ im się nie udawało.

Te dźwięki! Tak niebywale przenikliwe! Pochrząkiwanie, żucie, cmokanie i ciamkanie. Zdyszana niecierpliwść...

W szaroliliowych chmurach na moment utworzyła się szczelina, jakby powłoka chmur nieco się przeredziła i mógł za nią zajrzeć.

Z przerażenia zaparło mu dech w piersiach. Zdążył dostrzec zaledwie dwie istoty biegnące równolegle z nim, ale to i tak było dość. Przerażający potwór o sprężystym, kształtnym korpusie, ludzkiej postaci, lecz poruszający się na czworakach, przesłał mu spojrzenie krwistoczerwonych ślepi i diabelski, pełen wyczekiwania grymas na straszliwych szerokich ustach.

Druga istota była starą jak świat kobietą o pozbawionym kształtu ciała i pałających złem rysach twarzy. Pogroziła mu pięścią na znak, by się zatrzymał, czego, rzecz jasna, nie zrobił. Gdzieś dalej dostrzegł wielkie zwierzę, niezdarnie poruszające się na brzuchu. Oczy świeciły w jego stronę, zielone i głodne? Stworów musiało być więcej, ale nie zdążył już ich zobaczyć.

Wtedy właśnie zrozumiał, gdzie jest. To przecież były złe moce, przebywające w wymiarach otaczających świat ludzi, od dawna szukające możliwości, by do niego wtargnąć.

A on, Móri, dawał im nagle doskonałą sposobność, stanowił ogniwo łączące owe dwa światy! Otworzył się dla mocy, nad którymi nie panował!

Znalazły się teraz bliżej. W każdej chwili mogły się przedrzeć i przy jego pomocy wpłynąć strumieniem do świata ludzi.

Czy nie ma nikogo, kto by mi pomógł? O, wszystkie dobre duchy, przybądźcie mi na ratunek!

Kobieta, jego duch opiekuńczy, nie mogła mu towarzyszyć. A gdy mężczyzna zrozumiał, jakiej biedy sobie Móri napytał, także odwrócił się do niego plecami. Po prostu musiał się poddać.

Móri wiedział, że dzięki znajomości czarnej magii pomógł wielu ludziom. Ale czy nie robił tego głównie po to, by sprawdzić, ile potrafi osiągnąć? Jak wielkim jest czarownikiem?

Czy nigdy nie zrobił nic bez egoistycznych pobudek? Czy nie było człowieka, który mógłby się za nim wstawić?

Tiril i Nera zdradził, opuścił ich, pozostawił samych w przerażającym świecie, kiedy tak bardzo potrzebowali jego pomocy i wsparcia. Rządziło nim pragnienie zdobycia „Rödskinny”, zasłużenia na miano najlepszego na świecie. Pozostawił ich zrozpaczonych i zawiedzionych.

A przecież właśnie wobec nich żywił najgorętsze uczucia w swym dorosłym życiu.

— Tiril — szepnął, śmiertelnie zmęczony po szaleńczym pościgu. — Tiril, wybacz mi! Nero, przekaz jej, że żałuję! Że niczego bardziej nie pragnę niż jej dobra! I że tak bardzo was teraz obojga potrzebuję.

Nagle stopy nie znalazły już oparcia. Bezradnie zaczął opadać w dół, koziółkując w powietrzu zanurzał się w wieczność.

Krzyki i hałas ucichły.

Jego ciałem targnął wstrząs. Zobaczył, że znajduje się z powrotem w małej, niebieskiej grocie, gdzie cały ten koszmar się rozpoczął. Znowu zapanowała martwa cisza.

Rozdział 14

Grota przypominała jego izdebkę. . .

Leżał na pryczy. Z ławy podniosła się jakaś postać.

Oczy zaczęły przyzwyczajać się do błękitnego mroku, rozróżniał szczegóły. Stół z jedzeniem. Jego wierzchnie okrycie.

Istota, która mu towarzyszyła, nie była ani sympatyczna, ani ładna. Więcej dostrzec nie mógł.

— Gdzie jestem? — szepnął.

— Na zewnątrz.

— Na zewnątrz czego? Kościoła w Holar?

— Jesteś poza światem.

— To wiem. Jak się tu znalazłem?

— Sam tego chciałeś.

— Nie, wcale nie! Zostałem tu ściągnięty.

-O, nie. Gdyby tak było, znajdowałbyś się w znacznie lepszym położeniu. A czyż nie pragnąłeś poznać wszystkich tajemnic życia i śmierci, czasu i przestrzeni?

— Owszem, ale. . .

— Miałeś zbyt mało siły. Nie byłeś Wergiliuszem ani Samundem Uczonym, ani nawet Gottskalkiem Złym. On źle skończył, chociaż zaszedł dalej niż ty. Marny los spotkał także Maga-Loftura.

— Gdzie. . . gdzie więc trafiłem?

— W pół drogi. Nauczyłeś się zaklinać, lecz tylko w części. Tu nauczysz się więcej, ale pamiętaj, za każdym razem, gdy posłużysz się czarami, by czynić dobro, ściągniesz nieszczęście na kogoś innego. Na tym między innymi będzie polegała kara za to, że wyprawiałeś się na obszary, nad którymi nie panujesz.

— Nie zależy mi już, by zostać najpotężniejszym czarnoksiężnikiem na świecie.

— Już nim jesteś.

— A Mag-Loftur?

— On posunął się za daleko. Ty nie dość daleko.

— Mówisz niejasno. Chcesz powiedzieć, że Mag-Loftur... ?
— Zapomnij o nim. On został ukarany.
— To znaczy, że już nie istnieje. Wydaje mi się jednak, że moja kara będzie sroższa.
— Może. Zależy, jak się na to patrzy. Byłeś tylko obserwatorem, ale umiejętności miałeś wystarczające. Ciesz się, że nie były większe!
— Jak mogą się stać większe?
— Wyruszysz w podróż kształcącą.
— Dzięki, rezygnuję z niej.
— Za późno. Już dokonałeś wyboru.
Potem sen przestał być wyraźny, rozproszył się w zwykłe, nie powiązane ze sobą marzenia senne, i w końcu Móri się obudził, mokry od potu.

— Ale to przecież tylko sen — wtrąciła Tiril, wsłuchana w opowieść.
— Doprawdy? — uniósł się Móri. — Doprawdy? Kiedy się obudziłem, na ławie w mojej izdebce u wieśniaka siedział mężczyzna, straszny, ten sam, którego widziałem we śnie. Był jeszcze wyraźniejszy. Na jego widok zrobiło mi się słabo.
Tiril odruchowo rozejrzała się dokoła.
— Czy on tu...
— Owszem, towarzyszy nam.
— Ale kim on jest?
— Moim nauczycielem. Nie pytaj o jego imię, nie znam go.
Tiril westchnęła.
— Przypuszczam, że to nie koniec twojej opowieści?
— Nie, jeszcze nie.
— Mów więc dalej.
— Następnej nocy... Przybył po mnie.
— Czyli że z kościołem już koniec? I z otchłanią, która otwarła się pod tobą na płaskowyżu?
— Tak. Zabrał mnie do pustki, do duchowej nicości, otaczającej nasze dusze, nie ciała. Nazywam ją wymiarami. To doskonałe określenie, znaczące wszystko i nic. Otaczają nas wymiary, których nie znamy, Tiril. Kiedy uszliśmy, a raczej poszybowaaliśmy kawałek, nastąpiła „zmiana warty”. Mój nauczyciel przekazał mi kolejnej istocie...

Móri kontynuował swą opowieść:

Z wielkim zdumieniem i lękiem przyglądał się nowemu mężczyźnie, jeśli to stworzenie w ogóle można nazwać mężczyzną...

— Pragniesz poznać tajemnice ziemi — powiedziała istota, uśmiechając się złowrogo. — Chodź więc ze mną!

Ponieważ Móri się wahał, uśmiechnęła się ponownie i z sarkazmem rzekła:

— Uważasz, że jestem okropny? Kiedyś byłem bardzo piękny. Niestety, miałem do czynienia z ludźmi.

— Kim jesteś?

— Kiedyś byłem nadzieją. Nadzieją ludzi na raj na ziemi. Teraz jestem straconą nadzieją. Po tej nocy i ty staniesz się podobny do mnie.

— Nie! Nie chcę!

— Sam wybrałeś drogę, poszukując wiedzy poza obszarami przeznaczonymi dla człowieka.

Móri wciąż się wahał.

— Kim był ten, który przyszedł wczorajszej nocy?

— Twój nauczyciel? On reprezentuje zdolność ludzi do uczenia się, przede wszystkim na własnych błędach.

— Czy on także był kiedyś piękny?

— Bardzo.

— To znaczy, że ludzie nie potrafili uczyć się na własnych błędach?

— A ty uważasz, że jest inaczej?

— Nie.

— Chodź już!

Tej nocy Móri unosił się nad ziemią, płynął w powietrzu od kraju do kraju, od wybrzeża do wybrzeża. Przewodnik postanowił pokazać mu, że we wszystkich częściach świata trwają wojny. Tragikomiczne wojny, w których armie wygrywają lub przegrywają, ale gdy tylko zdołają wylizać się z ran, natychmiast wszczynają wojnę w innym miejscu.

Była to ogromnie przygnębiająca podróż.

Gdy obudził się następnego ranka, na ławie w izdebce siedziały dwie odrażające postacie: nauczyciel i przewodnik, uosobienie straconych nadziei.

Wieczorem z całych sił starał się nie zasnąć, nie chciał przeżywać już nic więcej. Sen jednak nadciągnął chyłkiem, jak gdyby Móri poddany został działaniu usypiających olejków eterycznych.

W tym śnie znajdował się na ziemi, pod gołym niebem, nauczyciel przygotowywał go na ciężkie doświadczenia.

— Masz dowiedzieć się wszystkiego o ludziach, planetach i niebiosach wokół nas. Tej nocy ujrzysz zaledwie drobny okruch.

Móriemu dech zaparło w piersiach. Coś się do nich zbliżało.

— Och, nie, nie! — jęknął.

Kiedyś być może było to dostojne i zgrabne zwierzę. Teraz wyglądało jak uosobienie przerażenia; okaleczone, zbite, ze śladami znęcania się nad nim. Nie dało się poznać, jaki gatunek zwierzęcia kiedyś reprezentowało. Może to pies, może jeden z kotów, a może jeleni?

— Nie musisz mi tego mówić — rzekł Móri. — To symbol sposobu, w jaki ludzie traktują zwierzęta.

— Masz rację.

— A Tiril tak kocha zwierzęta — wyrwało się Móriemu z głębi serca.

(Tiril, usłyszawszy to, uśmiechnęła się, lecz w oczach zakręciły jej się łzy.)

— Na tę wyprawę nie chcę wyruszać — oświadczył Móri swemu nauczycielowi.

— Musisz!

Urwał.

— Tiril, nie chcę mówić o tej nocy. Nie tobie. Nie chcę też wracać do tych wspomnień ze względu na siebie.

— Ja też nie chcę o tym słuchać — przyznała. — Opowiedz, co cię spotkało kolejnej nocy. Przypuszczam jednak, że rano, kiedy się obudziłeś, zwierzę siedziało w twojej izbie?

— Tak

— I jest teraz z nami?

— Jest.

Tiril odwróciła głowę w stronę, z której wyczuwała obecność milczących towarzyszy podróży.

— Masz moje najgłębsze współczucie, nieszczęsna istoto — załkała. — Nie potrafię się pogodzić z ludzkim okrucieństwem.

Móri obdarzył ją przelotnym uściskiem.

— Ludzka zdolność niszczenia i rujnowania jest bezgraniczna. Nawet tym kompletnie pozbawionym fantazji przychodzą do głowy różnorakie pomysły.

— Obawiam się, że masz rację. Ale czy nie istnieje nic pięknego?

— Owszem. Ty — uśmiechnął się.

— To bardzo miłe z twojej strony. — Tiril pokraśniała z radości.

— Są także dobrzy ludzie, Tiril. Z gruntu dobrzy. Dowiedziałem się także o tym, ale dopiero później. Na początku przewodnicy zajmowali się przede wszystkim nauczaniem mnie magii i wiedzy tajemnej.

— Po islandzku zwanych „galder”. Czy uczyli cię tylko czarnej magii? Tej służącej wyłącznie złu?

— Nie, starali się, bym poznał podstawy wszystkiego. Pokazali mi, co się znajduje we wszechświecie, zarówno tym materialnym, jak i duchowym, tak abym wiedział, na czym mam się opierać. Przekazali mi wiedzę. Mądrość. Moją sprawą jest, abym wykorzystał ją we właściwy sposób.

Umilkł. Tiril wiedziała, o czym myśli. Na cóż mu była wiedza tak straszna, że nie starczało sił, by z nią żyć?

Zerknęła w bok na jego nauczycieli, lecz tylko domyślała się ich obecności.

— Czy Nero ich nie wyczuwa? — spytała.
— Wydaje się, że nie. W każdym razie nie bardzo. To lepiej, niedobrze, gdyby się ich przestraszył. Ich wiedza skierowana jest do ludzi. Przede wszystkim do mnie. Ale i ty, i Steinar wyczuwacie ich bliskość.
— Żałujesz?
— Całej tej historii z „Rödskinną”? Gorzko!
— Opowiadaj dalej!
— Dobrze. Na czym to ja skończyłem? W jakiej kolejności się pojawiali? Już wiem!

Dzień po spotkaniu z udręczonym zwierzęciem Móri nie był w stanie nic przekonać. Starał się myśleć o czym innym, lecz płacz bezustannie dławił go w gardle.

Oby następnej nocy nic już się nie zdarzyło! — błagał w duchu.

Jego prośby nie zostały jednak wysłuchane.

Następnej nocy, gdy zjawił się nauczyciel, Móri zebrał wszystkie siły. Prze-trwa jeszcze jedną podróż, choć na samą myśl robiło mu się słabo.

We śnie — wprawdzie coraz bardziej wątpił, czy to tylko sny, raczej coś bardziej konkretnego — schodzili w dół po schodach. Wykute w kamieniu stopnie okazały się wąskie i nierówne, idąc za swym strasznym mistrzem musiał się przy-trzymywać wilgotnych ścian.

Istota, która spotkała ich na dole, wyglądała tak okropnie, że można by nią straszyć dzieci. Nawet zahartowany Móri ledwie zniósł jej widok. Był to mężczyzna, w każdym razie miał ludzką postać, ale blady niby roślina wyrosła w piwnicy bez światła. Twarz o pionowo ułożonych oczach jakby rozpływała mu się ku do-łowi, nos i broda miały nadmierną długość, a zęby, żółtawe i nierówne, wystawały mu z nie domkniętych ust. Dolna szczęka opierała się na piersi.

Niebywale długą ręką dał znać Móriemu, by szedł za nim.

Przez te zęby na pewno nie może mówić, pomyślał Móri, niechętnie wędrując za swym przewodnikiem przez mroczne ziemne korytarze.

Płynął czas, a oni posuwali się w milczeniu. Mijali cmentarze, na których war-stwami grzebano ludzi kolejnych epok, od prastarych czasów do współczesności. Oglądali miasta dawno zapadłe pod ziemię i nowe, zbudowane na ruinach, wi-dzieli zagubione królestwa. . .

— Kim jesteś? — spytał wreszcie Móri.

— Zwą mnie Nidhogg — odparła istota. — Mówią, że jestem smokiem, któ-ry podgryza korzenie drzewa świata. Kiedy korzenie zostaną przegryzione, świat legnie w gruzach. Jak widzisz, Móri z ludzkiego rodu, wcale nie jestem smokiem.

Ale w pewnym sensie mają rację. Bo ja reprezentuję ludzi, którzy podgryzają korzenie drzewa życia.

Tiril przerwała Móriemu:

— Ale co to jest za istota, nie bardzo rozumiem?

Móri westchnął. Z trudem przychodziło mu uchylenie rąbka tajemnicy, ujawnienie koszmaru, jaki przeżył.

— Pokazał mi wszystko, co znajduje się pod ziemią, i w jaki sposób ludzie traktują ukryte tam zasoby.

— Ale przecież pod ziemią nic nie ma. Kilka kopalni. Ziemi i gór nie zdołano zniszczyć.

— Mówił, że na razie nie jest jeszcze tak źle, bogactwa ziemi eksploatuje się dopiero w kilku miejscach na świecie. Ale w przyszłości będzie gorzej, o wiele, wiele gorzej. Ziemia zazna cierpień przez nieopanowaną chciwość człowieka. To właśnie miał na myśli, mówiąc o podgryzaniu korzeni drzewa życia.

— Czy te istoty potrafiły patrzeć w przyszłość?

— Oczywiście! Dowiedziałem się o tym później. Ale tej nocy zabrano mnie na bardzo piękną wyprawę przez wnętrze ziemi. Wędrowaliśmy przez baśniowej urody groty pełne stalaktytów, przez jaskinie oświetlane blaskiem skrzących się kamieni, zielonych szmaragdów, lśniących diamentów, fioletowych ametystów, ciemnoczerwonych rubinów, złotego bursztynu, wyrzuconego na brzeg Bałtyku, pochodzącego z zatopionych dawno temu lasów sosnowych. Szafirów niebieskich jak twoje oczy...

— Och, jak pięknie powiedziałeś! Mów tak dalej!

Móri roześmiał się.

— Czy można rzec, że pod ziemią jest nieziemsko pięknie?

Tiril także się uśmiechnęła.

— Widzieliśmy podziemne rzeki, których istnienia nikt się nie domyśla — podjął Móri. — Wyschnięte koryta rzeczne, odsłaniające kolejne pokłady kamieni szlachetnych... Dobrze, że ludzie nie wiedzą o tych bogactwach. Kiedy jednak powiedziałem o tym memu towarzyszowi, on rzekł coś, co mnie zdumiało; „W przyszłości ludzie nie będą pożądać drogocennych kamieni, pięknych grot czy zatopionych miast, lecz czegoś całkiem innego. Z czasem ziemia stanie się tak wyniszczona...” Nie, nie chcę o tym mówić, Tiril. To przerażające.

— Rozumiem już, co miał na myśli, mówiąc o Nidhoggu podgryzającym drzewo świata. To drzewo... Czy w mitologii skandynawskiej nie nazywano go Yggdrasill?

— Tak, właśnie tak. Wiesz, czasami zastanawiam się, czy nasi przodkowie nie wiedzieli więcej, niż nam się wydaje.

— Czy ludzie nigdy nie zmądrzeją?

— Nie. Kolejne pokolenia chcą chyba powtarzać błędy rodziców.

Chłodny wiatr omiótł miejsce, w którym Steinar zwykle obozował w czasie podróży. Tiril nie przypuszczała, że powiew dotrze aż tutaj.

Potem jednak przyszło jej do głowy, że nie jest to zwyczajny wiatr. Dmuchało lodowatym chłodem, jakby prosto z królestwa śmierci.

Czyżby od ich strasznych towarzyszy?

Przsunęła się bliżej Móriego, chcąc poczuć jego ciepło.

Ale przecież on sam jest częścią królestwa śmierci, uświadomiła sobie. —
Opowiedz mi, co się wydarzyło następnej nocy!

Rozdział 15

Następna noc? Móri starał się przypomnieć sobie kolejność wydarzeń.

Czy to nie ta noc, kiedy pozwolono mu trochę odpocząć? Tak.

Nauczyciel znów zabrał go do wszechświata, tym razem nie do duchowego, lecz tego bardziej konkretnego. W przestworza na sklepieniu niebieskim.

Jak zwykle na początku każdej podróży Móri uczył się od tego przerażającego swym wyglądem mężczyzny wiedzy tajemnej. Dostał wtajemniczenia, za które, był pewien, Mag- Loftur oddałby duszę.

Stanę się najpotężniejszym z żyjących czarnoksiężników, myślał.

Ale za jaką cenę?

Jeśli spełnię dobry uczynek, pomogę komuś lub czymś się przysłużę, skrzywdzę innego człowieka. Przyczynię mu nieszczęścia.

Potworne koszty!

Nie wykręcę się jednak od tych nauk. Żądza posiadania „Rödskinny” zagnała mnie aż tutaj, muszę przyjąć to, co jest mi teraz pisane.

Tej nocy Móri spotkał kolejno dwie kobiety. Obie piękne i czyste, zdumiał się ich widokiem, nie mógł zrozumieć, co robią wśród przerażających potworów.

Pierwsza powiodła go przez powietrze, ponad sklepienie niebieskie, skąd mogli patrzeć na ziemię. Była to zaiste cudowna podróż, Móri radował się nią bez cienia strachu. Spotkali ptaki niebieskie, unosili się wśród perłowych chmur, widzieli, jak z maleńkich domków na ziemi unoszą się cieniutkie smużki dymu.

Kobieta przemówiła doń po raz pierwszy:

— Daję ci możliwość ujrzenia piękna. Możesz widzieć mą urodę, Móri. Ale ludzie, którzy przyjdą na świat za dwieście lat, zobaczą coś zupełnie innego.

Popatrzył na swą przewodniczkę.

— Zmienisz się, piękna pani?

— Tak. Stanę się taka, jak moi towarzysze.

— Ale dlaczego? — wykrzyknął zdumiony.

Wskazała na dół.

— Widzisz dym unoszący się z kominów? Kiedyś gęsty i czarny, będzie buchał z zatrutych studni, z kominów wyższych od najwyższych wież kościelnych

ze źródeł, których jeszcze nie znamy.

Móri zaniemówił, nie mógł pojąć jej słów.

— Rozumiem, że uosabiasz powietrze, niebo nad Ziemią, przestrzeń. A więc i ty, pani, staniesz się kiedyś brzydka i odpychająca?

— Tak. Człowiek ze wszystkiego, co istnieje, wyzwoli ukryte siły. Nie zostawi w spokoju nawet wszechświata, który nie ma granic.

— A ptaki niebieskie?

Kobieta ze smutkiem pokręciła głową.

Móri zapłakał.

Opadł na ziemię, gdzie czekała już druga kobieta.

Poprowadziła go przez morza.

Poza kilkoma zatopionymi miastami i licznymi wrakami statków na dnie morza i to także była piękna wyprawa. Móri z radością obserwował rozmaite ryby o wszystkich kolorach tęczy. Widział tnące wody wieloryby, rozbawione delfiny i statki dumnie ślizgające się po falach.

— No, tu chyba nie ma się czego obawiać — uśmiechnął się do kobiety.

Ona jednak nie odwzajemniła uśmiechu.

— Ułyną dwa albo trzy stulecia — rzekła miękko, jakby musującym głosem — i Jego Wysokość Człowiek uzna, że morze to dobre miejsce do wylewania trucizn. Zanieczyści wody płynnymi i stałymi odpadami. Ryby wyginą. Woda stanie się śmiertelnie niebezpieczna. Ludzie zdobędą zasoby ziemi, których miejsce nie jest w wodzie, lecz właśnie tam się znajdują. Ptaki morskie zginą. . .

— Och, nie — błagał Móri. — Nie mów już nic więcej! Nie chcę tego słuchać, nie wierzę, że ludzie są tacy podli!

— Nie są podli. Są głupi. I chciwi.

Móri milczał przez chwilę, potem odwrócił się do niej ze łzami w oczach.

— Przypuszczam, że i ciebie, pani, także dotknie to szaleństwo?

— Tak, powoli, lecz nieubłagane, stawać się będę taka jak inni, których spotkałeś.

Podróż przestała już być cudowna.

Podobnie jak istoty, z którymi poprzednio zawarł znajomość, i ta kobieta nauczała go, w jaki sposób w swym powołaniu czarnoksiężnika najlepiej może wykorzystać możliwości kryjące się w jej królestwie. Móri wiele się nauczył, ale i bardzo zasmucił. Coraz bardziej żałował, że wybrał tę drogę. Powinien zostać tam, gdzie był. Wtedy w Holar nie powinien był przekraczać granicy życia i śmierci.

Dreczyło go pytanie, co właściwie stało się z Magiem-Lofturem.

Odpowiedź na nie otrzymał już następnej nocy.

— Przygotuj się, Móri — uprzedził go nauczyciel. — Nastaw się odpowiednio, czeka cię niełatwa wędrówka.

— Czy kiedykolwiek była łatwa? Czy nie dość już widziałem ludzkiej małości?

— Ona nie ma granic. Ale ta noc będzie inna.

— Jestem przygotowany.

— Wcale nie sprawiasz takiego wrażenia — uśmiechnął się straszny nauczyciel.

— Chyba rzeczywiście skłamałem — skrzywił się Móri.

— Ale powiedz mi... Kim jesteś? Albo raczej: kim byłeś kiedyś?

Twarz, która nie była twarzą lecz tylko jej resztkami, powoli zwróciła się w jego stronę.

— Byłem czarnoksiężnikiem jak ty. Jednym z tych, którzy zapuścili się zbyt głęboko i musieli za to ponieść karę. Tak jak ty.

Móri z trudem chwycił oddech.

— A więc i ja kiedyś stanę się taki?

— To możliwe. Ale nic nie wiadomo na pewno.

Móri niemal gotów był się wycofać ze wszystkiego. Miał ochotę zachować się jak w dzieciństwie: rzucić na ziemię, zatkać uszy palcami i wykrzyzczyć swój strach i rozpacz.

Stał tylko i płakał jak dziecko. Wreszcie wydusił z siebie:

— Czy byłeś jednym z wielkich?

— Nigdy nie osiągnąłem szczytu. Utknąłem w połowie drogi, jak i ty. Mego imienia nikt dzisiaj już nie pamięta, ale kiedyś byłem wielkim czarnoksiężnikiem. Nie urodziłem się na Islandii. Moją ojczyzną była Hiszpania, wywodziłem się z rodu mauretańskiego. Wszyscy o mnie zapomnieli. To tragiczne. Zniszczyłem swoje życie bez żadnego pożytku.

Kto będzie pamiętał o mnie? — zamyślił się Móri. Oczywiście, Tiril! Ale ona nie będzie żyła wiecznie.

Ta myśl wywołała kolejną falę żalu.

Nie chcę tego, myślał. Pragnę się z tego wyzwolić, żyć tak długo jak Tiril, a potem zniknąć.

Co ja zrobiłem, co zrobiłem!

Następne słowa nauczyciela wcale go nie pocieszyły:

— Będziemy ci towarzyszyć, Móri.

Drgnął.

— Co takiego?

— Jesteśmy twymi sługami.

To ci dopiero słudzy! Móri wcale ich sobie nie życzył.

— Będziesz nas potrzebował. Jesteśmy twymi sługami na całe życie. Ale będziemy także cię pilnować. Kiedy twoje ziemskie istnienie dobiegnie końca, będziesz nasz. Taki pakt zawarliśmy z tobą.

Móri przymknął oczy i odetchnął głęboko. Niech ktoś pomoże mi się stąd wydostać! Ratunku!

Ale kto mógł mu pomóc? Posunął się za daleko, taka była gorzka prawda.

Znów wtrąciła się Tiril. Popłakując otarła oczy i wyjąkała przez łzy:

— Mówiłeś, że widziałeś coś pięknego. Ale nie powiedziałeś, co.

— Na koniec dane mi było ujrzeć, co kieruje światem, wszechświatem, naszym duchowym istnieniem. To przeżycie było tak niezwykle silne, że opowiem o nim kiedy indziej. Nie dzisiaj, gdy mówię o wszystkich nieszczęściach.

— Ale czy właśnie dlatego nie powinienesz... .

Wstrzymał ją gestem uniesionej dłoni.

— Nie, Tiril, nie potrafię przejść natychmiast od jednego do drugiego. Najpierw muszę odegnać mroczne cienie. Nie, nie te, które nam towarzyszą, mam na myśli te w mojej duszy.

— Rozumiem. Kogóż więc spotkałeś ostatniej nocy?

Móri milczał przez chwilę, nie bardzo wiedział, jak ma zacząć.

— Zostawiono mnie samego.

— Samego, gdzie?

— W izdebce, w której mieszkałem. Widziałaś ją. To była straszliwa samotność. Nic się nie działo. W końcu zawołałem rozniewany: „Czy dziś w nocy nikt nie przyjdzie”? Usłyszałem odpowiedź: „Już tu jestem”.

Móri powrócił pamięcią do nędznej izdebki na poddaszu.

Rozejrzał się, ale nikogo nie zobaczył. Głos, który usłyszał, głuchy, nieprzyjemny, nie był głosem nauczyciela.

— Nic nie widzę — powiedział Móri zaczepnie.

— Owszem, popatrz tylko uważniej.

Kiedy czekał zirytowany, odkrył, że izdebka się zmieniła. Nastąpiło to tak powoli, że z początku niczego nie zauważył. Ściany się rozsunęły, pokój się powiększył.

Zapłonęło w niej niebieskawe, błękitnoszare światło.

Wszystko zniknęło. Nie mógł dostrzec powały, ściany i podłoga rozplynęły się w powietrzu.

— Nic nie rozumiem! — krzyknął. — Czuję tylko pustkę.

— Właśnie — odparł głos. — Ja jestem pustka.

— Czy to już wszystko?

— Nie. Obszar pustki wiele w sobie kryje. Ale nie wszystkim się zajmiemy. Tylko władzą.

— Władza — powiedział Móri z ulgą. — To rozumiem. Władza to dziwne zjawisko. Dlaczego tak często się zdarza, że ci, którzy żadną miarą nie powinni jej dzierżyć, tak o nią zabiegają? I zdobywają, potrafią bowiem mieć, mają autorytet, są silni, lecz także śmiertelnie niebezpieczni, bezwzględni, egoistyczni.

— To prawda. Za kilka stuleci znajdzie się dobre określenie dla takich ludzi. To psychopaci. Obecnie nazywa się ich tyranami bądź despotami. Ale można także zabiegać o władzę w sferze duchowej. Wielu księży to ludzie żądni władzy, gardzący grzeszną społecznością, która im podlega. Są też inni, pragnący zapanować nad światem za pomocą magii. . .

Móriemu zapało dech w piersiach.

— Czy już pojąłeś, jaką osiągnąłeś pustkę?

— O, tak, nigdy nie powinienem był tego robić.

— Próbowałeś zburzyć mur dzielący życie od śmierci. Popełniłeś wielki błąd.

— Mag-Loftur także.

— On nas nie obchodzi.

— Dlaczego?

— Jest stracony. Rozpadł się w proch. Został unicestwiony.

— Ale ja nie?

— Twój los wisi na włosku.

— A jeśli się nie utrzymam?

— Wówczas i ty będziesz stracony.

Móri pomyślał o losie, jaki spotkał Maga-Loftura.

— Utrzymam się.

— Tak będzie najlepiej.

— Co chcesz mi teraz pokazać?

— Pokazać? Przecież już widzisz.

— Nicość?

— Właśnie.

— To niewiele. Lecz jeśli jesteś nicością, jak możesz mi towarzyszyć w drodze przez życie? Przecież cię nie widzę.

— Ale możesz mnie wyczuć. Możesz wyczuć pustkę, Móri. Ona cię otoczy, aż zaniesiesz się krzykiem samotności.

— Nie jesteś dobry.

— Sam mnie wybrałeś.

Po chwili Móri powiedział:

— Czegoś mi wśród was brakuje, spodziewałem się, że spotkam Życie i Śmierć.

— Życie już znasz, przecież żyjesz, a w kościele w Holar znalazłeś się blisko Śmierci. Więcej o nią nie pytaj.

— Obiecuję, że tego nie zrobię.

Móri zwrócił się wprost do Tiril.

— Właśnie wtedy pojawił się mój nauczyciel. Jakby po to, by mnie pocieszyć, zabrał mnie ku światłu. Ujrzałem to, co kieruje naszym ciałem i duszą. Nie mam jednak sił, by teraz ci o tym opowiadać.

— Zmęczony jesteś? — spytała z troską.

— Tak.

— Ja też. Ramię ci nie zdrętwiało?

— Nie, leż tak, nie przesuwaj się, potrzebuję twojej bliskości.

— Dzięki ci, Móri, za te słowa! Chyba powinniśmy spróbować zasnąć. I tak niewiele już zostało z tej nocy, pewnie niedługo świt.

— Jest jeszcze wcześniej. Dziękuję, że zechciałaś mnie wysłuchać.

Sprawdziła, czy jest dobrze okryty derką, a potem zwinęła się w kłębek w jego ramionach. Ciało miał kościste, zewsząd coś ją uwierało, ale jakoś jej to nie przeszkadzało. Podniosła wzrok nad ich głowami i przesłała milczące „dobranoc” tym, którzy ich pilnowali.

A kiedy Móri usnął, Tiril, patrząc w nieme gwiazdy szepnęła do siebie:

— On wierzy w to, co mi opowiedział. I ja, oczywiście, także, ponieważ wierzę jemu. Ale to wszystko tylko sen. Ludzie snują fantazje, wyolbrzymiają dźwięki, wydaje im się, że dostrzegają coś kątem oka. Nero przecież niczego nie zauważa. To znaczy, że oni nie istnieją, Móri stworzył ich we własnej wyobraźni, a Steinarowi i mnie udzielił się jego nastrój, tajemnicza aura wokół jego osoby. Z tą myślą zasnęła, czując się bezpieczniej niż kiedykolwiek od dłuższego czasu.

Rozdział 16

Podróż morska do Norwegii okazała się prawdziwym koszmarem.

W Rejkiawiku musieli czekać trzy dni, zanim wreszcie trafił się statek. Mieszkali w tym czasie u gościnnego Steinara. Tiril jak umiała zajmowała się Móriem. Steinar i jego żona nakazali mu położyć się do łóżka, dużo jeść, pić i nie robić nic poza tym.

Tiril widziała, że Móri w głębi ducha buntuje się przeciw temu, zależało mu jednak na zdrowiu przynajmniej na tyle, że nie protestował.

Jego stan wyraźnie się poprawiał. Przestał już być tak upiornie chudy i blady, wyglądał coraz lepiej, potrafił się nawet śmiać, chociaż Tiril wiedziała, że anioł śmierci jeszcze nie całkiem wypuścił go z objęć. To ona zanosila mu jedzenie i sprawdzała, jak się czuje. Żona Steinara, gdy proszono ją, by poszła do Móriego, tylko zaciskała zęby i kręciła głową, zdecydowanie protestując. Steinar mruknął kiedyś do Tiril: „Moja żona wyczuwa tak jak my, że on nie jest sam”.

W końcu nadeszła chwila rozstania z Islandią. Okazało się, że popłyną tym samym statkiem, który przywiózł tu Móriego. Tiril prędko się zorientowała, że poprzednio miała znacznie więcej szczęścia. Ten statek był o wiele mniej wygodny, przeznaczony do transportu towarów, brakło na nim oddzielnej kajuty dla ewentualnych dam. Niestety, nie istniało stałe połączenie Bergen i Islandią, trzeba więc było wykorzystać okazję. I tak dopisało im szczęście, zdarzało się bowiem, zwłaszcza zimą, że na statek trzeba było czekać kilka tygodni.

Tiril musiała sypiać w jednym pomieszczeniu z załogą, w długiej, wąskiej kajucie. Właściwie w ogóle nie było dla niej miejsca, ale po naradzie z szyprem jakoś się znalazło.

O jakiegokolwiek wygodzie trudno mówić, lecz ani Tiril, ani Móri nie narzekali. Przydzielono im jedną koję, Móri postanowił leżeć z brzegu, by chronić Tiril przed grubiańskimi zaczepkami marynarzy.

— Nie wszyscy są tacy źli — twierdził szypier. Pamiętał Móriego z podróży w tamtą stronę i zaakceptował jego inność. — Większość to starsi marynarze, wiedzą, jak należy się przyzwoicie zachować. Ale mamy niestety dwóch gorszego rodzaju, przed zabranie jednego z nich długo się wzbraniałem. To przestępca,

skazany na wygnanie z Islandii. Jest Norwegiem i musi wracać do kraju. Towarzyszy mu stróż prawa, ale ten z kolei ciągle jest pijany, obawiam się więc, że nie dopilnuje należycie swego podopiecznego. Panienska może mieć kłopoty.

— Będę nad nią czuwał — zapewnił Móri.

Szyper przyjrzał mu się badawczo. Zmrużył oczy i rzekł powoli:

— Zmieniłeś się od ostatniego czasu. Nie mam nic złego na myśli, ale..

— Towarzyszy mi coś dziwnego, prawda?

— No właśnie! — wykrzyknął kapitan.

— Nie warto się tym przejmować — uspokoił go Móri najbardziej beztroskim tonem, na jaki go było stać. — Ciężko chorowałem, co pewnie po mnie widać.

— Oczywiście!

— Byłem bliski śmierci — mówiąc to Móri się roześmiał.

— Myślę, że można nawet powiedzieć, że znalazłem się tak blisko doliny cieni śmierci, że wciąż nie jestem w stanie się od nich uwolnić.

— Rzeczywiście nasuwają się takie skojarzenia — przyznał niepewnie szyper.

Gdy odeszli od niego, Tiril mruknęła:

— Świetnie sobie z tym poradziłeś.

— Czy to naprawdę tak rzuca się w oczy?

— Daje się wyczuć że coś cię otacza. Chyba wszyscy zwracają na to uwagę.

Móri przez zęby syknął coś, czego nie rozumiała. Ani nie chciała rozumieć.

Nie bardzo mieli czym zapłacić za podróż, ponieważ w sakiewce Tiril widać już było dno, ustalili więc z życzliwym kapitanem, że będą pracować na pokładzie. Tiril zobowiązała się pomagać kucharzowi, a Móri nie otrzymał stałych zadań. Obiecał pomagać tam, gdzie najbardziej będzie tego trzeba.

Przebywanie w kajucie załogi nie należało do przyjemności. Tiril rano i wieczorem starała się stawać prawie niewidzialna, lecz i tak nie uniknęła złośliwości dwóch łobuzów. Pozostali marynarze dali jej spokój, choć i oni nie byli zachwyceni obecnością kobiety w tym miejscu.

Koja była dostatecznie szeroka, by mogli się na niej zmieścić oboje z Mórim. Przywykli już do sypiania razem, podstawą ich związku była przyjaźń i wzajemne zrozumienie. Po ciężkich dniach pracy zmęczenie dawało się we znaki i prędko zapadali w sen. Ze dwa razy tylko Tiril obudziła się w nocy i stwierdziła, że Móri nie śpi. Ale między nimi leżał Nero...

Wkrótce okazało się, że nieco się pomylili w ocenie intencji łobuzów. Obiektem ich agresji nie była wcale Tiril, lecz Móri. Nienawidzili go z całego serca za to, że ich przerażał i że tracili przy nim pewność siebie.

Tiril dobrze wiedziała, skąd się to bierze. Wielu na pokładzie twierdziło, że są obserwowani. Ze towarzyszy im ktoś, kogo nie widać.

Przypuszczali, że tajemniczy młodzieniec ma z tym coś wspólnego. Nero jednak zapewniał Móriemu, a właściwie im obojgu, ochronę.

Tiril gorąco pragnęła, by podróż wreszcie dobiegła końca.

Ze strażnika więźnia niewiele było pociechy. Złoczyńcy zakuto ręce i nogi w kajdany, lecz nie stanowiły one dla niego zbytnej przeszkody. Poruszał się swobodnie po pokładzie, podczas gdy strażnik spał zamroczony alkoholem. Drugi łotr, potężny, głupi marynarz, obdarzony głosem grubym i chropawym jak stęplona piła oraz mięśniami, od których trzeszczało płótno koszuli, stale powtarzał groźby pod adresem Tiril i Móriego. „Przeklęta strojnisiu, poczekaj niech cię złapię...” Szczególnie pomysłowy nie był, Tiril nie dawała się sprowokować. Uśmiechała się tylko leciutko i prędko schodziła mu z drogi.

Na Móriego jednak się uwzięli. Najgorsze, że zgadali się we dwóch, najprawdopodobniej dlatego, że nie mieli innych przyjaciół na pokładzie.

Tiril śmiertelnie się bała, że pogrążonemu we śnie Móriemu wbiją nóż pod zebro. Jedyną pociechą było to, że spali głębiej niż on. Liczyła także na czujność Nera.

Móri natomiast zachowywał kamienny spokój. Dodawał otuchy Tiril, znużonej długą, zdającą się nie mieć końca podróżą. Dłonie zrobiły jej się szorstkie od pracy w kuchni, kucharz bowiem uznał, że doskonale jest mieć kogoś do pomocy, w dodatku dziewczynę, i wysługiwał się nią nieprzyzwoicie, wyznaczając jej najcięższe prace. Tiril jednak przeszła niezłą szkołę u Ester, znała się na robocie, co bardzo dziwiło kucharza. Widać wszak było, że dziewczyna pochodzi z dobrego domu. I miała takiego ładnego psa, choć zebrał wprost nieprzyzwoicie.

Można powiedzieć, że Tiril i kucharz w pewnym sensie się zaprzyjaźnili. Bardzo różnili się od siebie, lecz szanowali nawzajem. Po pierwszym trudnym dniu pełnym przykrych komentarzy na temat rozpieszczonych panienczek układało się im całkiem dobrze.

Niektórzy marynarze udawali, że nie dostrzegają dziewczyny, inni zasypywali ją pieprzonymi żarcikami, chcąc się przekonać, ile znieśie.

Przeszkolona u Ester Tiril potrafiła wytrzymać bardzo wiele. Często umiała odpłacić taką samą monetą, uważała jednak, że grubiańskie zachowanie jej nie przystoi.

Móri bardzo ją za to chwalił, a wtedy rumieniła się z zadowolenia.

Zawsze starała się być miłą dla marynarzy, uśmiechała się do nich i dużo się śmiała. Unikała tylko nieprzyzwoitych żartów.

Pod koniec podróży zrozumiała, że to głównie obecność Móriego odstrasza dwóch łajdaków. Rzecz jasna nie obyło się bez łąpczywego wyciągania rąk i obmacywania w ciasnych przejściach, zawsze jednak zdołała się wyrwać natrętom, zresztą oni nie atakowali jej na serio. Bali się dziwnego Móriego.

Bo też i Móri przytłaczał swym widokiem. Piękny niczym upadły anioł, o oczach, w których odbijały się nieznane głębie i straszne tajemnice. Niezwykły

uśmiech, zdradzający niesamowitą wiedzę, przerażał niekiedy nawet Tiril. Również dla niej Móri był tajemniczą postacią, chociaż znała go tak dobrze, przecież zwierzył jej się jako jedynej na świecie.

Mogła powiedzieć, że go kocha. Jej oddanie dla niego i przywiązanie śmiało można nazwać miłością.

Prawdą jednak było to, co często sobie myślała: Móriego nie da się kochać. Nie bardziej niż kocha się anioła śmierci. Czuła, że Móri ją oczarował, pociągał. Pozostawał jednak nieosiągalny jak istota przybywająca z innych wymiarów obcych ludziom. A po strasznych doświadczeniach z Islandii odsunął się od niej jeszcze bardziej.

Nie zdawała sobie z tego sprawy, ale uwielbiała go, ubóstwiała niczym młodego boga.

Potrąfiła jednak być dla niego czuła. Kiedy go odnalazła w maleńkiej izdebce na poddaszu w zagrodzie w północnej Islandii, wydał jej się taki kruchy. Odzyskał już swą siłę, lecz przyszło mu teraz dźwigać inny krzyż: znosić towarzystwo niewidzialnych istot, które nie odstępowały go na krok.

Ostatniego wieczoru przed przybiciem do brzegów Norwegii miała się też przekonać, że wciąż pozostawał kruchy.

Była w kambuzie, kiedy usłyszała hałas dobiegający z pokładu, krzyki i przekleństwa, odgłosy bijatyki, wściekłe szczekanie Nera.

Wraz z kucharzem wybiegli na pokład.

Pogoda zadziwiła niezwykłością, pomimo zmierzchu niebo na zachodzie było jasne jak w południe, unosiła się na nim osobliwa poświata. Światło nie było światłem słońca, pochodziło jakby z innego źródła, pod ciemnymi chmurami stało się niebieskozielone. Tiril nigdy nie widziała nic podobnego.

Więźnia i jego kompana przytrzymywali inni marynarze.

— Do kroćset, zabiję go! — wołał skazaniec. — Zabiję tego diabła, demona, bo coś strasznego jest z nim na pokładzie. Wyrzucimy go za burtę. Puśćcie mnie, do stu piorunów!

Móri leżał na pokładzie twarzą w dół. Spomiędzy ciemnych włosów sączyła się krew. Obok niego siedział Nero i przeciągle wył.

— Coście zrobili! — krzyknęła Tiril. — Coście zrobili memu najlepszemu przyjacielowi?

Uklękła przy nim.

— Odwiązali bom, który uderzył go w głowę — wyjaśnił szyper. — Kiedy przybiegliśmy, ciągnęli go już w stronę relingu. Zamkniemy ich w ładowni, nic innego nam nie pozostaje. Tak będzie najlepiej dla wszystkich.

Tiril zmoczyła szmatkę w czystej wodzie i ostrożnie przemyła tył głowy Móriego. Rana nie była głęboka, lecz przyjaciel nie odzyskiwał przytomności.

— Przeklęte durnie! — zawołała w najlepszym stylu Ester.

— Od dwóch tygodni walczę, aby wyzdrowiał, bo kiedy go znalazłam, bardziej był umarły niż żywy, a przez was cały mój wysiłek poszedł na marne! I po co to?

— On ma konszachty z diabłem! — zawył więzień.

— Z całą pewnością nie — zapewniła go Tiril. — Stoją za nim inne moce.

Wtrącił się jeden z marynarzy:

— Pewnie, że trochę się go boimy, bo on ma w sobie coś dziwnego, ale nigdy nie wyrządził nam krzywdy, przeciwnie. A te łotry narobiły nam tylko kłopotów. Zamknij ich, kapitanie, nie chcemy ich tu widzieć!

— Szkoda, że nie mogę ich wyrzucić za burtę — westchnął szyper. — Niestety, to niemożliwe. Dzięki Bogu, Nero ich pogryzł!

Tiril była tak wzburzona, że nie zważała na słowa. Nie spodziewała się zresztą, że mogą one mieć takie konsekwencje.

— Czy nie ma tu żadnych wyższych sprawiedliwych mocy? — załkała, zwracając się do kapitana. — Jeśli ktoś tutaj zasłużył na to, by zostać wrzuconym do morza, to ci dwaj, bo oni nic nie są warci. Ale uważają się za lepszych od Móriego! A on potrafi tyle, że nawet wam się nie śniło!

— Nietrudno w to uwierzyć — mruknął szyper, a pozostali marynarze pokiwali głowami.

Nagle w jednej chwili niebieskawe światło wieczoru pociemniało, na niebie pojawił się czarodziejski poblask, nad morską toń opuścił się połyskliwy półmrok.

— Uwaga! — zawołał nagle jeden z marynarzy. — Na ziemię!

Odwiązany bom ze świstem przeleciał nad pokładem. Wszyscy padli plackiem na deski. Wszyscy, z wyjątkiem dwóch łajdaków, do których albo nie dotarło ostrzeżenie, albo go po prostu nie usłyszeli. Najprawdopodobniej to ostatnie, choć trudno w to uwierzyć.

Bom trafił ich w twarze. Przelecieli nad relingiem i zniknęli za burtą statku.

Więzień, zakuty w żelazo, natychmiast poszedł na dno jak kamień. Drugi, muskularny grubianin, wrzeszczał przerażony:

— Nie umiem pływać!

Statek jednak nabrał prędkości; nim zdążyli zmienić kurs, drugi prześladowca Móriego także skrył się w falach.

Mężczyźni powoli zaczęli się podnosić z pokładu. W oszołomieniu zamocowali bom. Z ukosa zerkali na Tiril, wciąż klęczącą u boku Móriego, zdrętwiałą z przerażenia.

— Nie... nie wiem, co się stało — szepnęła ledwie słyszalnie. — Nie chciałam, nie rozumiem. To nie wina Móriego, przysięgam!

Nikt nie odpowiedział, ale do czasu zawinięcia do portu w Bergen traktowano ich z wyraźnym respektem.

Móri w końcu odzyskał przytomność i zdołał zejść na ląd o własnych siłach, lekko tylko wsparty na ramieniu Tiril.

Nikt jednak nie śmiał mu opowiedzieć o tym, co wydarzyło się poprzedniego wieczoru. Nikt, nawet Tiril. Nikt bowiem bardziej niż ona nie przeraził się siłami, jakie wyzwoliła na żaglowcu.

Rozdział 17

Bergen nie było już miastem dla nich, dwojga poszukiwanych przez władze.

Mieli przyjaciela, który prawdopodobnie będzie w stanie im pomóc: Erlinga Müllera. Do jakiego stopnia jednak mogli go obciążać? Czy starczy mu odwagi na przeciwstawienie się władzom? Wójt przecież, z różnych przyczyn, ścigał i Tiril, i Móriego.

Tiril bardzo też chciała odwiedzić Ester w więzieniu. Ale jak to zrobić?

Nie mieli również żadnych wieści o tym, co ostatnio wydarzyło się w mieście. Móri wyjechał już tak dawno, a Tiril po powrocie z wysepki Ester tylko przelotnie zabawiła w porcie.

O swym domu nie wiedziała nic poza tym, co przekazał jej Erling. Nie miała żadnych wiadomości o ścigających ją złoczyńcach.

Chyba w końcu zrezygnowali?

— Jest bardzo wczesny ranek — oświadczył Móri. — Niewielu ludzi wyszło już z domów. Spróbujemy pójść do biura Erlinga?

— Tak zrobimy. — Tiril ucieszyła się, że ktoś za nią podjął decyzję.

Niczym ukrywający się przestępcy skradali się ulicami, na szczęście biuro Erlinga położone było w tej samej części portu, gdzie przybił statek.

Niestety, Erlinga nie zastali, powitała ich natomiast Christine, jego siostra.

To spotkanie mogło zakończyć się katastrofą, ale Christine wciąż miała w pamięci awanturę, jaką zrobił jej Erling z powodu listu Tiril przyniesionego przez ubogiego chłopaka, i tym razem wprowadziła ich do kantoru, aby tam zaczekali na brata. Tiril nigdy nie widziała pewnej siebie damy taką przygaszoną.

Nieco się jednak pomyliła w ocenie siostry Erlinga. Christine już w drzwiach oznajmiła słodkim jak ulepek głosem:

— To może dość długo potrwać. Wczoraj wieczorem Erling wybrał się z wizytą do panny Drake, a stamtąd zwykle wraca późno.

Potem dyskretnie zamknęła za sobą drzwi. Odgłos jej niepokojąco szybkich kroków rozpląnął się w głębi korytarza.

Popatrzyli po sobie. Prędkie odejście Christine nie wróżyło dobrze.

Szczęście jednak ich nie opuszczało. Christine w istocie pospieszyła do wójta,

ten jednak wybrał się właśnie do wioski, gdzie poprzedniego dnia odbywało się nadzwyczaj huczne weselisko. Jednego z gości uderzono kuflem w głowę, drugiemu w udo wbito nóż (po pijanemu źle wcelowano — ostrze miało trafić szlachetniejsze organy), a trzeciemu sala balowa pomyliła się z wychodkiem. Wszyscy świadkowie ledwie trzymali się na nogach.

Christine niecierpliwie przestępowała z nogi na nogę w oczekiwaniu na powrót wójta.

Prawdą było, że Erling spędził tę noc u panny Amalie Drake. Nie weszło mu to w zwyczaj, lecz ostatnio zdarzyło się dwu— albo i trzykrotnie.

To ona podjęła inicjatywę. Jej usilne starania rzucały się w oczy już od dawna, lecz Erling wciąż zdawał się ich nie zauważać. W końcu jednak nie mógł zapanować nad wzburzeniem spowodowanym wyjazdem Tiril na Islandię w poszukiwaniu Móriego i został na noc u panny Amalie.

Doskonale zdawał sobie sprawę, że nie zrywa niewinnego kwiatuszka. Potrzebował jednak kobiety, nie mógł sobie ze sobą poradzić. Zbyt długo wielbił delikatną, kruchą Carlę, wierząc, że biedna dziewczyna jest czysta i niewinna, a potem zakochał się w Tiril, która nie zdawała sobie z tego sprawy. W końcu poczuł się zawiedziony i przyjął kolejne bezpośrednie zaproszenie Amalie.

Kiedy jednak Amalie zaczęła w towarzystwie dawać do zrozumienia, że są parą, niech więc inne panny trzymają się od Erlinga z daleka, ostro zareagował.

Poprzedniego wieczoru powiedział jej kilka słów do słuchu, przypominając, że nigdy niczego jej nie obiecywał, i zażądał, by przestała go nazywać swym przyszłym małżonkiem.

Przebiegła Amalie Drake dobrze znała mężczyzn. Trzepocząc długimi rękami zapewniała, że nigdy nie przeszłoby jej to przez myśl, widać wynikało jakieś nieporozumienie. „Oboje jesteśmy dorosłymi ludźmi, Erlingu, i drobna chwila przyjemności nie musi wszak jeszcze nic oznaczać, prawda?”

Znów więc trafił do jej łóżka i rano, wracając do biura, czuł się trochę nie w porządku.

W drzwiach przywitał Erlinga uszczęśliwiony Nero, młodzieniec wiedział więc, kogo zastanie w środku.

Z radości serce podskoczyło mu w piersi. Tiril! Tiril wróciła!

Potem napłynęły wyrzuty sumienia: oto przychodzi przepojony zapachami Amalie Drake, jego usta i dłonie dotykały ciała innej kobiety, nie niewinnej Tiril!

Ogarnęła go nieprzemierzona chęć, by wejść pod strumień lodowatej wody, oczyścić się, umyć, wypłukać usta. . .

Oto i Tiril.

Erling poczuł, że płoną mu policzki. Zarówno z radości na jej widok, jak i ze wstydu.

Tiril wydała mu się piękniejsza niż zwykle. Jej urodę trudno było opisać, bo rysy twarzy nie odznaczały się regularnością. Od dziewczyny bił jednak jakiś niezwykły blask, radość życia, teraz też wprost przepłynęła w powietrzu, rzucając mu się na spotkanie.

Jak cudownie ją obejmować! Taka szczerą, taka prawdziwą!

Dlaczego, dlaczego wczoraj wieczorem nie okazał dostatecznej stanowczości? Przybył wszak do panny Drake, by z nią zerwać, zakończyć całą tę historię, w którą nigdy się nie zaangażował.

Tiril uwolniła się z jego objęć i patrzyła na niego ucieszona.

Nagle Erling zorientował się, że nie są sami.

Nie spodziewał się Móriego, na jego widok coś ukłuło go w sercu. Zapiekły go uczucia, których nie potrafił określić, tak były sprzeczne.

— Drogi przyjacielu, strasznie wyglądasz! — wykrzyknął niezbyt taktownie, serdecznie przywitawszy się z Mórim.

Tiril wyjaśniała z zapalem:

— Móri wczoraj wieczorem został uderzony w głowę. Na statku, którym przy-
płynęliśmy. Pewnie jeszcze nie doszedł do siebie.

— Powinieneś leżeć — stwierdził Erling, a Tiril natychmiast mu przytaknęła.

Przez chwilę rozważali sytuację. Erling od razu wykazał chęć służenia im pomocą, co więcej: mógł zrobić sobie teraz wolne i dzięki temu towarzyszyć im do Christianii.

Wszyscy pragnęli tam pojechać, by rozwiązać zagadkę pochodzenia Tiril, no i opuścić Bergen, gdzie czyhali na nich wrogowie.

We trójkę stali szczęśliwi w kantorze — uradowani ponownym spotkaniem, czekającym ich wyjazdem, dzięki któremu może uda im się dotrzeć do prawdziwych rodziców Tiril, i tym, że wszystko mniej więcej się ułożyło. Nero podskakiwał, i on także chciał wziąć udział w ogólnej radości.

Opowiedzieli Erlingowi o Christine, która w takim pośpiechu opuściła biuro.

— Niedobrze — westchnął Erling. — Moja siostra jest najbardziej małostkową osobą, jaką znam. To do niej podobne — jako wzorowa obywatelka i przyjaciółka prawa i porządku natychmiast pobiegnie do wójta. A więc mego planu nie da się zrealizować. Miałem zamiar umieścić was w twoim rodzinnym domu, Tiril, bo nikt nie wpadłby na pomysł, że właśnie tam należy cię szukać. Teraz jednak wójt pobiegnie tam nie zwlekając.

Tiril tylko się z tego cieszyła. Nie miała najmniejszej ochoty wracać do domu, z którym łączyło się wspomnienie tylu przykrych przeżyć.

— Tu zostać nie możecie — głośno myślał Erling. — U mnie w domu także, to szaleństwo. A domek w Laksevåg jest obserwowany...

— Przez kogo? — zainteresowała się Tiril.

— Przez dwie różne strony: wójta i twoich prześladowców.
— Niemożliwe, aby wciąż mnie ścigali!
— Nie wiem, Tiril — odparł Erling z powagą. — Na Islandii nie zabawiłaś długo, a widziano ich tuż przed twoim wyjazdem.
— Ojej! — zadrżała przerażona.
— Już wiem! Wśród rozlicznych kramów i magazynów rodziny Müllerów na przystani Bryggen jeden należy do mnie. Kupiłem go jakieś dwa tygodnie temu i tak szczęśliwie się składa, że moja siostra nic o tym nie wie. Spróbuję was od razu tam przemycić, może zdążymy, zanim Christine przyprowadzi mego przyjaciela wójta.
— Doskonale — ucieszył się Móri.
— A ty, mój drogi — oświadczył Erling surowo — natychmiast się połóżysz. Jesteś blady jak chusta, chłopcze! Z uderzeniem w tył głowy nie ma żartów!
Nigdy jeszcze Tiril nie słyszała, by ktokolwiek nazywał Móriego chłopcem. Z powagą jednak skinęła głową i obiecała, że sama tego dopilnuje.

Erling, kochany, wierny Erling przyniósł pościel i jedzenie do starego składu portowego, jednego z niewielu, jakie się zachowały po fatalnym pożarze w 1702 roku. Budynek był dość wysoki, podzielono go jednak na wiele kramów i magazynów. Erling był właścicielem zaledwie niewielkiej jego części. Prowadziło do niej wejście z zabudowanego zaułka tuż przy kei. Kroki idących echem odbijały się od starych grubych desek i solidnych ścian z bali. Pomieszczenie należące do Erlinga znajdowało się na piętrze.

W pewnym momencie Erling wywołał Tiril na schody.
— Tiril, czy ty i Móri... ?
— Co takiego? — spytała naiwnie.
Zniecierpliwił się. Nie bardzo wiedział, jak ma się wyrazić.
— Chodzi mi o to, czy... czy zawarliście umowę? Czy jesteście parą?
— Ach, to masz na myśli! Nie, drogi Erlingu, dobrze wiesz, że nie można zostać narzeczoną Móriego. Jesteśmy bardzo, bardzo dobrymi przyjaciółmi.
Usłyszała głębokie westchnienie ulgi.
— Wobec tego wszystko w porządku. Jutro wieczorem musimy stąd wyjechać. Załatwię sprawę pieniędzy. Czy mam wziąć trochę dla ciebie?
— Wszystkie!
— No, to będzie... Może i tak. Masz wprawdzie w Bergen sporo nieruchomości, ale na podróż przyda ci się gotówka, nie chcę, żebyś miała wobec mnie dług wdzięczności, chociaż chętnie za ciebie zapłacę.
— Jesteś mądrym człowiekiem, Erlingu — rzekła z powagą. — Cieszę się, że znów cię widzę.
Szukał czegoś w jej oczach, lecz na próżno. Odszedł.

Kiedy Tiril wróciła, Móri posłał jej pytające spojrzenie, lecz w odpowiedzi usłyszał tylko wesołe: „A więc znów zamieszkamy razem! Coraz bardziej się do siebie przyzwyczajamy!”

Jedynie Tiril nie była świadoma, że jest jednym z rogów klasycznego trójkąta.

Tiril napisała serdeczny list, który Erling zaniósł do więzienia. Właściwie prosiła go, by wykradł Ester, aby wraz z nimi mogła opuścić Bergen, lecz tym razem Erling stanowczo zaprotestował. Przesłstwa popełnione przez kobietę były zbyt poważne, by dla niej postępował wbrew prawu.

Stało więc na liście. Znalazły się w nim szczere wyrazy wdzięczności, słowa tęsknoty i otuchy, opowiadanie o pobycie na Islandii. Ester po przeczytaniu go w oczach zakręciły się łzy.

Jeszcze raz przypomniała Erlingowi, że Tiril ma odziedziczyć po niej wszystko, co znajduje się w zamkniętej izdebce w chacie na wyspie. Erling w imieniu Tiril gorąco podziękował, nie wspominając Ester ani słowem, że cały jej majątek skonfiskowała korona.

Ester przeszła atak serca. Strażnik więzienny powiedział Erlingowi, że kolejnego najprawdopodobniej nie przetrzyma. Może i lepiej, w ten sposób uniknie szubienicy albo ścięcia. Wyrok już dawno powinien być wykonany, lecz jak na razie z tym zwlekano. Jasne było, że niewiele już życia zostało skazanej.

Erling nie bardzo wiedział, ile z tego ma powtórzyć Tiril. Postanowił wstrzymać się jeszcze przez jakiś czas.

W drodze do domu zatrzymał się na Bryggen i podniósł wzrok na magazyn. Miał ochotę zobaczyć się z Tiril.

Lepiej jednak nie ściągać na nich uwagi.

Wrócił więc do biura. Będzie musiał poradzić sobie z nader usłużną siostrą i ewentualnie wójtem.

No cóż, jakoś to będzie. Jeszcze jeden dzień i wszyscy razem wyruszą z Bergen.

Pod wieczór do Tiril z przeraźliwą jasnością dotarło, że Móri nie jest zdrów. Nie mógł leżeć na plecach, bo rana na głowie sprawiała mu ból. Przekręcił się na bok i rozpaczliwym uściskiem trzymał Tiril za rękę. Wstrząs mózgu wywołał niemalże ślepotę, nawiedzały go omamy z koszmaru, jaki przeżył na Islandii.

Wszystko, czego udało się dokonać Tiril, wydawało się zrujnowane.

Oczywiście wcale tak nie było, bo przecież gdyby na Islandii i podczas podróży powrotnej nie pielęgnowała go tak troskliwie, nie przeżyłby urazu. Teraz był przynajmniej nieco silniejszy.

Światło wpadało do izdebki przez nieduże otwory. Zaczynało się już ściem-

niać, więc Tiril zapaliła świece w przyniesionych przez Erlinga świecznikach. Okienka zasłoniła kawałkami materiału, aby nikt się nie zorientował, że w starym magazynie ktoś przebywa.

Niedługo będzie musiała wyprowadzić Nera na wieczorny spacer, bała się jednak zostawiać Móriego samego.

Tak długo już się nie ruszał.

Śpi? Czy też...?

Dotknęła piersi przyjaciela. Dzięki ci, dobry Boże, oddycha!

Ale stan, w jakim się znajdował, nie był snem. Zwilżyła czoło chorego wilgotną szmatką. Móri nie zareagował, nawet powieki mu nie drgnęły.

Był nieprzytomny.

Mój Boże, nie poradzę sobie z tym, muszę sprowadzić pomoc!

Ale kogo?

Kogo wołano, gdy zachorował ktoś w dzielnicach ubogich? W kim pokładano nadzieję, komu ufano jako osobie znającej się na leczeniu?

Tiril.

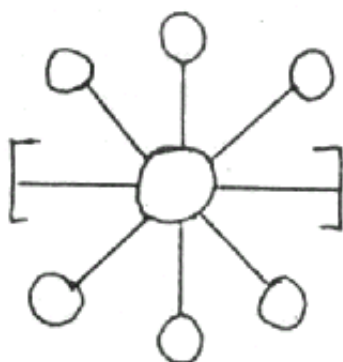
Kogóż więc miała sprowadzić?

Do domu Erlinga iść nie mogła, była tam jego matka, przede wszystkim siostra. Medykowi nie wierzyła, przyjaźnił się z wójtem.

Nikogo innego nie znała.

Gdyby to ona zachorowała, Móri by ją wyleczył Tyle wszak potrafił.

Narysowała na dłoni znak życzenia, ten, którego ją nauczył, i odmówiła serdeczną modlitwę, wyrażając prośbę, by wyzdrowiał.



To jednak nie wystarczyło. Potrzebowała potężniejszych środków.

Ostrożnie zerknęła na podróżną sakwę Móriego. Wiedziała, gdzie przechowuje swe czarodziejskie runy, elementy tajemnej wiedzy. Leżały w oddzielnej kieszeni, widziała, jak wyjmował je stamtąd, kiedy były mu potrzebne.

Przeniosła wzrok na jego twarz, oświetloną migocącym płomykiem świecy. Naprawdę źle wyglądał. Żółtawa bladość rozpościerała się na policzkach, pod oczami kładły się mroczne cienie. Bez wątplenia stan jego był poważny.

Nagle w pamięci pojawiło się kilka słów: „A dla tych, którzy wędrują przez dolinę cieni śmierci. . .”

Tam właśnie znajdował się teraz Móri.

Na próbę wsunęła rękę do worka.

Nie rób tego, Tiril, nie wolno.

Życie Móriego.

Nic o tym nie wiesz. Możesz się pomylić.

Nie wolno mi go stracić. Tak bardzo go kocham, na swój sposób. Można powiedzieć, że mam dla niego bezgraniczny szacunek. Nie jest to zwykła ziemską, cielesną miłość. On jest moim życiem, moim światłem. Moim bogiem. Dla niego przejechałam morza i lądy, nie powstrzymałam się przed niczym, byle tylko go odnaleźć, wiedziałam bowiem, że on potrzebuje mnie, właśnie mnie. Czy mam więc teraz pozwolić, żeby dwaj łajdacy, najgorsze szumowiny, zmarnowali wszystko, co wspólnie z Mórim zbudowaliśmy?

Nawet teraz, chociaż znajdował się na progu śmierci, nie było w nim słabości czy bezradności. Wciąż dawało się wyczuć jego niezwykłą osobowość, bijąca od niego aura oddziaływała na Tiril, która czuła się jak początkujący czeladnik przy swoim mistrzu.

Bo tak przecież było. I ona wyobrażała sobie, że będzie mogła go wyleczyć? Przecież aura Móriego przybrała już barwę śmierci!

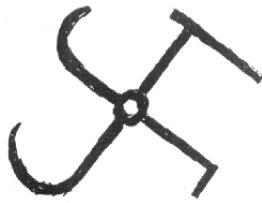
Jej dłoń zaciskała się wokół osobliwych przedmiotów. Ciało przeniknęły wibracje, ogarnęła słabość. Przed oczami ukazały jej się mroczki, jakby zaraz miała stracić przytomność.

Stało się tak dlatego, że runy wykonał nadzwyczaj potężny czarnoksiężnik.

Ostrożnie wyjęła je z kieszeni sakwy.

Było ich tak wiele, że nie mieściły się w dłoniach. Ułożyła więc runy na zakurzonej podłodze, nie mogła ich dłużej trzymać, prądy, jakie wysyłały, wprawiły jej ręce w drżenie.

Kawałeczki drewna pokryte magicznymi znakami. Węgiel brunatny. Jak Móri go nazywał? Surtarbrand. Sporo ją nauczył podczas postojów na Islandii, pokazywał znaki, wyjaśniał, lecz bardzo szybko, żeby nie zdołała niczego zapamiętać. Tiril jednak odznaczała się doskonałą pamięcią, zwłaszcza wtedy, kiedy chciała się czegoś nauczyć, coś więc zostało jej w głowie. Poznała teraz czarodziejskie runy wyryte na kawałkach metalu. Na przykład Młot Tora, wyryty w miedzi pochodzącej z trzech dzwonów kościelnych. Najpotężniejszy ze wszystkich znaków magicznych, odłożyła go na bok, bo mógł się przydać. „Hartowany w ludzkiej krwi w Zielone Świątki. . .”



Młot Tora

Następny znak, wryty w ołowiu, chronił przed urokiem. Tego nie potrzebowała. I wróżebny znak, ryty w srebrze, zdradzający przyszłość. Tiril nigdy nie chciała znać przyszłości. Uważała, że ciekawiej jest nie wiedzieć.

Nie, teraz potrzeba jej czegoś innego...

Może to? Materiał przypominający... Czy to skóra zwierzęcia? A tamten? Na ludzkiej skórze? Bała się zastanawiać nad tym dłużej.

Jednego ze znaków nie ośmieliła się dotknąć. Odruchowo cofnęła przed nim rękę.

Wiedziała, co to jest. Móri mówił jej, że do sporządzenia pewnych znaków trzeba użyć „trupiego strąka” — błony płodowej. Tiril odwróciła głowę, nie chciała nawet na to patrzeć. Zresztą był to znak zapobiegający śmierci na morzu, niepotrzebny teraz.

A oto Róża Miłości, przydatna, kiedy chce się kogoś skłonić do uczucia. I Pieczęć Salomona, na węglu brunatnym. I jeszcze znak dla czarownic wybierających się w podróż...

Nie, nie ma czasu na zastanawianie się nad każdą z run. I tak nie bardzo pamiętała, która do czego służy, było ich tak wiele.

Lecznicze runy... Czego teraz potrzebuje?

Co Móri mówił jej o chorobach?

Kiedy Nero poranił sobie łapy... Móri wyjął wtedy znak, na którym wryto mnóstwo kółeczek. No cóż, Móri nie na to cierpiał.

A kiedy jej dokuczało przeziębienie?

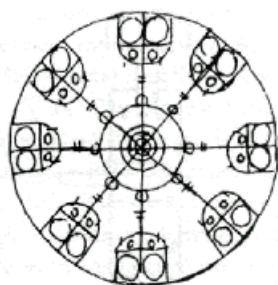
Tak, ten byłby lepszy. Może te runy zdołają uleczyć Móriego?

Ale jak on wyglądał?

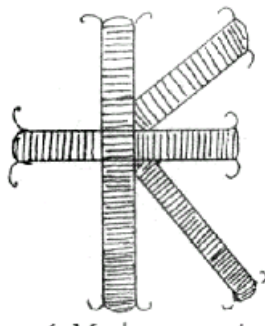
Na wszelki wypadek postanowiła odprawić bardziej uroczysty rytuał. Wybrała znaki, które, jak sądziła, mogą być przydatne, i ułożyła je na ciele Móriego i wokół niego.

Młot Tora umieściła na jednym ramieniu, na drugim — Pieczęć Salomona. Najlepiej zabezpieczyć się na wszystkich frontach. Pieczęć Marka, obdarzona potężną mocą, odsuwa chorobę, przeciwdziała osłabieniu i bólom, na pewno nie zaszkodzi. I jeszcze jeden znak przeciwdziałający chorobie i udręce, ten także postanowiła wykorzystać.

Węzeł Szczęścia Samunda Uczonego. To też brzmi niezle.



Pieczęć Króla Salomona
(jedna z wielu). Wryta
w węglu brunatnym chroni
i sprowadza dobre sny



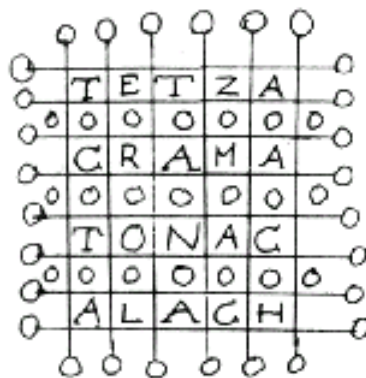
Pieczęć Marka, przeciwdziała
chorobom.

Czy nie było czegoś, co nazywało się „Krzyż Chrystusa”? I „Pieczęć Ducha Świętego”? Nie, to znaki przeciwko rzuconym przekleństwom, w dodatku i tak nie pamiętała, jak wyglądają. Może znak przynoszący szczęście? Albo ostrzegający przed wszelkimi nieszczęściami na lądzie i na morzu? Nie, nie pasowały.

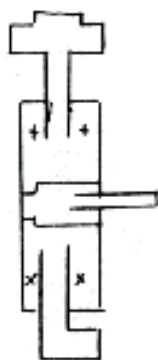
Był też jeden znak, przy którym należało wypowiedzieć jakąś długą formułę, z której niestety nie pamiętała ani słowa, nie wiedziała też, jak wygląda. Czy to któryś z tych, które wybrała?

No, tyle musi wystarczyć.

Ułożyła wybrane znaki wokół Móriego najstaranniej jak umiała, wypowiadając krótkie modlitwy, będące dość chaotyczną mieszanką elementów wiary chrześcijańskiej i pogańskich wierzeń. Czarodziejskie runy były jednak także częścią pogańskiej wiary, nie sądziła więc, by to akurat miało zaszkodzić. Przeciwnie, lepiej zabezpieczyć się na wszystkie sposoby.



Pieczęć Kayyama. Leczy, przeciwdziała bólowi, słabości i innym chorobom. Chroni także przed magią i nieszczęściami. Formuła jaką należy wypowiedzieć: „Chrystus, błogosławione dziecko, siedział przed drzwiami świątyni z pochodnią w jednej ręce, a księgą w drugiej. „Dlaczego płaczesz, mój synu?” — spytała Maria Dziewica. „Jestem ranny i chory”, odrzekł Jezus. „Ulecę cię z bólu nóg i z bólu rąk, z bólu wywołanego żalem i myślami, i z każdego innego bólu”. Choroba odeszła”. Każdy, kto odmówi tę modlitwę, pozbędzie się choroby.



Węzeł Szczęścia Samunda Uczzonego

Nieco wystraszona pogłodziła Móriego po policzku, życząc mu szczęścia. Koniuszki palców dotykające jego skóry przeniknęło cudowne mrowienie.

Teraz Nero musiał już wyjść. Tiril bardzo nie chciała zostawiać Móriego, lecz jeśli ma się psa, trzeba brać pod uwagę i jego potrzeby.

Dla pewności wzięła swego wiernego czworonożnego przyjaciela na smycz. Jeszcze raz zerknęła na Móriego, lecz on wciąż leżał nieruchomo w kręgu zapalonych świec i magicznych znaków.

Przepęłnił ją niezwykle szacunek, wręcz uniesienie. W Mórim tkwiła jakaś przerażająca wielkość, nawet teraz, kiedy leżał na prostym posłaniu, na podłodze w magazynie portowym. Znów ogarnęło ją uczucie, że on jest nie z tego świata, lecz z obcej mrocznej krainy cieni, że jak wilkołak, wampir czy inna nieśmiertelna istota jest niebezpieczny dla ludzi. Zaraz jednak przypomniała sobie, jak rozpaczliwie jego dłoń zacisnęła się na jej ręce, poszukując kontaktu, i zrozumiała jego samotność. Móri był tak niesłychanie skomplikowany.

Ale był jej przyjacielem. Ta myśl ogrzała jej serce.

Na schodach panowały ciemności, a Nerowi bardzo się spieszyło, ciągnął mocno. Tiril, żeby nie stracić równowagi, musiała przytrzymać się ściany.

Coś uderzyło ją w udo. Pomacała w kieszeni spódnicy.

Jedna z czarnoksięskich run Móriego najwidoczniej wsunęła się do kieszeni, kiedy nie chciały jej się pomieścić w dłoniach.

Wzięła znak do ręki, poczuła pod palcami przyjemną gładkość drewna. Musi pamiętać, żeby po powrocie odłożyć go na miejsce wraz z innymi.

Nero spieszył do najbliższego rogu i zaraz zaczął badać, jakie psy były tu już przed nim i zostawiały swoje wizytówki. Tiril w tym czasie delikatnie przesuwiała palcami po wyrytym w drewnie znaku.

Poznała rysunek...



Nie mogła jednak sobie przypomnieć, co to za znak. Wiedziała co prawda, że jest ważny, bo dość długo o nim rozmawiali. Móri mówił podniesionym głosem... Nie, nie pamiętała.

— No, Nero, już wystarczy, idziemy do domu — oświadczyła.

Pies jednak ani myślał wracać. Pociągnął ją w głąb zaułka. Tiril zapierała się obcasami, nie dała jednak rady. Nero był silniejszy.

Bała się, że zobaczy ich ktoś, kto będzie wiedział, że dziewczyna z dużym czarnym psem jest poszukiwana.

Co prawda było już bardzo późno, o tej porze nikt się tu nie kręcił.

Byle tylko Móri zdołał się oderwać od wymyślonych przez siebie istot z bezdennych otchłani, które go nie odstępowały. Gorąco współczuła przyjacielowi, choć rozumiała te koszmary, przecież sama uległa wpływowi jego słów. Nie tylko zresztą ona, tak samo Steinar, Erling i wielu innych.

Czyż nie rozumiał, czyż inni nie mogli pojąć, że to Móri miał tak silną, potężną osobowość, że wydawało się, iż nie jest sam? Przeniósł swoje sny na rzeczywistość i nie potrafił już odróżnić marzenia sennego od prawdy. Posiadał też taką zdolność sugestii, że inni odczuwali to samo co on.

Poważnie się obawiała o jego zdrowie psychiczne. Towarzysze z innego świata? Wytwory wyobraźni. Owszem, Tiril wierzyła w nadnaturalne zdolności Móriego, w jego znajomość wiedzy tajemnej. Ale musi być w tym jakiś umiar!

Do licha! Próbowwała się zatrzymać, ale Nero nie pozwolił.

W lichym świetle latarni ulicznej zobaczyła, że ulicę tuż przed nimi przecięła dama w staroświeckim stroju. Nero parł naprzód, jakby jej nie zauważył, aż wreszcie wyczuł jakiś nader interesujący zapach i gwałtownie zawrócił, nie zwracając uwagi na kobietę, z którą niemal się zderzył, ani na Tiril, którą szarpnął tak, że straciła równowagę.

Tiril oczekiwała, że zaraz spadną na nią gniewne słowa o niewychowanym psie, lecz kobieta spokojnie skierowała się do drzwi jednego z domów. Zniknęła w środku.

Ale...

Serce Tiril podskoczyło w piersi.

Kobieta przeszła przez drzwi, nie otwierając ich!

Wtedy dopiero Tiril zdała sobie sprawę, który z magicznych znaków ścisnęła w palcach.

Znak umożliwiający widzenie duchów.

Wystarczy, by człowiek, który pragnie ujrzeć upiory i zjawy, miał go przy sobie i wyobraził sobie wyryty na nim rysunek. Tego właśnie znaku Móri nie pozwalał Tiril wziąć do ręki!

Rozdział 18

Tiril prowadząc Nera po schodach miała wrażenie, że ledwie żyje. Nie mogła opanować dygotu. Serce biło jej mocno i szybko.

A więc była w stanie widzieć duchy! Nigdy właściwie tego nie pragnęła, w dzieciństwie, a nawet później, trochę bała się ciemności. Pocieszała się tylko tym, że na pewno utraci tę zdolność, kiedy odłoży na miejsce ów straszny magiczny znak.

Rozejrzała się, ale nikogo nie dostrzegła. Dzięki Bogu, dom był przecież stary i wiele mogło się tu wydarzyć.

Móri leżał jak przedtem. Tiril wiedziała, że do jednego ze znaków przypisana jest długa formuła, jakaś historia o Jezusie i Maryi. Co z tego, skoro nie mogła jej sobie przypomnieć? Młotem Tora także należało się posługiwać wraz z zaklęciem, ale miała nadzieję, że i bez tego runy zadziałają.

Najwidoczniej się pomyliła.

Uklękła przy swym niezwykłym przyjacielu. Ujęła go za rękę, by przekazać mu choć trochę swej siły. Dłoń Móriego była lodowato zimna, ale ręce zawsze miał chłodne, i widziała przecież, że oddycha.

Ogarnęła ją czarna rozpacz.

Zapomniała o kobiecie, o której zamierzała mu opowiedzieć, o tym, że chciała się przyznać do zabrania jednego z jego magicznych znaków, i przeżyciu tego, przed czym tak bardzo chciał ją uchronić. Zapomniała o podnieceniu wywołanym tym, co widziała. I o postanowieniu, że przekona go, iż wszystkie jego wizje podziemnego świata były jedynie wytworami wyobraźni, że musi przestać o nich mówić, bo inaczej ludzie zaczną myśleć, że oszalał.

Zamiast tego pogrążyła się w bezdennej rozpacz.

Następnego wieczoru mieli przecież wyjechać! Erling wszystko przygotował, musieli uciekać z Bergen.

Jedno spojrzenie rzucone na Móriego wystarczyło, by stwierdzić, że podróż absolutnie nie wchodzi w rachubę. Móri nigdzie nie mógł jechać.

Konno? Przez wiele dni? Przecież on nie jest w stanie podnieść się z postania!
— O, Móri, Móri, najdroższy przyjacielu! — jęknęła.

Płacz ścisnął ją za gardło, nie potrafiła znaleźć wyjścia z tej beznadziejnej sytuacji.

A jeśli Erling będzie nalegał na wyjazd? Czy mają zostawić Móriego samego? Czy Erling może przypuszczać, że ona opuści przyjaciela w potrzebie?

Pogładziła go po czole opalonym islandzkim słońcem. Skóra była wilgotna od potu, lepiły się do niej ciemne włosy.

Za wszelką cenę musi pohamować płacz.

Powinna była być przygotowana na taki rozwój wydarzeń, niestety nie przyszło jej to do głowy.

Nagle kątem oka coś dostrzegła. To Nero, powiedziała sobie w duchu. Ale Nero jest przecież czarny.

Rzeczywiście było to zwierzę. A raczej coś, co kiedyś było zwierzęciem.

W pierwszej chwili przeraziła się tak bardzo, że dech zaparło jej w piersiach, a potem wybuchnęła płaczem.

— Och, nie, to niemożliwe — szeptała wielka przyjaciółka żywych stworzeń.
— Co oni z tobą zrobili?

Istota, która kiedyś mogła być psem, lecz równie dobrze innym zwierzęciem, kulejąc, na trzech nogach podeszła do postania i ułożyła się pomiędzy Tiril a Mórim, w ulubionym miejscu Nera. Teraz jednak Nero spokojnie spał pod drzwiami, pilnował, by nie wtargnął żaden nieprzyjaciel. Nie brał pod uwagę, że obcy mogą przybyć z wnętrza pomieszczenia.

Tiril usiłowała się zorientować, czy ma do czynienia z psem, czy może z wielkim kotem, lecz kości zwierzęcia były odsłonięte, a łapy tak zmaltretowane, że trudno było je rozpoznać. Zwierzę spoglądało na nią jednym okropnym okiem. Tiril wyciągnęła rękę i delikatnie pogłaskała stworzenie po łbie. Musiała bardzo uważać i znaleźć fragment, na którym sierść była gęściejsza, bo w wielu miejscach wystawało spod niej poszarpane ciało. Teraz nawet już nie próbowała powstrzymać się od płaczu.

— Biedny, biedny przyjacielu! Jaką krzywdę potrafią ludzie wyrządzić zwierzętom! Tylko dlatego, że jesteśmy silniejsi i potrzebujemy kogoś, na kim można się wyżyć? Żeby jeszcze mocniej poczuć, że jesteśmy panami? Co mogę dla ciebie zrobić? Mam trochę jedzenia. . .

Znalazła resztki kolacji Nera, które zachowała na śniadanie dla ulubieńca. Położyła je przed udęczonym zwierzęciem z nadzieją, że nie jest to przedstawiciel roślinożerców. Naprawdę nie dawało się określić gatunku, jaki reprezentował.

Każda kosteczka jego ciała zdawała się połamana, nie sposób było rozpoznać maści ani rodzaju sierści.

Zwierzę musiało znieść trudne do opisanego cierpienie.

Bezradnie próbowała oczyścić najbardziej rozjątrzone rany, lecz od czego miała zacząć? Górna warga zwierzęcia była całkiem oderwana, zęby szczyrzyły się w uśmiechu, który mógł się wydawać przerażający i złośliwy, gdyby nie bezdenny smutek w oku.

— Co mogę zrobić? Co robić? — szepnęła.

Podniosła kawałek mięsa przeznaczony dla Nera i podsunęła zwierzęciu.

Popatrzyło na nią przygnębione, a potem otworzyło pysk i ostrożnie przyjęło poczęstunek. Przy przeżuwanym wyraźnie odczuwało ból.

Tiril zrozumiała wówczas, że pies — postanowiła myśleć o nim jak o psie — nie jest tylko wytworem wyobraźni. Zjadł to, co mu dała.

Ucieszona przysunęła miseczkę z wodą. Pies, najwyraźniej spragniony, pił długo, łapczywie. Kiedy miska była pusta, ułożył się z powrotem w tym samym miejscu. Ale ze spojrzenia, jakim obrzucił Tiril, płynął spokój i ufność.

Spostrzegła, że w jego ogólnym wyglądzie coś się zmieniło. Rany na łapach się zagoiły. Teraz rozpoznała w nim wilka. Tiril poczuła bezgraniczną radość.

— Dostaniesz jeszcze — powiedziała wzruszona. — Dostaniesz wszystko, co tylko zechcesz!

— Znakomicie się popisałaś — rozległ się czyjś głos. Brzmiał w nim nieskrywany podziw.

Podniosła głowę i na jednej z ukośnych belek podpierających ściany zobaczyła jakąś siedzącą postać. Prędko odwróciła wzrok.

Cóż to, na miłość boską, za istota? I dlaczego tak ją przerażała, wygląd przecież miała w miarę normalny, a jednak wydała jej się paskudna i odrażająca.

Uplęnęła dobra chwila, zanim zdała sobie sprawę, co też czyniło zjawę taką straszną. To nastrój Tiril nagle się zmienił, ogarnęło ją przygnębienie, ponura rozpacz. Nie mogąc się powstrzymać, zawołała:

— Przepadnij! Nie zniosę tego, nie wytrzymam!

Mężczyzna westchnął.

— Wiem. Przykro mi, ale to nie moja wina.

Wyglądał prawie jak człowiek, lecz nie był człowiekiem. Jak mówił o nim Móri? „To”?

— Wybacz mi mój okrzyk, panie — poprosiła Tiril. — Wiem już, kim jesteś, wiem też, że kiedyś byłeś pięknym mężczyzną.

— To prawda.

— Byłeś nadzieją, która się rozwiązała.

— Tak. Za każdym razem, gdy ludzie wszczynają wojnę lub wiodą prywatne boje, coś we mnie niszczy i coraz trudniej patrzeć na mnie bez lęku.

Tiril w istocie nie mogła na niego patrzeć. Miała wrażenie, że każde spojrzenie rzucone na ową istotę kładzie na jej duszy niewypowiedziany ciężar i uchodzi z niej wszelka ochota do życia.

Chcę umrzeć, pomyślała. Bo nie ma żadnej przyszłości, ani dla mnie, ani dla Móriego, ani dla całej ludzkości. Pragnę śmierci!

Nie, nie wolno mi tak myśleć! Muszę być dobrą gospodynią, nie miałam ku temu okazji od czasu, gdy mieszkałam w Laksevag. I nie wolno mi tracić nadziei!

— Czy zechcesz dzielić z nami nasze skromne pożywienie, panie? — spytała uprzejmie.

Podziękował jej ruchem dłoni, ale uśmiechnął się z wdzięcznością.

— Jesteś dobrą dziewczyną — odezwał się kolejny głos za jej plecami.

Odwróciła się gwałtownie. Musiała odchylić głowę mocno do tyłu, by zobaczyć istotę, która za nią stała.

Pochylał się nad nią mężczyzna niezwykle wysokiego wzrostu, o szerokich ramionach. Głowę wysuniętą miał przód jak u kondora, ciężką, z przesadnie wysokim czołem i głęboko zapadniętymi oczyma. Mężczyzna był kompletnie łysy, ubrany w czarną szatę, może pelerynę.

Z twarzy wyczytać jednak się dało inteligencję, a także rozpoznać południowe rysy. Tiril natychmiast się zorientowała, z kim ma do czynienia. Pomimo jego niebywałej brzydoty — Tiril musiała się odwrócić, ponieważ Ogarneły ją młodości — poczuła dla niego pewną sympatię.

Popatrzyła na niego raz jeszcze, wstała i dygnęła.

— Ty jesteś nauczycielem Móriego, panie, prawda? Wielkim czarnoksiężnikiem rodem z Hiszpanii? Pomimo twej bladej twarzy dostrzegam pewne mauretańskie cechy, one właśnie naprowadziły mnie na tę myśl.

— Masz całkowitą rację — rzekła przerażająca postać, górująca nad nią niczym występ skalny, mogący w każdej chwili runąć w dół.

— I co... co myślisz o swym uczniu, panie? Czy okazał się godzien twojej pomocy?

— Móri jest najpotężniejszym z obecnie żyjących czarnoksiężników. Nierozsądnie jednak postępuje ze swym życiem, naraża je na wielkie niebezpieczeństwa.

— Wiem o tym — rzekła Tiril zasmucona. — Ale niełatwo nim kierować ani go upilnować.

— To prawda. Nie tylko ja tego doświadczyłem.

Ręką wskazał Tiril, że w niedużej izbie zaczyna robić się ciasno.

Dziewczynie zaparło dech w piersiach. Istota o prawdziwie nieziemskiej urodzie! Jasnowłosa kobieta spoglądała na Móriego z niepokojem i rezygnacją w oczach.

— Pomóżcie mu! — błagała Tiril. — Nie odbierajcie mu wsparcia duchów opiekuńczych, on tak rozpaczliwie potrzebuje was obojga!

Wcześniej zauważyła, że mężczyzna, ten, który pozostawił Móriego sam na sam ze złymi mocami, stoi za kobietą.

— On sam tego chciał — łagodnym głosem rzekła kobieta. — Wielu uważa, że magia to prosta droga do szczęścia i władzy. W rzeczywistości jednak jest

odwrotnie. Traci się więcej, niż można zyskać. Nic już nie możemy dla niego zrobić.

Spojrzenie Tiril skrzyżowało się ze wzrokiem opiekuna-mężczyzny. Długo przyglądali się sobie badawczo. W końcu mężczyzna uśmiechnął się na znak, że zrozumiał, iż Tiril wie, kim on jest.

Nie padły jednak żadne słowa.

Jak cicho jest na zewnątrz!

Bergen spało. Także w niewielkiej izdebce zapanowała cisza. Tiril przenosiła wzrok z jednego gościa na drugiego.

Wbrew swej woli musiała przyznać, że wszystko, co opowiadał jej Móri, jest prawdą. Nie śniła. Czowała przewiew ciągnący po podłodze, ostry zapach myszy, słomy, smoły i starego stęchłego kurzu. Słyszała spokojne oddechy Móriego i Nera. Płomyki świec niespokojnie migotały.

Przybyli kolejni goście.

Tiril zaparło dech w piersiach. Ze strony dwóch kobiet nic jej nie groziło. Wciąż były piękne, lecz wkrótce miała je zniszczyć nienasycona chciwość ludzi i ich bezwzględność. Tak powiedziały Móriemu panie powietrza i morza.

Zaśmiała się krótko nerwowym śmiechem, graniczącym z histerią.

— Dobrze, że żadna ze złych mocy nie zdołała sforsować zapory — stwierdziła. — Inaczej one także by się tu znalazły.

— Z pewnością — odpad nauczyciel. — Ale twój pies uratował Móriego. Po raz kolejny! I do pewnego stopnia ty. Akurat w chwili, gdy złe moce miały się przedrzeć przez zwały chmur, ocaliła go myśl o twoim psie i o tobie. Spadł na dół.

— Ja? Ja ocaliłam Móriego?

— Tak. A raczej przywiązanie Móriego do ciebie. Bliskość, jaka was łączy.

Gdy spostrzegł, że się zmieszała, powiedział:

— Nie musisz się niczego obawiać z naszej strony. A jeśli odłożysz magiczny znak, który masz w kieszeni, nie będziesz musiała na nas patrzeć.

— Ach, oczywiście!

Tiril już wsunęła dłoń do kieszeni, kiedy ujrzała jeszcze jedną istotę. Odruchowo podniosła rękę do ust żeby powstrzymać krzyk. Cofnęła się pod ścianę.

Nie musiała się długo zastanawiać, wiedziała, że ma przed sobą Nidhogga. Do tej pory krył się w cieniu, teraz jednak postanowił się pokazać.

Nie, to było więcej niż mogła znieść. Nidhogg z „Eddy” był przypominającą smoka istotą, która mieszkała pod ziemią i podgryzała korzenie Yggdrasilla, Drzewa Wszechświata. To stworzenie było czymś pośrednim między baśniowym potworem a człowiekiem. Żółtobiała, wydłużona twarz o długich ostrych zębach zdecydowanie należała do makabrycznego świata fantazji.

Tiril pociemniało w oczach, lecz zmusiła się do patrzenia na stwora. Powitała go ukłonem i powtórzyła zaproszenie do poczęstunku.

Istota wydała z siebie cichy, skrzekliwy śmiech i wbiła potworne kły w drewnianą belkę, oderwała kawałek potrząsnęła głową. Tiril odetchnęła drżąc. W oczach zakręciły jej się łzy upokorzenia. Przecież chciała tak dobrze!

Brakowało teraz tylko jednego z towarzyszy Móriego: Pustki.

— Pustka nie przyjdzie — oświadczył nauczyciel, jakby czytał w jej myślach. — Bo wokół ciebie nie ma pustki, Tiril z ludzkiego rodu. Nadajesz życiu ludzi sens i sprowadzasz radość. A teraz odłóż magiczny znak, wtedy znikniemy.

Z portu dobiegło kilka uderzeń dzwonu okrętowego, poza tym panowała niezwykła cisza, jak gdyby znajdowała się na bezludnym pustkowiu, a nie w tętniącym życiem mieście.

— Chyba całkiem nie znikniecie?

— Nie, przez cały czas krążymy wokół naszej zdobyczy: Móriego.

Tiril zebrała się na odwagę i powiedziała dokładnie to, co chciała:

— Nie podoba mi się słowo „zdobycz”. Ale proszę, abyście zostali jeszcze przez chwilę. Wiecie, że jestem gotowa uczynić wszystko dla mego przyjaciela.

— Wiemy, bez ciebie przekroczyliby granice i stał się jednym z nas.

Z sercem w gardle wpatrywała się w górującą nad nią przerażającą postać upiora czarnoksiężnika z zamierzchłych czasów.

— Czyż nie chcecie, by wykorzystywał swe niezwykle umiejętności na tym świecie?

— Świat nic nas nie obchodzi. Nic dobrego nas na nim nie spotkało.

Tiril odetchnęła głęboko, by ukryć, jak bardzo się boi.

— Proszę więc, abyście zrobili to dla mnie. Nie mam sił, by teraz mu pomóc. Musimy wyruszyć w drogę przed upływem jednej doby, a Móri nie może się nawet podnieść. Naprawdę jesteśmy zmuszeni jechać dalej. Ale ja nigdy nie opuszczę mego przyjaciela. Bez waszej pomocy oboje zostaniemy uwięzieni i być może wkrótce umrzemy.

Stali w milczeniu. Tiril przyszła do głowy szalona myśl, że oni porozumiewają się ze sobą bez słów.

W końcu przemówił nauczyciel, jego głowa zwisała nad dziewczyną niczym głowa starego żółwia.

— Ze względu na ciebie, i twego dzielnego, wiernego psa, przyjdzie ci z pomocą Zwierzę. Nidhogg w podzięce za okazaną mu dobroć także robi, co w jego mocy. Ja również. Za ciepło, jakie łączy ciebie i Móriego, panie nieba i mórz uczynią, co tylko będą mogły. W twym czystym, gotowym zawsze nieść pociechę sercu utracona nadzieja dostrzega światelko rozjaśniające mrok. A opiekunka Móriego gotowa jest dać mu jeszcze jedną szansę.

Tiril w podzięce skłoniła głowę. Nie zdołała ukryć uśmiechu radości i ulgi.

Potem zwróciła się do ostatniego, mężczyzny, ducha opiekuńczego Móriego.

— Ty się jeszcze nie wypowiedziałeś, panie. W życiu Móriego uczyniłeś niewiele albo wręcz nic.

Mężczyzna, który bez słowa towarzyszył Móriemu w podróży poprzez inne wymiary, przemówił po raz pierwszy:

— Nie miałem ku temu okazji. Mój czas na ziemi upłynął, zanim jeszcze jego się rozpoczął. Ale to ja się teraz za nim wstawiłem.

Tiril padła na kolana.

— Dzięki ci, Hraundrangi-Móri — rzekła cicho. — Możesz być, panie, dumny ze swego syna.

Ujęła dłoń Móriego i siadła przy nim.

Mężczyzna uśmiechnął się.

— A więc odgadłaś to, co jemu nigdy nie przyszło do głowy. Zaopiekuj się nim, moja droga!

— Z waszą pomocą na pewno wszystko będzie dobrze.

Okaleczony wilk kulejąc podszedł do Nera i obwąchał go. Tiril obserwowała to ze strachem. Bardzo bała się o swego ulubieńca.

— Nie lękaj się, życie twego psa zostanie przedłużone — cicho powiedział nauczyciel.

— Och, naprawdę? — westchnęła uszczęśliwiona. — Serdeczne dzięki! Największym moim zmartwieniem było to, że psi żywot trwa tak krótko.

Zwierzę wróciło do niej. Patrzyli na nią wszyscy.

— Dziękuję — szepnęła. — Dziękuję, jestem taka szczęśliwa, że nie wiem, jak to wyrazić. I żegnajcie!

Wyjęła z kieszeni kawałek dębowego drewna z rysunkiem magicznego znaku i schowała go do worka Móriego.

Izdebka opustoszała.

Tiril siedziała oparta o ścianę, nie wypuszczając z ręki chłodnej dłoni przyjaciela.

Cisza wokół niej była ogromna.

To się nie zdarzyło, przekonywała samą siebie oszołomiona. Nie potrafiła zebrać myśli, przemykały przez głowę oderwane od siebie. Znów snułam pobożne życzenia. Pod wpływem fantazji Móriego stworzyłam własne.

Przez nieszczelną ścianę przecisnął się powiew wiatru, podrywając do góry kurz z podłogi. Zamigotały świece.

Ich blask przez moment padł na drewnianą belkę. Wyraźnie było widać, że całkiem niedawno ktoś odłupał z niej kawałek, jakby koń zawadził zębami o żłób.

Poczuła uścisk dłoni Móriego. Przeciągnął się.

— Tiril? Siedzisz tutaj?

Pochyliła się nad nim. Nie śmiała wierzyć własnym oczom.

— Najdroższy przyjacielu, odzyskałeś przytomność?

Usta Móriego rozciągnęły się w uśmiechu, ale nie dało się zrozumieć wypowiedzianych przez niego słów.

— Co mówisz?

Powtórzył:

— Blask twoich oczu. Twoje oczy znów błyszczą, Tiril!

— To chyba nic dziwnego. Jak się czujesz?

Móri usiadł.

— Czuję się silny i zdrowy, gotowy, by podbić świat.

Dziękuję, pomyślała Tiril. Dziękuję wam, on zdoła jutro opuścić Bergen!

Zdmuchnęła świece.

— Ty może się już wyspałeś, ale ja muszę się choć trochę zdrzemnąć.

— Oczywiście. Ja też jeszcze będę spał. Czuję się taki spokojny, odprężony.

Odwrócił się na drugi bok. Tiril ułożyła się za jego plecami i naciągnęła okrycie na oboje.

Otoczyła ramieniem pierś przyjaciela, poczuła, że nie jest już tak koścista jak przedtem. Wpasowała kolana w zagłębienie jego kolan — mieściły się idealnie — i starała się ogrzać mu plecy.

— Wszystko będzie dobrze, Móri. Bylebyś tylko był zdrow, poradzimy sobie z każdym kłopotem. Ty i ja.

Neto przytulił się do niej. Wszyscy troje — poprawiła się.

Rozdział 19

Bergen nie słyńie z jasnych słonecznych dni, lecz nazajutrz powitała ich piękną pogodą.

Erling zastanawiał się, czy nie lepiej wyprawić się do Christianii statkiem. Myślał o Mórím, któremu zapewne z trudem przyjdzie znieść trudy kolejnej podróży. Przeprowa statkiem trwała co prawda dłużej, lecz była znacznie wygodniejsza. Erling lubił wygodę.

W portowym magazynie powitał go jednak zdrowy i radosny Móri.

— Co się z tobą stało? — spytał zdumiony Erling. — To chyba jakieś czary!

— Rzeczywiście można tak to ująć — tajemniczo uśmiechnęła się Tiril.

— Sam tego nie rozumiem — przyznał Móri. — Owszem, guz na głowie jeszcze pobolewa, ale to drobiazg. Nagle poczułem się całkiem zdrów. Nie pamiętam, bym czuł się tak dobrze od czasu tego nieszczęsnego eksperymentu w kościele na Islandii. Musiałem przejść jakiś kryzys.

— To wspaniale! W takim razie możemy jechać konno — stwierdził Erling. — Zadbalem o twojego wierzchowca, jest więc przygotowany do drogi. A Tiril może wziąć jednego z naszych. Tiril, czy ty właściwie umiesz jeździć konno?

— Nie pytaj — odparła nie bez goryczy. — Nauczyłam się na Islandii. A raczej dowiedziałam, co to jest.

Erling spoważniał.

Moja siostra bardzo się postarała! Wójt był u mnie i oznajmił, że widziano was w Bergen. Odparłem, że już o tym słyszałem, ale was nie widziałem. O podróży do Christianii wspominałem od dawna, nikt więc nie będzie się dziwił, jeśli wyjadę teraz.

Tiril spoglądała przez okno.

— Raniutko wyjrzałam przez zasłonkę — powiedziała — żeby sprawdzić, czy jest już jasno, i wtedy zobaczyłam na rogu jakiegoś mężczyznę. Stał odwrócony plecami i patrzył na port. Wydało mi się, że bardzo przypomina starszego z dwóch napastników, tego z kozią bródką. Ale mogłam się pomylić. Kiedy zerknęłam jeszcze raz, zniknął.

— Wieść, że wróciliście, z pewnością rozniosła się prędko, a zatem to całkiem

możliwe. Musimy jak najprędzej wyruszyć. Dobrze by było jechać powozem, ale podróż trwałaby zbyt długo. Niestety, bo w powozie człowiek tak się nie kurzy.

— Pojedziemy konno — zdecydowała Tiril. — Nero przywykł już do biegu przy koniach. I norweskie trawiaste drogi będą przyjaźniejsze dla jego łap niż islandzkie pola lawy.

Przy słowie „łapy” przypomniała sobie nieszczęsną istotę, którą ujrzała nocą, i umilkła. Żaden z mężczyzn nie wiedział o jej przeżyciach.

A jednak nieświadom niczego Erling nawiązał do tego tematu:

— Wiem, że to, co powiem, nie pasuje do trzeźwego, mocno stąpającego po ziemi kupca, raczej będzie w waszym stylu, ale wydaje mi się, że nie pojedziemy sami, towarzyszyć nam będzie ktoś jeszcze. Wybaczcie mi, jeśli mówię niemiędrze, ale zauważyłem to już wówczas, kiedy się spotkaliśmy, Móri. Czy to, co powiedziałem, jest głupie?

— Nie ty jeden tak to odczuwasz, Erlingu — rzekł Móri z powagą. — Powiedzmy tylko, że sporo przeżyłem na Islandii.

— Musiałeś mieć naprawdę różne doświadczenia — mruknął Erling.

Po twarzy Móriego przemknął jeden z jego uśmiechów — przelotny, lecz pełen smutku i śladów tajemnej wiedzy. Tiril kochała te uśmiechy. Uważała je za swoje zwycięstwo.

Ale jednocześnie Tiril dokonała odkrycia, które napełniło ją strachem:

Nagle ujrzała Erlinga Müllera w zupełnie innym świetle.

Nie, nie zapomniała swojej siostry Carli. Absolutnie nie chciała jej zranić, przestając łączyć Erlinga z jej wspomnieniem.

Popatrzyła na niego jednak swymi własnymi oczyma, nie oczyma Carli. I odkryła, że jest nie tylko bardzo przystojnym mężczyzną. Był również pociągający.

A to całkiem zmieniało postać rzeczy.

Co się ze mną dzieje? — pomyślała. Kochany wierny Erling! Wybraniec Carli. Mój przyszły szwagier, którym nigdy już nie zostanie.

Stała patrząc, jak Erling rozmawia z Mórim, a policzki jej płonęły. Z Mórim, niezwykłym, nie z tego świata.

Ale Erling był rzeczywisty. Był żywym, młodym mężczyzną, mogącym stać się przedmiotem marzeń każdej kobiety.

Gdzie ona miała oczy?

Co się z nią teraz dzieło?

Odwróciła się gwałtownie, aby nikt nie zobaczył, jak bardzo się zaczerwieniła. Miała także wrażenie, że oczy jej aż pociemniały. I na pewno słyszeli, jak mocno bije jej serce.

Czy uczynili to towarzysze Móriego, aby go przed nią ochronić? Nie, nie miała przecież teraz przy sobie tamtego magicznego znaku, tylko ten, który ją chronił przed nimi!

W poczuciu bezsilności jęknęła cicho. Wszystko nagle tak się skomplikowało. A przecież nie powinno, w ten sposób sytuacja powinna stać się jaśniejsza, prostsza.

Ogarnięta niepokojem zaczęła pakować to, co mieli zabrać ze sobą w podróż. Miseczka Nera, jego smycz. Jej osobiste rzeczy, których nie było zbyt wiele...

Mój Boże, chyba jakiś mężczyzna może mi się wydać pociągający, nie muszę od razu się w nim zakochiwać! Zresztą nie kocham się w Erlingu. Ani w Mórim. W nikim!

Rzecz po rzeczy wrzucała do swej podróżnej skrzyni. Głupia, głupia, głupia Tiril!

Gdy zapadł zmierzch, wyruszyli z miasta na wschód.

Erling do ostatniej chwili nalegał, żeby wzięli powóz. Nie uchodzi jechać konno jak wędrownie rzezimieszki! Chciał utrzymać styl, do jakiego przywykł. Nie-nagannie ubrany na każdą okazję, zawsze gotów na spotkanie z osobą wysokiego stanu.

— Zakurzymy się — prychał.

— W powozie też nam to grozi — odparła Tiril. — Kto wie, czy nie bardziej.

— Może padać deszcz.

— Owszem, to bardzo prawdopodobne.

Móri wmieszał się w rozmowę.

— Drogi, którymi będziemy jechać, nie nadają się dla powozu.

— Doprawdy? A którądy pojedziemy?

— Przez góry. Żeby jak najprędzej dotrzeć na miejsce.

Erling zganił Tiril wzrokiem.

— Ty, jako dama, nie powinnaś...

Tiril nie mogła już dłużej tego słuchać.

— A więc zostań w domu, przeklęty snobie! A rano prawie się w tobie zakochałam! Idź do diabła!

Zapadła cisza. Twarz Móriego pozostawała jak wykuta z kamienia. Erling wpatrywał się w nią zdumiony.

— Przepraszam! Proszę, zapomnij, co powiedziałam. To nie była prawda, po prostu się rozgniewałam.

— Jedziemy konno — ustąpił Erling. W oczach pojawił mu się koci błysk zadowolenia.

Jechali bardzo szybko, bo tego popołudnia wiele się wydarzyło. Wójt pragnął spotkać się z Erlingiem, czego, rzecz jasna, Erling absolutnie sobie nie życzył.

Christine znów doniosła, twierdziła, że brat spotkał się z parą uciekinierów. Erling nie chciał oszukiwać przyjaciela- wójta.

Otrzymał także liścik miłosny od Amalie Drake, w którym nawiązywała do pewnych momentów poprzedniej nocy i przypominała o umówionym wieczornym spotkaniu. Erling całkiem o tym zapomniał, poprosił więc matkę, by przekazała kochance wiadomość o jego nagłym wyjeździe do Christianii. Pragnął ostatecznie zakończyć ich krótki romans, ale o taką przysługę matki prosić nie mógł. Bał się, że może zareagować zbyt histerycznie.

Poza tym dwaj złoczyńcy zaczęli węszyć po dzielnicach wokół portu. Widziano ich kilkakrotnie. Tiril i Móri zrozumieli, że musieli wpaść na jakiś trop i mieli lepsze wiadomości niż sam wójt: domyślali się, w jakich rejonach miasta może przebywać Tiril.

Erling czekał na nich za granicami Bergen. Miał konie pod wierzch i dwa juczne; załadował na nie wszystko, co zabrał z domu Tiril, którym zarządzał pod jej nieobecność. Wziął tylko rzeczy potrzebne jej w czasie podróży. Poza tym konie niosły jego bagaż i trochę próbek towarów.

— Nie powinienesz być tego zabierać — zaprotestował Móri.

— Dlaczego nie połączyć korzyści z przyjemnością? — wesoło odparł Erling.

Tiril i Móri popatrzyli po sobie. Erling najwidoczniej nie w pełni zdawał sobie sprawę z grożącego im niebezpieczeństwa.

Bagaż Móriego był ograniczony do minimum. Zmieścił się w jego sakwie podróźnej. Móri dostał nowe buty od Erlinga, jego stare miały już bardzo zdarte podeszwy.

— Gdzieś ty właściwie chodził? — spytał Erling, kiedy je zobaczył. — Sądzilem, że przede wszystkim jeździłeś wierzchem.

Móri znalazł jakąś wymijającą odpowiedź.

Ludzi wójta się nie bali, ci, którzy opuszczali miasto, przestawali interesować stróżów porządku. Wszyscy troje jednak nie mogli pozbyć się wrażenia, że dwaj nieznajomi prześladowcy depczą im po piętach.

Wrażenie pozostaje jednak tylko wrażeniem. Nie mieli żadnej pewności.

Tiril, Móri i Steinar tworzyli zgraną grupę. O wiele trudniej było podróżować z Erlingiem.

Choć zawsze pozostawał lojalny wobec swych trojga przyjaciół — Tiril, Móriego i Nera, nie przywykł do trudów i niewygód. Na co dzień zmagał się z innymi sprawami: zawikłanymi negocjacjami, niezgodnymi rachunkami, ściąganiem długów, transportami, które nie dotarły na czas. Przywykł, że obsługiwali go służący, był rozpieszczany przez rodzinę i bardzo, bardzo serdecznie witany we wszystkich eleganckich kręgach. Bogatemu i przystojnemu kawalerowi z dobrej rodziny niczego się nie odmawia.

Erling upierał się, by nocowali w zajazdach. Pod gołym niebem? Czy oni poszaleli, przecież to nie uchodzi! Czy Móriemu nie przyszło do głowy, że jest z nimi młoda dama z najlepszego towarzystwa?

Oboje westchnęli znużeni jego narzekaniem.

— Erlingu, ty także spróbuj nas zrozumieć — powiedziała Tiril. — Na Islandii nie ma zajazdów. Tutaj także nie. Może są jakieś w pobliżu Bergen, może bliżej Christianii. Ale w drodze? Będziemy jechać przez puszcze i górskie płaskowyże. Nie martw się, Erlingu, nie jestem laleczką z porcelany, dobrze o tym wiesz. Uważasz, że nie umiem zachować godności w otoczeniu surowej przyrody?

— Tiril naprawdę to potrafi — poparł ją Móri. — Ona nie stanowi dla nas żadnego problemu. W przeciwieństwie do ciebie, Erlingu.

Wówczas Erling zrozumiał, że to on utraci godność, jeśli wciąż będzie się upierał przy swych wymaganiach. Uśmiechnął się do przyjaciół i skinął głową.

— Ja też sobie poradzę. Ale jeśli akurat będziemy mijać zajazd. . .

— To oczywiście się w nim zatrzymamy — dokończył Móri. — Jasne! Pamiętaj tylko, że jeśli ktokolwiek jedzie naszym śladem, to przede wszystkim będzie nas szukał po zajazdach.

— Rozumiem.

Od tej pory z całych sił starał się udawać, że jest zahartowanym podróżnikiem, by w ten sposób zyskać sobie uznanie Tiril.

A za nimi pospieszały milczące niewidzialne istoty, które Erling odczuwał jako nieprzyjemny powiew na karku, a które pozostała dwójka w pełni zaakceptowała.

Zjechali w doliny ciągnące się na wschód od Hardangervidda i wtedy coś zaczęło się dziać. Podczas przeprawy przez góry pogoda im dopisywała, mieli o wiele więcej szczęścia niż Móri i Tiril na Islandii. Erling co prawda trząśnięty z zimna na chłodnym wietrze i uważał, że warunki noclegowe są gorsze niż przypuszczał, skończenie prymitywne, lecz ponieważ nikt inny nie narzekał, on także zachowywał komentarze dla siebie.

Zauważył, że Tiril zaczęła patrzeć na niego inaczej. Jej stosunek do niego wyraźnie się zmienił od czasów obojętności, jaką okazywała mu w Bergen. Uznał to za oszałamiające zwycięstwo. Nigdy jeszcze nie czuł się tak szczęśliwy jak podczas tej podróży i nie przestawał zabiegać o względy dziewczyny.

Tiril z początku przyjmowała jego podziw ze zdumieniem, które potem przerodziło się w zachwyty. Jakież to emocjonujące, zwłaszcza że Erling także nie był jej obojętny.

Móri pozostawał milczący. Szukał towarzystwa Nera, zajmował się końmi i bez słowa wykonywał przydzielone mu zadania.

W jednej z dolin, której nazwy żadne z nich nie znało, bo po prostu kierowali

się według słońca, Tiril zwróciła uwagę na Móriego stojącego przy koniach. Zauważyła, że kiedy rozmawiała z Erlingiem, Móri od czasu do czasu zerkał na nich ukradkiem.

Poczuła ukłucie w sercu. Zdała sobie nagle sprawę, że przez ostatnie dni zaniedbała swego przyjaciela. Ale z Erlingiem tak wspaniale się rozmawiało, zawsze był przy niej (prawdę mówiąc, to przez jego starania Móri musiał jechać albo z tyłu, albo z przodu) i nigdy nie brakowało im tematu do rozmowy. Tiril wypytywała o starych znajomych z Bergen, o życie towarzyskie, z którego już dawno się wycofała. On powtarzał jej ploteczki i opisywał drobne skandale, dużo się śmiali.

Móri odwrócił się plecami. Rozsiodływał konia.

— Wybacz mi, Erlingu, muszę pomówić z Mórim — przerwała mu Tiril w pół zdania.

Podbiegła do koni.

— Czy mogę ci pomóc, Móri?

Drgnął, nie słyszał, że nadchodzi.

— Nie trzeba, poradzę sobie sam.

A jednak zaczęła mu pomagać. Płacz ścisnął ją w gardle. Jak też ona się zachowywała!

— Czujesz się już całkiem zdrow?

— O, tak! A ty? Dobrze się miewasz?

— To bardzo ciekawa wyprawa. Z Erlingiem tak przyjemnie się gawędzi.

— Lubisz go?

— Bardzo! A ty nie?

— Owszem.

Zabrzmiało to prawie tak, jakby miał zamiar dodać „niestety”.

— Mamy wielu wspólnych znajomych — próbowała się usprawiedliwić Tiril. — I wiesz co? On chce się ze mną ożenić. Pragnął tego chyba już od dawna, ale ja do tej pory nie traktowałam go poważnie. Uważałam, że bardzo się od siebie różnimy.

— Ale teraz traktujesz go poważnie?

— Tak, łączy nas o wiele więcej, niż sądziłam. I zrozum, zawsze uważałam, że jestem nikim. A on mówi, że mnie podziwia! Ze mam niezwykłą osobowość. Takich rzeczy przyjemnie się słucha, Móri, zwłaszcza komuś, kto był w rodzinie szarą myszką.

— Wielu uważa cię za osobę wyjątkową.

Nie słuchała uważnie jego słów.

— Co, twoim zdaniem, powinnam zrobić, Móri? Czy mam się zgodzić? Nie czuję się jeszcze w pełni dojrzała, ale zdaję sobie sprawę, że Erling może dać mi wszystko, czego pragnie dziewczyna.

— To zależy wyłącznie od twoich uczuć, Tiril — odparł Móri, w skupieniu zdejmując siodło z kolejnego konia.

— Moja matka zawsze powtarzała, że jeśli chodzi o małżeństwo, nie należy kierować się uczuciami. Trzeba słuchać rozsądku, inaczej może się to źle skończyć.

— Ty też tak sądzisz?

Tiril westchnęła.

— Nie wiem, Móri. Wiem jedynie, że bardzo lubię Erlinga.

— No, to wszystko w porządku.

Czyż nie była to zachęcająca odpowiedź? Tylko dlaczego poczuła się nagle odepchnięta?

Taka biedna, taka... samotna?

Tej nocy przestało im dopisywać szczęście.

— Lato było ciepłe, nie musieli więc rozpalać ognia, aby się ogrzać. Noce były też stosunkowo jasne. Rozbili obóz na porośniętej miękką trawą płaskiej części zbocza.

Nawet tutaj Erling upierał się na oddzielaniu damskiej części obozowiska od męskiej. Wiedział wprawdzie, że Tiril nocowała razem z Mórim w magazynie portowym, lecz Móri był wtedy bardzo chory i nie stanowił żadnego zagrożenia. Nigdy zresztą nie uważał, by Tiril coś z jego strony groziło. Osoba taka jak Móri nikomu nie kojarzyła się z erotyzmem.

Nie miał pojęcia o ich noclegach na Islandii, o tym, jak blisko siebie wówczas byli, a już na pewno nie o cielesnej bliskości.

Nie spodobałoby się to Erlingowi.

Koniec końców, Tiril musiała sypiać teraz osobno, mając do towarzystwa i ochrony jedynie Nera.

Pospali może godzinę, gdy nagle z gardła psa dobyło się głębokie, przytłumione warczenie.

Tiril natychmiast usiadła, co rzecz jasna skłoniło Nera do jeszcze większej czujności. Jak szalony zaczął ujadać, wskazując na rosnące nie opodal zarośla.

Mężczyźni zaraz poderwali się na równe nogi.

— Co się stało, Tiril? — ściszym głosem zawołał Erling.

— Nie wiem — odparła niepewnie. — Nero coś usłyszał.

Widzieli, że pies stoi zwrócony w stronę lasu.

Erling przy koniach już szukał swego pistoletu.

— Kto tu jest? — zawołał.

Nie było odpowiedzi.

— Prawdopodobnie tylko lis — stwierdził Móri.

— Nie — zaprotestowała Tiril. — Nero inaczej reaguje na mniejsze zwierzęta.

I na drapieżniki. Albo był to łoś, albo człowiek.

Zarośla jałowca na tle trawiastego zbocza wydawały się całkiem czarne. Niebo na wschodzie szarzało, rysowały się na nim ciemne sylwetki koni.

Erling znalazł pistolet, lecz nie wiedział, gdzie szukać prochu.

— Nie mamy czasu do stracenia — mruknął. — Będę musiał ich postraszyć nie naładowaną bronią.

Wraz z Mórim poszli do Nera, który wciąż stał zwrócony w stronę zagajnika.

W następnej chwili Tiril poczuła wciskający jej się do ust knebel. Ramiona wygięto jej na plecy. Napastnicy widocznie przekradli się bokiem i zaatakowali ją od tyłu.

Poczuła, że ktoś ją podnosi i taszczy przez równinę do lasu. Przekonanie, że człowiek, któremu usta zatka się szmatą, nie może wydobyć z siebie żadnego dźwięku, jest całkiem błędne. Tiril wydała przez nos krzyk ostrzeżenia — wprawdzie zduszony, lecz dość głośny.

Zorientowała się, że nadbiega Nero wraz z Erlingiem i Mórim, a jednocześnie zbior, który ją niósł, szepnął:

— Strzelaj, do diabła, strzelaj do nich i do psa!

Och, nie, pomyślała Tiril. Nie wolno strzelać do Nera, on nic z tego nie rozumie!

Usłyszała jednak, że Móri przywołuje psa do nogi. Udało mu się przytrzymać rozwścieczone zwierzę za obrozę. Dzięki Bogu, mówiła sobie w duchu, kiedy jeden ze złoczyńców niósł ją na plecach, a drugi zatrzymał Móriego i Erlinga.

Już raz Erling zdołał ją uratować, teraz jednak nie mógł użyć pistoletu.

Mężczyźni przedzierali się przez zarośla, dźwigając wierzgającą i szamoczącą się Tiril. Las jednak wkrótce się skończył, znaleźli się na otwartej przestrzeni. Tiril, zajęta walką z prześladowcą, nie bardzo mogła się zorientować, co się dzieje.

Nagle znalazł się koło nich Erling. Padł strzał. Erling przeklął, lecz najwidoczniej nie został trafiony. Łotr niosący Tiril potknął się, dziewczyna usiłowała się wyrwać, lecz przytrzymał ją mocno, jak gdyby była ze złota. Erling dopadł drugiego zbira i rozpoczęła się bijatyka.

Erling potoczył się do tyłu.

— Uciekaj! — padło polecenie drugiego z napastników.

Tiril robiło się słabo, gdy podskakiwała na ramionach uciekającego mężczyzny. Cały czas starała się wyrwać.

A potem Móri puścił Nera.

Złoczyńcy już przecież wystrzelili, a nie mieli czasu, by powtórnie załadować broń.

Nero pomknął jak błyskawica i zaatakował mężczyznę zabierającego mu ukochaną panią. Rozległ się odgłos dartego materiału i głośny krzyk człowieka.

Drugi rzezimieszek próbował uderzyć psa pistoletem, ale osiągnął tylko tyle, że Nero wbił mu zęby w ramię. Przez moment mignęła Tiril przed oczami kozia bródka.

A potem wydarzyło się coś niezwykłego.

Tiril usłyszała ostry okrzyk Móriego, jakby rozkaz. Mężczyzna, który ją niósł, mocno pchnięty potknął się, poleciał na głowę i w końcu musiał puścić swą zdo-

bycz. A przecież Nero wpił się w ramię drugiego z łotrów, Erling właśnie wstawał, a Móri stał w pewnej odległości od nich. . .

Któż więc pchnął bandytę?

— Hraundrangi-Móri — szepnęła Tiril cichutko. — Poproś swego towarzysza, Zwierzę, aby pomogło Nerowi.

Nigdy nie potrafiła odtworzyć tego, co stało się później. Jeszcze mniej rozumiał Erling. Od Móriego zaczęła nagle bić jakaś siła, która poderwała obu opryszków na nogi. Ale Móri nie uczynił tego sam. Nie on przecież był winien gwałtownemu rozdarciu spodni drugiego mężczyzny, odsłaniającemu dwa różowe pośladki. Potężna siła cisnęła obu łotrów w przód, potoczyli się na łeb, na szyję po stromym zboczu. Wydawało się, że ich krzyki nigdy nie ucichną.

Erling przeniósł wzrok na Móriego, uwalniającego Tiril od knebla, na Nera, który dumny, ciężko dysząc, czekał na pochwałę. I na Tiril, która sprawiała wrażenie niczym nie zdziwionej, jak gdyby spodziewała się takiego biegu wydarzeń. — Dzień już bliski — rzekł krótko. — To nie jest dobre miejsce na nocleg. Jedźmy dalej!

Rozdział 20

Tego dnia umizgi Erlinga do Tiril bardziej rzucały się w oczy niż kiedykolwiek przedtem. Dziewczyna była trochę zażenowana, ale nie mogła zaprzeczyć, że jest jej przyjemnie. Potrafiła natomiast zrozumieć nagłą, wręcz gorączkową sympatię, jaką jej okazywał, szczególnie że wydawał się unikać Móriego. Nie można przy tym oskarżać go o brak uprzejmości, co to, to nie. Erling zawsze miło rozmawiał z przyjacielem i grzecznie odpowiadał na pytania.

Tiril jednak domyślała się, o co chodzi. Erling czuł się pewnie. Nie przywykł do takiej sytuacji, był wszak poważanym, cieszącym się powszechnym szacunkiem kupcem. Tymczasem przerażała go tajemniczość Móriego. Ostatnie wydarzenia — to było stanowczo za wiele dla potomka hanzeatyckiego rodu.

Obawiał się także przywiązania Tiril do czarnoksiężnika. Starał się pozyskać wyłączenie na jej względy.

Tiril, „odkrywszy” Erlinga, nie bardzo wiedziała, co sądzić o jego zalotach. Uważała, że są one trochę nie na miejscu podczas tej wyprawy. W innej sytuacji bardzo przyjemnie byłoby być traktowaną jak dama. Nie ukrywała też, że na widok przystojnego młodzieńca serce, biło jej mocniej. Erling Müller był wszak marzeniem wszystkich młodych panien i przyszłych teściowych.

Tiril zdała sobie sprawę, że i ona zaczyna o nim marzyć.

Wieczorem ku szczerzej radości Erlinga dojechali do zajazdu. Dość już miał wątpliwych przyjemności życia na łonie natury, dość mrówek, korzeni uwierających w biodro, lodowatej wody ze strumienia, ubrania sztywnego od brudu, potu i kurzu, przesiąkniętego zapachem koni, pełnego końskiej i psiej sierści.

Dotarli do zajazdu Sundvolden. Wszyscy zdziwili się, że zajechali aż tak daleko. Niewiele już mieli przed sobą drogi do Christianii.

— Nareszcie, Tiril! — mówił Erling z rozpromienionymi oczami. — Nareszcie będę mógł się tobą zająć w przyzwoity sposób! Ubierz się najładniej, jak możesz, zjemy porządny obiad.

Ubrać się elegancko? — Tiril wyraźnie się zmieszała.

— Przecież ja nic nie mam!

— Zabrałem z twego domu parę najładniejszych sukien. Idź do swego pokoju,

sama się przekonasz!

Pokojówka z zajazdu już zdążyła rozpakować bagaż dziewczyny. W przepastnej szafie rzeczywiście wisiało kilka sukienek. Dwie codzienne, jej własne, I. . .

— Och, nie! — jęknęła Tiril. — Przecież to suknie Carli! W jedną nigdy nie zdążyła się ubrać!

Była to przepiękna suknia z bładoniebieskiego jedwabiu, niezwykle pasująca do delikatnej, anielskiej urody Carli. Ale nie dla Tiril!

W drugiej sukience jednak widziała Carłę wiele razy i była przekonana, że nie będzie mogła jej włożyć. Przez chwilę stała, przyciskając materiał do twarzy i wypłakując gorzkie łzy rozpaczy.

Potem odetchnęła głęboko, wykapła się w balii z gorącą wodą i wytarła do sucha świeżo umyte włosy.

No tak, te jej marne włosy! Carla miała złociste loki. Gładkie, włosy Tiril przez ostatni rok nieco ściemniały, ale i tak rosły jak im się podobało. Nic nie dało się z nimi zrobić.

Chwilę odpoczęła, a właściwie o mało nie zasnęła w wielkim, miękkim łóżku, i zaraz nadeszła pora obiadu. Po długich rozterkach ubrała się w bładoniebieską jedwabną suknię, wykończoną cieniutką koronką. Nie śmiała spojrzeć w lustro, bo przed oczami stała jej wciąż prześliczna twarzyczka Carli, okolona jasnymi lokami, do której ta suknia wydawała się wprost stworzona.

Przewiązała długie włosy wstążką w tym samym co suknia kolorze. Akurat w tej chwili rozległo się pukanie do drzwi.

To pokojówka przyszła spytać, czy Tiril nie potrzebuje pomocy.

Dziewka złożyła ręce z zachwytem:

— Ach, jaka panienska śliczna!

— Ja? — odpowiedziała Tiril niemal opryskliwie, uważała bowiem, że jej miejsce jest raczej wśród ludzi pokroju Ester.

Potem odwróciła się do lustra.

— Ojej! — Dech zaparło jej w piersiach.

Zobaczyła opaloną twarz i ramiona, które w kontraście z jasnobłękitną sukienką zdawały się jeszcze ciemniejsze. Oczy natomiast wyglądały na bardziej niebieskie niż zwykle. Lśniące włosy niczym wodospad spływały na ramiona.

— Nie mam pantofli — zdołała jedynie bąknąć pod nosem.

— Ależ nie, wypakowałam jedną parę. Tu stoją.

— Nie jestem przyzwyczajona do takiego stroju — westchnęła Tiril. Chłopcym krokiem podeszła do łóżka i ciężko usiadła.

Panienska powinna chodzić jak dama — pouczała ją pokojówka, pomagając jej włożyć pantofelki, które rzeczywiście należały do Tiril. Całkiem zapomniała, że ma takie. Widocznie Erling znalazł je gdzieś w domu.

W domu. . . Jak obco zabrzmiało to słowo!

— Dziś wieczorem panienka będzie najpiękniejsza! — z zachwytem oświadczyła pokojówka. — Piękniejsza nawet niż jaśnie panienka Catherine. Tylko, moim zdaniem, powinna panienka troszkę pokrasić usta. I położyć odrobinę różu na policzki. No i nos trochę się błyszczy.

— Nie mam czym się umalować.

— Ale ja mam! Proszę poczekać, zaraz przyniosę!

Tiril oniemiała siedziała sztywno, podczas gdy dziewczyna zręcznymi ruchami nałożyła odrobinę różu na jej policzki i delikatnie podmalowała wargi. Na koniec leciutko ją przypudrowała.

— Proszę się teraz obejrzeć w lustrze, panienko!

Tiril nie wierzyła własnym oczom.

— Czy to naprawdę ja? — szepnęła.

Zdenerwowana tak, że dłonie jej się spociły, zeszła wraz z Nerem na dół do wyszynku, nie zdając sobie sprawy, jaki kontrast stanowił wielki czarny pies z jej właśnie objawioną kobiecością.

Erling i Móri już siedzieli przy stole. Zapatrzyli się na nią, kompletnie zaskoczeni, wreszcie Erling się opamiętał i wyciągnął do niej rękę.

— Moja przyszła żona — szepnął cicho i ucałował jej dłoń.

— Przyszła żona, no wiesz? — odparła kpiącym tonem, całkowicie wypadając z roli. Zwróciła się do Móriego:

— Ładnie wyglądam?

Przy świecach jego oczy lśniły czarnym blaskiem. Spostrzegła, że i on postarał się wyglądać bardziej uroczyście.

— Jesteś bardzo niepodobna do siebie, Tiril — powiedział niewyraźnie. — Prawie cię nie poznałem.

— Jeśli to ma być komplement, to jest świetnie zakamuflowany — uśmiechnęła się. Erling odsunął dla niej krzesło.

— Oj, czuję się prawie jak dama! — zachichotała.

Był to niezwykle udany obiad, Erling miał oczy zwrócone tylko na nią i przechodził samego siebie w uprzejmej konwersacji, a mocne czerwone wino rozwiązało język Tiril.

Móri obserwował ich w milczeniu, od czasu do czasu głaszcząc bezwstydnie zebrzącego Nera. Erling i Tiril należeli teraz do innego świata, swobodnie żonglując słowami oddalili się od niego o setki mil. Tiril wiedziała, że Móri potrafi się zachowywać równie dwornie jak oni, nauczył się dobrych manier u siry Eirikura w Vogsos, ale nie dał się wciągnąć w rozmowę. Tiril nie wiedziała, jak ma odczytać mroczny blask jego oczu.

Erling niczego nie zauważał. Zalecał się do Tiril i często nawiązywał do ich rychłego małżeństwa. Słowa te radowały, ale i zawstydzwały dziewczynę.

Przy jednym z dalszych stołów siedziała samotna młoda dama. Tiril już od dłuższej chwili się orientowała, że nie spuszcza wzroku z ich trójki.

Dziwna była to kobieta. Zdaniem Tiril pochodziła z dobrej rodziny, lecz postanowiła robić to, na co przyjdzie jej ochota, nie tracąc przy tym nic ze swej elegancji. Jej długie pszeniczne włosy były splecione w niezliczone cieniutkie warkoczyki, nosiła się całkiem na czarno, lecz nie był to z pewnością strój wdowy — na to suknia była zbyt wydekoltowana. Miała naszyjnik, z którego zwisało wiele ciężkich, osobliwych przedmiotów.

Dama ta sprawiała wrażenie bardzo wyrafinowanej. Owalna twarz o szlachetnych rysach, smukłe dłonie o długich palcach, prawdopodobnie również długie nogi. Nawet Tiril wyczuwała bijącą od niej zmysłowość.

Uśmiechnęła się do Tiril, z udawaną rezygnacją pokręciła głową, gestami dając do zrozumienia, iż uważa za niesprawiedliwe, że Tiril ma do towarzystwa dwóch tak przystojnych mężczyzn, podczas gdy ona siedzi sama. Tiril odpowiedziała jej uśmiechem. Erling powiódł oczami za jej wzrokiem.

— Ojej! — westchnął.

Nie wiadomo, co to miało znaczyć.

Wzrok Tiril zaczął się już mącić, Móri zaproponował więc, by udali się na spoczynek. On i Tiril mieli pokoje obok siebie, Erlinga, który zażądał większych wygód, umieszczono w przeciwnym krańcu budynku. Teraz oczywiście żałował, ale nie wypadało mu tego ujawniać.

— Odprowadzę cię do pokoju — oświadczył Tiril.

— Ale tylko do drzwi. Za bardzo jestem śpiąca na dalszą rozmowę.

Móri powiedział wszystkim dobranoc i poszedł do siebie. Erling zatrzymał się pod drzwiami pokoju Tiril. Objął łokcie dziewczyny, zmuszając ją tym samym, by położyła mu ręce na ramiona.

— Pięknie dzisiaj wyglądasz, Tiril — szepnął z czułością. — Mam na ciebie ochotę.

Te słowa ją otrzeźwiły.

— Muszę się położyć — mruknęła. — Tak mi się kręci w głowie.

Przyciągnął ją do siebie, przez moment patrzył pytająco, a potem pocałował.

Tiril tak długo wstrzymywała oddech, że w końcu musiała oderwać swoje usta od jego ust. Kiedy jednak Erling chciał powtórzyć pocałunek, odsunęła go łagodnie, lecz zdecydowanie.

— Dobranoc, Erlingu! I dziękuję za miły wieczór.

Prędko wślizgnęła się do pokoju, żeby przypadkiem nie zmienić decyzji.

Tiril odwiesiła swą piękną sukienkę, rozebrała się i zmyła szminkę. Zasnęła, gdy tylko przyłożyła głowę do poduszki. Właściwie wcale nie miała takiego zamiaru, chciała leżeć i cieszyć się wspomnieniami wieczoru i pocałunku Erlinga. On jest wspaniały, mówiła sobie, jest wszystkim, czego można pragnąć.

Więcej pomyśleć nie zdążyła, bo już spała.

Sny sprowadziło na nią zapewne wino, a może cały wieczór jako taki.

Jak zaczął się sen, nie pamiętała. Nagle jednak znalazła się w jakiejś straszliwej przełęczy, w której ziemia usłana była miękkimi poduszkami. Goniły ją przerażające istoty, a może dzikie konie? Potem zjawił się jakiś człowiek i władcym głosem nakazał istotom, by odstąpiły. Tiril osunęła się na miękkie posłanie. Słyszała wycie wichru w szczelinach skalnych, lecz nie bała się go, bo zarzuciła mężczyźnie ręce na szyję, a on całował ją długo, z wielką czułością.

Ale nie był to Erling, lecz Móri. W jakiś niezwykły sposób Tiril zdawała sobie sprawę, że śni, chciała poprosić go: „Odejdź, Móri, opuść mój sen!”

Pomyślała tak tylko przez moment, bo zaraz uświadomiła sobie, jak ogromnie emocjonująca jest zamiana Erlinga na Mórego, i mocniej przycisnęła się do niego. Jej ciało zaczęło płonąć w ów niespokojny słodki i rozkoszny sposób, tak jak we śnie, który nawiedził ją na wysepce Ester. Zacisnęła uda ale on je rozchyłał. . . Obudziła się. Tak jak poprzednio bez spełnienia. Leżała w łóżku ciężko dysząc, wsłuchana w echo własnego głosu.

Nagle otworzyły się drzwi i do pokoju wszedł Móri.

— Co się stało, Tiril? Krzyczałaś?

Starła się oddychać spokojnie, ale nie mogła. Ogień wciąż w niej płonął, nie umiała go zdławić.

— Coś mi się śniło — wyznała, odruchowo wyciągając do niego ręce. Móri przysiadł na łóżku.

— Cała dygoczesz, Tiril.

Oddychała szybko, drżąc.

— Pomóż mi, Móri! Miałam sen, że ty i ja. . . byliśmy w szczelinie, pokrytej miękkimi poduszkami. Ty. . . prawie. . .

Poczuła, że Móri drętwieje.

— Och, wybacz mi! — szepnęła zawstydzona. — Zapomnij o tym, co ci powiedziałam. Odejdź, odejdź stąd natychmiast!

— Byłaś bardzo samotna, Tiril — rzekł cicho. — Nie mogę ci pomóc tak, jak byś tego teraz chciała, bo Erling powinien dostać nietkniętą narzeczoną, ale. . .

— O, nie myśl o Erlingu — zniecierpliwiła się. — To on mówi o małżeństwie, nie ja. Móri, ja płonę, nie mogę nad sobą zapanować, proszę cię, odejdź!

— Już dobrze, dobrze — odpad na pozór spokojnie, lecz Tiril w jego głosie wyczuła wzburzenie. — Potrafię złagodzić twoje udręki, nie naruszając twego dziewictwa.

— Móri. . . — prosiła, nie chciała, by był świadkiem targających nią żądz. On jednak już wsunął dłoń pod kołdrę i dotknął jej piersi. Tiril ciężko oddychała.

— To nie będzie długo trwało — uspokajał ją szeptem.

— Jesteś prawie na granicy. Kiedy człowiek długo jest sam, często nawiedzają go takie sny.

Tak próbował ją pocieszać.

— Czy ty też miałeś takie sny? — spytała, wiedząc, że nie otrzyma odpowiedzi. Móri ubrany był w swoją pelerynę. Poprosił, by zrobiła mu miejsce, wówczas jemu byłoby łatwiej. Tiril przysunęła się do ściany.

— Nie bój się, nie zhańbię cię — mówił, przesuwając dłoń jej biodro i niżej na wewnętrzną stronę ud.

Tiril jęknęła udręczona, powzięła pewne podejrzenia.

— Móri. . . czy już to kiedyś robiłeś?

— Nie — odparł. — Lecz wiele można się nauczyć z rozmów innych chłopców.

Och, Boże, pomyślała Tiril, zaciskając powieki, kiedy jego palce zbliżyły się do punktu, który kiedyś sama odnalazła.

— Móri, tak się wstydzę, ale chcę być bliżej twojej dłoni.

— Nie wolno ci się wstydzić — prosił. Usłyszała, że teraz jego głos drży już całkiem wyraźnie. Drżały także jego palce, gdy położył dłoń na najbardziej wrażliwym miejscu jej ciała.

— Aaach! — westchnęła. Nie mogła się opanować, mocniej przycisnęła się do jego ręki. — To ogień piekielny, Móri! Czy ty nic w ogóle nie czujesz?

Zawahał się przez chwilę, ale zrozumiał, jakie to dla niej ważne, i ujął ją za rękę.

— Zobacz!

Przyłożył dłoń Tiril do swego ciała. Przez pelerynę poczuła pulsujące gorąco.

— Och, Móri — szepnęła bez tchu.

Gorączkowo odsuwała materiał, dotykała jego ciała, w końcu palce znalazły to, czego szukały. Poruszył się, pokazując jej, co ma robić. Nie przestawał przy tym jej pieścić.

Tiril pociemniało w oczach. Jej usta szukały jego ust. Miała wrażenie, że leci wprost w otchłań, w której króluje śmierć, gdzie obserwowały ich przerażające istoty, ogarniało je podniecenie i same się zaspokajały. Przycisnęła usta do jego warg, by stłumić krzyk nieznośnej rozkoszy, i kiedy nadszedł moment spełnienia, wsunęła się cała pod niego. Móri przestał już nad sobą panować, ułożył się na niej z jękiem niewypowiedzianego cierpienia i gdy już miał w nią wtargnąć, osiągnął szczyt.

Dziewictwo Tiril było uratowane. Leżeli obok siebie zdyszani i oszołomieni, ale nieopisanie szczęśliwi.

— Nie przypuszczałam, że jesteś do tego zdolny — szepnęła w końcu Tiril. — Ciebie nikt nie łączy z takimi sprawami, chociaż na wyspie przyśnił mi się o tobie niezwykle podniecający sen.

Móri uśmiechnął się ze smutkiem.

— Są chyba tego dwa powody. Przede wszystkim sam uciekam od tego rodzaju myśli, aby w pełni skupić się na mym wykształceniu.

— Ale czy to ma być przeszkodą? Z tego co zrozumiałam, to Mag-Loftur i inni diakoni pożądaliby kobiet.

— Taki był mój własny wybór. Drugi powód mojej wstrzeźliwości jest bardziej skomplikowany. Rezygnowałam z wszelkich kontaktów fizycznych, bo sam czułam, że coś mnie od nich odgradza. Sądziłam, że niemożliwe jest, abym cokolwiek odczuwała. Dopiero teraz. A to przede wszystkim dlatego, że ty byłaś ze mną.

Tiril od tych słów zalała kolejna fala gorąca.

— Ale chyba miałaś sny?

— Tak — przyznała. — Lecz rzadko. I nie łączyły się z żadną konkretną osobą.

— Powiedziałaś, że coś cię od tego odgradza? Chyba wiem, co masz na myśli. W ciemności wyczuła, że popatrzył na nią zdziwiony.

— Widzisz, Móri... Nie wiem, od czego zacząć, to tak trudno wyjaśnić. Muszę ci zadać pytanie, które już ode mnie słyszałaś, ale nie odpowiedziałaś na nie. Twój ojciec zwał się Hraundrangi-Móri.

— Tak.

— Podobno „Móri” to przydomek upiora czarnoksiężnika. I podobno jakiś upiór pomagał twjej matce, kiedy przyszedłaś na świat. Teraz pytam poważnie: czy twój ojciec już nie żył, kiedy zostałaś poczęta?

Odpowiedział pytaniem:

— Dlaczego chcesz to wiedzieć?

— Dlatego, że przez chwilę, kiedy oboje doświadczyliśmy rozkoszy, miałam wrażenie, że ciśnięto mnie wprost do królestwa śmierci. Że... że trzymam w ramionach upiora. I że dlatego kojarzysz się raczej ze śmiercią niż z ziemską erotyką.

Móri przez długą chwilę milczał.

— Najlepiej będzie, jak poznasz prawdę — rzekł wreszcie. Hraundrangi-Móri — nie nosił przydomka „Móri” za życia, nie znam jego prawdziwego imienia — był ścigany za swe czarnoksiężskie praktyki. Zakochał się w Heldze, mojej matce, która była córką i wnuczką czarownika. Rodzice schronili się w jakiejś ziemiance i spoczęli w swych ramionach. Właśnie wtedy wpadli tam prześladowcy i wypuszczona strzała trafiła mego ojca w plecy. Prosto w serce. W ciało Helgi trysnęło nasienie martwego człowieka.

— Jakaż tragiczna historia! — jęknęła Tiril.

— Owszem — uśmiechnął się Móri. — Lecz także szalona. Mój ojciec po śmierci zaczął się ukazywać i nadano mu imię Hraundrangi-Móri. To on pomagał przy moich narodzinach.

Tiril milczała, delikatnie wierzchem dłoni gładziła Móriego po policzku.

— Móri... .

— Tak?

— Spotkałam twego ojca. Ty także.

Po patrzył na nią zdziwiony.

-Twój duch opiekuńczy, mężczyzna. To był twój ojciec.

Móri podniósł głowę, zaskoczony oddychał ciężko.

— Tak, to by się mogło zgadzać. Ale skąd ty to wiesz?

— Opowiem ci kiedy indziej. Teraz ogarnął mnie taki błogi spokój, spróbujmy zasnąć.

— Dobrze. Pójdę do siebie.

Na chwilę przytrzymała jego dłoń.

— Dziękuję, Móri!

— To ja ci dziękuję, Tiril. To była najpiękniejsza chwila mojego życia. Czuję, że jestem tak blisko ciebie.

— Ja też o tym myślałam. Tak pięknie to przyjąłeś, Móri... Nie mów nic Erlingowi. On mógłby zniszczyć to, co łączy nas dwoje.

— Wiem. Nic mu nie powiemy. Dobranoc, najmiłsza!

Pochylił się i ucałował ją w czoło. Ten pocałunek był o wiele piękniejszy niż ów ognisty, który Erling wcześniej wycisnął jej na wargach. Tiril wydawało się, że od tamtej chwili upłynęło już wiele czasu. Tamto wydarzyło się w jej dzieciństwie. Teraz była kobietą. Kobietą jednego mężczyzny. Niczyją inną.

Rozdział 21

Nazajutrz przy śniadaniu czekała ich niespodzianka. Zasiedli w jadalni, by rozkoszować się ostatnimi chwilami w luksusie, zanim znów przyjdzie im stawić czoło przeciwnościom losu. Nagle do ich stolika podeszła elegancka dama. Erling natychmiast się poderwał i podsunął jej krzesło. Przyjęła to z dostojną godnością.

Mogła być mniej więcej o rok starsza od Tiril. Zaczęła mówić bez zbędnych wstępów:

— Pozwólcie, że się przedstawię. Jestem Catherine, baronówna, nazwisko nie jest ważne. Lubię, żeby plebejusze zwracali się do mnie „wielmożna pani” albo „jaśnie pani”, ale was nie będę do tego zmuszać. Wczoraj wieczorem przypadkiem podsłuchałam rozmowę dwóch mężczyzn. Przez okno usłyszałam, jak rozmawiają w męskim ustępie. Żeby nie przedłużać tej historii, powiem prosto z mostu: planowali na dzisiaj rano napad z ukrycia, w Krokkleiva. Zrozumiałam, że chodziło im o was. Wspominali o dziewczynie imieniem Tiril. . .

— Zgadza się, to ja — kiwnęła głową Tiril. — I prawdą jest, że mnie ścigają.

— Czy oni cię widzieli, pani? — spytał Erling przedstawivszy uprzednio całą trójkę. Widać było, że panna Catherine bardzo mu się spodobała. Na pewno przez te długie nogi, pomyślała Tiril z goryczą.

— Widziałam ich tylko od tyłu, szli do koni. W oczy rzuciły mi się jedynie naprędcy pocerowane spodnie.

— To oni — stwierdził Móri. — Dziękujemy za ostrzeżenie! Ale jak wobec tego dostaniemy się do Christianii?

Kobieta uśmiechnęła się.

— Mam swoje drogi. Jedźcie ze mną do domu, a stamtąd możemy wyruszyć dalej inną trasą.

Z wdzięcznością przystali na jej propozycję. Baronówna miała własny powóz i wkrótce wszyscy razem opuścili zajazd. Baronówna przewodziła, ale i tak Nero jak zwykle biegł pierwszy.

Tiril obawiała się nieco porannego spotkania z Mórim, ale on tylko czule się uśmiechnął, podkreślając, że łączy ich wspólna tajemnica, poza tym zachowywał się wobec niej tak jak zawsze. Tiril pocieszała się, że oboje otworzyli się przed

sobą nawzajem, nie mógł więc myśleć o niej aż tak źle. Wyglądało zresztą na to, że jest przeciwnie, i bardzo ją to pokrzepiło.

Prędko zjechali z gościńca. Baronówna powiodła ich wąskimi drózkami w głąb lasu, który tutaj, wokół jeziora Tyrifjord, rósł gęsto. Drożynka wysypa-
na sosnowymi igłami prowadziła do niedużej chaty.

Chata to chyba zbyt proste słowo dla określenia domostwa baronówny, pomy-
ślał Erling z uśmiechem zadowolenia. Przecież kryją się za nią pieniądze!

— Witajcie w moich skromnych progach — zapraszała dama. — Musimy
trochę porozmawiać.

Gdy wkroczyli do chaty, doznali prawdziwego wstrząsu. Cóż to, na miłość bo-
ską, za przybytek! Z sufitu zwisały pęki suszonych ziół, wszędzie stały naczynia
godne prawdziwej czarownicy, szafki skrywające najniezwyklesze przedmioty.

— Zapraszam do świątyni Catherine, pierwszej czarownicy Norwegii. Jeśli
potrzebna wam moja pomoc w walce z chorobą, kłopotami miłosnymi lub wroga-
mi, jestem do waszej dyspozycji.

Tiril zobaczyła, że Móri odwraca głowę. Z całych sił starał się powstrzymać
od śmiechu. Ona sama także uważała sytuację za dość komiczną.

Erling jednak był zafascynowany.

— To ci dopiero! — rzekł z zachwytem. — Nie spodziewałem się tego, piękna
baronówno.

— Jestem bardzo sławna — oświadczyła nieskromnie. Ludzie tłumnie się tu
schodzą. Uzdrawiam ich, wróżę z kart, odczytuję ich losy z gwiazd. Ale siadajcie,
proszę, mam pewną propozycję.

Tiril przesunęła zasuszoną głowę Indianina i wypchanego czarnego kota, który
natychmiast przyciągnął uwagę Nera, i przycupnęła na brzeżku sofy.

Catherine spojrzała na nią.

— Nie sposób uwierzyć, że to ta sama dziewczyna, którą widziałam wczoraj
wieczorem. Teraz trudno nawet twierdzić, jakiej jesteś płci.

— Tak jest najlepiej — odparła Tiril. — Jedziemy z daleka.

Dokąd zmierzacie?

— Do Christianii.

— Ach, Christiania! Cudowne miasto! Mam tam do załatwienia parę spraw,
nie lubię jednak podróżować sama. Wyruszę razem z wami.

Najwidoczniej nie brała pod uwagę, że ktoś mógłby się jej sprzeciwić.

— Bardzo mnie zainteresowaliście, wszyscy troje. I ten wielki, demoniczny
pies. — Odwróciła się do Erlinga. — Słyszę, że ty, mój panie, pochodzisz z Ber-
gen. Twój krnąbrny, wiecznie niezadowolony dialekt nie pozostawia co do tego
najmniejszych wątpliwości. Widzę też, że jesteś światowcem. . .

Erling skłonił się lekko. Zdumiony był, że ktoś mógł postrzegać jego dialekt
jako płaczliwy, czy jak to tam ona powiedziała.

— Jestem kupcem.

— Bogatym jak krezus — uzupełniła Tiril.

— No, no, nie przesadzajmy — dobrodusznie uśmiechnął się Erling, ale jej słowa nie sprawiły mu przykrości.

— Jak miło — powiedziała Catherine. Wprost pożerała Erlinga oczyma spod ciężkich półprzymkniętych powiek.

— A co cię wiąże, panie, z tą tu Tiril?

— Zamierzałem poślubić jej siostrę, która niestety zmarła. Teraz więc opiekuję się Tiril. Jest sama, samiutka na świecie.

Baronówna przeniosła spojrzenie na dziewczynę. Tiril starała się nie patrzeć na ludzki szkielet wiszący na ścianie.

— No, z tego co widzę, nie tak całkiem sama — stwierdziła baronówna, która nawróciła się na magię. — Dwóch niezwykle interesujących i przystojnych mężczyzn i diabelski pies to wcale niemało!

Teraz przyjrzała się Móriemu.

— Ciebie, panie, nie potrafię jednak rozgryźć.

— O, to nie powinno być dla ciebie tru... — zaczęła Tiril, lecz Móri powstrzymał ją gestem.

— Pochodzę z Islandii — odparł uprzejmie, lecz z rezerwą.

— Hmmm — mruknęła Catherine. — Jest w tobie wiele demonizmu, panie. Wiele tłumionej zmysłowości, którą należałoby odkryć.

Spóźniłaś się o jeden dzień, pomyślała Tiril złośliwie, lecz właściwie nie miała nic przeciwko Catherine, trochę pompatycznej i zadufanej w sobie, lecz nie pozbawionej dobrego wychowania i poczucia humoru.

— Ale nie pochodzisz z tej samej warstwy społecznej co pozostali dwoje. Nie, nie potrafię cię zrozumieć, Móri z Islandii. No, ale jeśli mamy podróżować razem, najwyższa pora zrezygnować ze wszystkich tytułów.

Nikt nie miał nic przeciwko temu. Rozmowa od razu stała się łatwiejsza.

— Co macie zamiar robić w Christianii? — dopytywała się pierwsza czarownica Norwegii. — Dlaczego ci dwaj mężczyźni was ścigają?

Erling zdradził tylko tyle, ile uznał za absolutnie konieczne.

— Szukacie więc akuszerki? Dobrze się składa, bo znam sporo ludzi w Christianii. Powinniśmy odnaleźć ją bez trudu, jeśli tylko uda mi się pociągnąć za właściwe sznurki...

Troje przyjaciół popatrzyło po sobie i uśmiechnęło się z zachwytem.

Nagle w drzwiach stanęła jakaś kobieta z maleńkim dzieckiem na ręku.

— Czy wielgachna pani byłaby tak łaskawa i zechciała obejrzeć jej nóżki? Ma taką dokuczliwą wysypkę...

— Wielmożna pani, do diabła ciężkiego, wielmożna pani! Właściwie nie mam czasu... — odparła Catherine z niesmakiem, dostrzegła jednak możliwość zabłysnięcia przed gośćmi. — Dobrze, zaraz coś dostaniesz — powiedziała i wyszła do sąsiedniej izdebki.

Tiril pytająco popatrzyła na Móriego, lecz on tylko pokręcił głową. Catherine wróciła.

— Masz tu kawałek słoniny, nacieraj nią nogi dziecka rano i wieczorem. A potem zrób okład z tego. To mieszanka alabastru, włosów szaleńca, srebrnego pyłu, metalu królewskiego i białego atramentu, polana oliwą. Bardzo skuteczne!

— O, serdeczne dzięki! Czy mogę zapłacić jajkami i mlekiem?

— W porządku — odparła Catherine wielkodusznie. — Ale nie teraz, bo dzisiaj wyjeżdżam. Możemy pomówić o tym później.

Móri miał minę dość sceptyczną.

— Zapomnij o jej sławie — szepnęła Tiril. — Myśl o dobru tego dziecka!

Kiwnął głową.

— Chwileczkę, Catherine — zaczął dyplomatycznie. — Powinnaś chyba obejrzeć tę wysypkę. Są przecież różne rodzaje.

— Owszem, ale mój środek zawsze jest skuteczny.

— Nie byłbym taki pewien. Pojawiła się nowa choroba skóry, prawdziwa zaraza. Musimy się przekonać, czy dziewczynka nie zapadła właśnie na nią. Przypadkiem sporo wiem o tej dolegliwości.

Catherine zawahała się przez moment, nie wyglądała na zadowoloną. W końcu wzruszyła ramionami.

— Pokaż mi jej nóżki — powiedziała. Dziewczynkę ułożono na kanapie, matka podciągnęła jej sukienkę. Tiril na widok nóżek dziecka odwróciła się z jękiem.

— Rzeczywiście wygląda to gorzej, niż myślałam — przyznała Catherine. — Czy to ta choroba, o której wspominałeś?

— Możliwe — skłamał Móri. — Sądzę, że słonina nie zadziała w tym przypadku najlepiej. Tiril, czy możesz przynieść moją sakwę?

Pomknęła do koni jak strzała, dumna, że właśnie jej zaufała.

Catherine popatrzyła w wyraziste oczy Móriego i ujrzała mroczną głębię, od której kręciło się w głowie. Musiała odwrócić wzrok.

— Jesteś balwierzem? Medykiem?

— Można tak powiedzieć — odparł Móri. Baronówna usiłowała go rozszyfrować, lecz bez skutku. Dlaczego jej zwykle uwodzicielskie sztuczki nie działają? Dlaczego nawet nie próbuje uwieść tego fascynującego mężczyzny? Co w nim takiego jest?

Po plecach przebiegł jej dreszcz.

— Uff, ktoś przeszedł po moim grobie. . .

Wiedziała, że zabrzmiało to niemądrze, ale nie mogła oprzeć się wrażeniu, że nagle znalazła się na cmentarzu. . .

Tiril przyniosła sakwę, Móri wyjął z niej masę.

— Co to takiego? — ostrym tonem spytała Catherine. — Nie możemy pozwolić, żeby dziecko. . .

Móri dał jej powąchać maść. Cofnęła się, ale już się nie wtrącała. Pozwoliła mu posmarować paskudne rany. Po ruchu warg zorientowała się, że coś szepcze, ale nie słyszała słów. I tak zresztą by ich nie rozumiała, były to bowiem islandzkie zaklęcia.

Tego jednak Catherine nie mogła wiedzieć.

Kiedy stali pochyleni nad dzieckiem, galopem nadjechał ktoś na koniu. Jeździec zsunął się z grzbietu wierzchowca i padł na ziemię.

Erling i Tiril pomogli mu wejść do środka. Ręka przybysza, obwiązana czymś przypominającym koszulę, była czerwona, bo krew przesiąkła na wylot. Nie był widać obcy baronównie.

— Och, Olafie, co też się stało? Czy doprawdy wszyscy muszą przychodzić akurat dzisiaj, kiedy wybieram się do Christianii?

Zaciąłem się w rękę siekierą — tłumaczył mężczyzna z twarzą wykrzywioną bólem. — A jak już ma się uczoną osobę za sąsiada, to u niej szuka się pomocy.

Uczoną? Chyba nie w sztuce medycznej. Tak jednak najwyraźniej uważali sąsiedzi pierwszej czarownicy Norwegii.

Móri skończył zabiegi przy dziewczynce i pogłaskał małą po policzku. Potem odwrócił się do Catherine, odwijającej bandaż z rany mężczyzny.

— Tę ranę trzeba natychmiast zamknąć — oświadczył. — Potrafisz zaklinać krew?

— Oczywiście — odparła urażona. Uczyniła kilka tajemniczych gestów nad broczącą krwią raną i wymruczała:

„Skrzepnij, krwi
nie płyn, krwi
jak ów człek
co buty czyścił
w wielki piątek
szedł na thing
i złożył przysięgę
Faus, Baus, Belzebub
wykop grób
w piekielną głąb
niechaj trwa
do sądnego dnia”.

Tiril słyszała, że Catherine na początku siarczyście przeklinała, wzywając imię diabła, przypuszczała, że to właśnie ma zatrzymać krew.

Jeśli podobnie postępował Móri, to nie chciała brać w tym udziału. Traktowała jego zaklęcia jako miłosierny uczynek, leczenie ludzi dla ich dobra. Mówił, że nie chce mieć nic wspólnego z czarną magią. Słyszała, jak wzywa Ojca, Syna i Ducha Świętego. Ale to...?

— Doskonale. Za godzinę albo dwie przestanie krwawic.

Wtedy krwawienie ustąpi samo z siebie, pomyślała Tiril. Spostrzegła, że przyjaciele uważają tak samo. Matka z dzieckiem została, nieczęsto wszak zdarza się obserwować czarownicę przy pracy. Dziewczynka sięgnęła po grzechotkę z wysuszonych kości, Tiril dyskretnie wyjęła ją z ręki małej.

Móri uważnie popatrzył na Catherine.

— To taka wielka rana, może znasz jeszcze jakieś inne zaklęcie? Dla pewności?

Normalnie baronówna nie pozwoliłaby nikomu wtrącać się w swe czarodziej-skie praktyki, Móriemu jednak nie można się było sprzeciwić, zwłaszcza wtedy, gdy tak patrzył spod w półprzymkniętych powiek. Skinęła więc głową i zaczęła mówić:

— Zabraniam krwi płynąć, tak jak człowiekowi, który poświadczy nieprawdę na thingu, wzbroniony jest wstęp do Królestwa Niebieskiego. W imię Trójcy, Ojca i Syna i Ducha Świętego. Amen. Nie pływ, krwi, więcej, niż powinnaś.

Ostatnie zdanie wypowiedziała trzykrotnie.

— Wkrótce powinno zadziałać — orzekła zadowolona z siebie.

Krew jednak wciąż tryskała.

Móri się nie odzywał. Podeszedł do mężczyzny i koniuszkami palców powiódł wzdłuż brzegów rany. Tiril widziała już przedtem, jak to robił, ale i teraz wydawało jej się to równie fascynujące.

Móri kilkakrotnie powtórzył zabieg, szepcząc coś ledwie słyszalnie, i wkrótce rana się zamknęła. Została po niej jedynie delikatna biała kreska.

Catherine zaniemówiła. Zrozumiała, że nie ma czym się chełpić w tym towarzystwie.

Wszyscy obecni zdumieni wpatrywali się w ręce uzdrowiciela, a Móri po prostu zabrał swoją sakwę i wyszedł.

Czarownica zwróciła się do Tiril:

— Kim...? Czym on jest?

Tiril westchnęła. Nie wiedziała, ile prawdy Móri chce ujawnić.

— Czarnoksiężnikiem — wyjaśniła w końcu. — Obecnie najpotężniejszym na świecie.

Catherine ze zdumienia otworzyła szeroko kształtne usta.

— Czarnoksiężnikiem? — pisnęła cienkim głosem. — Nie sądziłam, że tacy jeszcze żyją! Owszem, we Francji, w zeszłym stuleciu i wcześniej! Ale u nas na północy były tylko czarownice. Ja jestem ostatnią! — Z dumą podniosła głowę. — A potem patrząc Tiril prosto w oczy dodała zaczepnie: — I jestem naprawdę dobra w tym co robię.

— Nie mam co do tego wątpliwości — odparła Tiril z powagą.

Baronówna zapomniała o niej.

— Czarnoksiężnik! Prawdziwy czarnoksiężnik! I piękny jak anioł... Nie...

— Jak anioł śmierci.— odpowiedziała Tiril.

— O, tak, to jedyne określenie. Och, gdyby tak dzielić z nim łożę! Mieć z nim dziecko. Dziecko jego i moje! Cóż to byłby za malec!

Zatopiła się w marzeniach.

Tiril poczuła się bardzo nieswojo.

Matka chorej dziewczynki uprzedziła Catherine, że sąsiadka wybiera się do niej z prośbą o wróżbę, czarownica zdecydowała więc, że muszą natychmiast wyjechać. Nie chciała zwracać sobie głowy banalnym wrózeniem teraz, kiedy trafili jej się dwaj baśniowo urodziwi mężczyźni, na których mogła wypróbować swe wdzięki. Nie powiedziała tego wprost, lecz Tiril bez trudu ją przejrzała.

Baronówna postanowiła zabrać powóz, a wszyscy byli zdania, że powinni w nim jechać Tiril i Nero, Nero, by mógł odpocząć, Tiril — by prześladowcy jej nie zobaczyli.

Na koźle zasiadł młody woźnica, chłopak ze wsi, który żywił bezgraniczny podziw dla czarownicy i z pewnością nie raz zdarzyło mu się ją pocałować. Catherine upierała się, by jechać konno, co najwyraźniej rzadko się jej zdarzało.

Często jednak odwracała się i zmarszczywszy czoło spoglądała za siebie, jakby się jej wydawało, że towarzyszy im ktoś jeszcze. Pozostali troje dobrze wiedzieli, co jest przyczyną jej niepokoju.

Tiril siedziała w mrocznym powozie razem z Nerem i obserwowała jadącą przodem trójkę. Baronówna w środku, po jej bokach Erling i Móri. Perlisty śmiech Catherine ostrymi nożami wbijał się w serce Tiril.

Myśli Tiril były, łagodnie mówiąc, niespokojne.

Cel podróży osiągnęli tak szybko, że sami byli tym zdziwieni.

Ledwie dwie godziny zajęło baronównie odnalezienie właściwej akuszerki.

Po kolei pytali wszystkie akuszerki, czy przed dziewiętnastu laty nie przyjęły dwóch porodów niemal jednocześnie. Znali datę urodzenia Tiril, co bardzo ułatwiało poszukiwania, tak samo jak informacja, że jedną z położnic była kobieta o nazwisku Dahl.

Pierwsze trzy próby zakończyły się niepowodzeniem.

Czwarta akuszerka okazała się bardzo wiekową matroną, lecz jak wielu starych ludzi doskonale pamiętała to, co wydarzyło się przed wielu laty.

Stali w przepelnionym wątpliwymi ozdobami salonie.

— Owszem, pamiętam panią Dahl. — Zniżyła głos do szeptu. — Tę drugą także. I zamianę dzieci. — Znów zaczęła mówić głośniej. — Pani Dahl straciła dziecko i bała się powiedzieć o tym swemu mężowi. Dostała córeczkę tej drugiej. Cieszyłam się, że mogę im obu pomóc. Ten drugi poród okryty był wielką

tajemnicą. Tragiczna historia!

Erling zabrał głos. Wskazał na Tiril.

— To jest dziecko, którym zaopiekowała się pani Dahl. Akuszerce zaparło dech. Na pomarszczonych policzkach wykwitły rumieńce. Wiedziona, mimowolnym odruchem pokłoniła się głęboko przed Tiril, aż zatrzeszczały stareńkie kości.

— Witaj w mych skromnych progach, wasza wysokość!

Znieruchomieli. — Wysokość? — szepnęła zdumiona do najwyższych granic Catherine. — To tytuł zastrzeżony dla osób co najmniej książęcego rodu!

Osoby, które żyły naprawdę:

Biskup Gottskalk Nikulasson Zły lub Okrutny, zmarł w 1520.

Mag-Loftur, Loftur Thorsteinsson, 1702-1722.

Sira Eirikur Magnusson z Vogsos, zmarł w 1716.

Samund Uczony, zmarł w 1133.

Stokkseyri-Disa, (Thordis Markusdottir) i Thormodhur Thorfason. Thorleifur Skaftason, dziekan w Holar. Diakon z Myrka, diakon z Holar i Jonssonowie, czar-noksiężnicy z Kirkjuból, dwaj Ostatni spłonęli na stosie w 1656.

Kilka lat temu dwaj bardzo doświadczeni alpiniści dotarli na szczyt Hraundrangi. Tym samym rozwiały się marzenia o ukrytym tam skarbie!

Źródła:

Skuggi: Arsitid Jolagjöfin 4, 1940. GALDRASKRADA (wyd. w 150 egz.).

Dr A. Chr. Bang: NORSKE HEXEFORMULARER OG MAGISKE OPSKRIFTER wydane przez Videnskabselskabet w Christianii w 1901.

GHOSTS, WITCHCRAFT AND THE OTHER WORLD; stąd pochodzą opowieści o Magu- Lofturze, Eirikurze z Vogsos i diakonie z Myrka, ale można je znaleźć również w innych opracowaniach.

*Podziękowania dla Rut Arthursdottir
za przekłady z jęz. Islandzkiego oraz wyjaśnienie
znaczenia run magicznych!*

Margit Sandemo